
Smith Lisa Jane

Przebudzenie

Pamiętniki Wampirów Tom 1

Rozdział pierwszy

4 września

Drogi pamiętniku,

~~Dzisiaj stanie się coś strasznego.~~

Sama nie wiem, dlaczego to napisałam. To jakiś obłąd. Przecież nie mam żadnych powodów do niepokoju, za to mnóstwo, żeby się cieszyć, ale...

Siedzę tu o 5.30 rano, całkiem przytomna i przestraszona. Wciąż sobie tłumaczę, że czuję się rozbita, bo jeszcze się nie przyzwyczaiłam do różnicy czasu między Francją a domem. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego jestem tak przerażona. I zagubiona.

To dziwne uczucie ogarnęło mnie przedwczoraj, kiedy ciocia Judith, Margaret i ja wracałyśmy z lotniska. Samochód skręcił w naszą ulicę i nagle pomyślałam: Mama i tata czekają na nas w domu. Założę się, że siedzą na werandzie albo wyglądają z salonu przez okno. Na pewno bardzo za mną tęsknili.

Wiem. To brzmi zupełnie idiotycznie.

Ale nawet kiedy zobaczyłam dom i pustą werandę, to uczucie nie zniknęło. Wbiegłam po stopniach i próbowałam otworzyć drzwi, a potem zastukałam. A gdy ciocia Judith otworzyła drzwi, wpadłam do środka i po prostu stanęłam w holu, nasłuchując, jakbym się spodziewała, że mama zejdzie po schodach albo tata zawoła do mnie z gabinetu.

Wtedy właśnie ciocia Judith z głośnym łomotem postawiła walizkę na podłodze za moimi piecami, westchnęła z głębi serca i powiedziała: Jesteśmy w domu. Margaret się roześmiała, a mnie ogarnęło najpaskudniejsze uczucie, jakie mi się przytrafiło w życiu. Jeszcze nigdy nie czułam się tak kompletnie i całkowicie nie na miejscu.

Dom. Jestem w domu. Dlaczego to brzmi jak kłamstwo?

Urodziłam się tutaj, w Fell's Church, i od zawsze mieszkam w tym

domu. Odkąd pamiętam. To moja stara, dobrze znana sypialnia, ze śladem przypalenia na podłodze tam, gdzie z Caroline w piątej klasie usiłowałyśmy popalać papierosy i o mało nie zakaszlałyśmy się na śmierć. Kiedy spojrzę przez okno, widzę wielki pigwowiec, na który Matt z kumplami wspięli się, żeby się wkręcić na moją urodzinową imprezę piżamową dwa lata temu. To moje łóżko, mój fotel, moja toaleta.

Ale w tej chwili wszystko wygląda dziwnie, zupełnie jakbym nie należała do tego miejsca. A najgorsze, że czuję, że jest takie miejsce, do którego należę, tylko zwyczajnie nie umiem go odnaleźć.

Wczoraj byłam zbyt zmęczona, żeby pójść na rozpoczęcie roku szkolnego. Meredith odebrała za mnie plan lekcji, ale nawet nie chciało mi się rozmawiać z nią przez telefon. Ktokolwiek dzwonił, ciocia informowała go, że jestem zmęczona po podróży samolotem i że poszłam spać. Ale przy kolacji przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

Dzisiaj muszę zobaczyć się ze wszystkimi. Mamy się spotkać na parkingu pod szkołą. Czy to dlatego się boję? Czy właśnie oni mnie przerażają?

Elena Gilbert przerwała pisanie. Spojrzała na ostatnią linijkę, a potem pokręciła głową. Pióro zawisło nad niewielkim notesem w błękitnej aksamitnej oprawie. Nagłym gestem uniosła głowę i cisnęła i pióro, i notes w stronę wykuszonego okna. Odbiły się od framugi i spadły na wyściełaną ławeczkę we wnęce.

To wszystko było kompletnie bez sensu.

Od kiedy to ona, Elena Gilbert, boi się spotykać ze znajomymi? Od kiedy w ogóle się czegoś boi? Wstała i gniewnie wsunęła ręce w rękawy czerwonego jedwabnego kimona. Nie zerknęła w ozdobne wiktoriańskie lustro nad komodą z wiśniowego drewna. Wiedziała, co w nim zobaczy. Elenę Gilbert, czadową, szczupłą blondynkę, maturzystkę, dziewczynę, która zawsze ma najfajniejsze ciuchy, której pragnął każdy chłopak i którą każda inna dziewczyna chciałaby być. Dziewczynę, która w tej chwili miała nachmurzoną minę i ściągnięte usta. A to było do niej zupełnie niepodobne.

Gorąca kąpiel, kawa i dojdę do siebie, pomyślała. Poranny rytuał mycia i ubierania koił nerwy. Bez pośpiechu przeglądała nowe ciuchy kupione w Paryżu. Wreszcie wybrała bladuróżowy top i białe lniane szorty - to połączenie sprawiało, że wyglądała jak deser lodowy z malinami. Hm... smakowicie, pomyślała, a lustro pokazało jej odbicie dziewczyny z tajemniczym uśmiechem na ustach. Wcześniejsze obawy gdzieś znikły.

- Eleno! Gdzie jesteś? Spóźnisz się do szkoły! - Z dołu dobiegło niewyraźne wołanie.

Jeszcze raz przeciągnęła szczotką po jedwabistych włosach i związała je ciemnoróżową wstążką. A potem złapała plecak i zeszła po schodach.

W kuchni czteroletnia Margaret jadła przy stole płatki, a ciocia Judith przypalała coś na kuchence. Ciocia była kobietą, która zawsze wyglądała, jakby ją coś zdenerwowało.

Miała miłą szczupłą twarz i miękkie jasne włosy, niedbale zaczesane do tyłu. Elena cmoknęła ją w policzek.

- Dzień dobry wszystkim. Przepraszam, ale nie mam czasu na śniadanie.

- Ależ Eleno, nie możesz wychodzić bez jedzenia. Potrzebujesz białka...

- Przed szkołą kupię sobie pączka - odparła rzeško. Pocałowała Margaret w ciemnoblonde czuprynkę i ruszyła do wyjścia.

- Eleno...

- Po szkole pójde pewnie do Bonnie albo Meredith, więc nie czekajcie z obiadem. Na razie!

- Eleno...

Ale Elena już stała przy frontowych drzwiach. Zamknęła je za sobą, odcinając się od odległych protestów cioci Judith, i wyszła na frontową werandę.

Przystanąła.

Znów dopadło ją paskudne przecucie. Niepokój, lęk. I pewność, że stanie się coś okropnego.

Mapie Street była pusta. Wysokie wiktoriańskie domy wyglądały dziwnie, jakby w środku były puste. Zupełnie jak domy na jakimś porzuconym planie filmowym. Wydawało się, że nie ma w nich ludzi, za

to w środku siedzi mnóstwo dziwnych istot obserwujących okolicę.

To było to. Coś ją obserwowało. Niebo w górze nie było błękitne, ale mleczone i matowe jak olbrzymia, obrócona do góry dnem miska. W powietrzu panowała duchota. Elena czuła, że ktoś jej się przypatruje.

Pomiędzy gałęziami rosnącego przed domem wielkiego pigwowca dostrzegła coś ciemnego.

Wrona. Tkwiła tam równie nieruchomo, jak otaczające ją żółknące liście. Ptak wpatrywał się w nią z uwagą.

Nie, to śmieszne, pomyślała Elena. Ale nie mogła się uwolnić od dziwnego uczucia. To była największa wrona, jaką widziała w życiu, dorodna i lśniąca. Na czarnych piórach światło rysowało małe tęcze. Dziewczyna wyraźnie widziała wszystkie szczegóły: ostre, ciemne szpony, ostry dziób, jedno połyskliwe czarne oko.

Ptak siedział nieruchomo. Równie dobrze mógł to być woskowy model. Ale przyglądając mu się, Elena poczuła, że zaczyna się powoli oblewać rumieńcem, że gorąco ogarnia jej szyję i policzki. Bo ta wrona... gapiła się na nią. Patrzyła na nią tak, jak patrzyli chłopcy, kiedy miała na sobie kostium kąpielowy albo przejrzystą bluzkę. Ptak rozbierał ją oczami.

Rzuciła plecak na ziemię i podniosła kamień leżący obok podjazdu.

- Wynoś się stąd! - krzyknęła, a głos drżał jej z gniewu. - No już! Wynocha! - Z ostatnim słowem cisnęła kamieniem.

Z drzewa posypały się liście. Wrona wzbiła się w powietrze, cała i zdrowa. Skrzydła miała wielkie, hałasu mogły narobić za całe stado wron. Elena przykucnęła, przerażona, gdy ptak zapikował tuż nad jej głową, a podmuch skrzydeł potargał jej jasne włosy.

Ale wrona znów wzbiła się w powietrze i zatoczyła koło. Jej czarna sylwetka kontrastowała z białym jak papier niebem. A później, z pojedynczym ostrym skrzeknięciem, odleciała w stronę lasów.

Elena powoli się wyprostowała, a potem rozejrzała wkoło, zawstydzona. Nie mogła uwierzyć, że zrobiła coś takiego. Teraz, kiedy ptak zniknął, niebo znów wydawało się normalne. Lekki wietrzyk poruszał liśćmi. Wzięła głęboki oddech. W którymś z domów otworzyły się drzwi i grupka dzieci wybiegła ze śmiechem na zewnątrz.

Uśmiechnęła się do nich i jeszcze raz odetchnęła. Ulga zalała ją jak

promienie słońca. Jak mogła tak niemądrze się zachować? To był piękny dzień, pełen obietnic. Nic złego się nie stanie!

Oczywiście pomijając to, że za moment spóźni się do szkoły. A cała paczka będzie czekała na nią na parkingu.

Zawsze mogę im powiedzieć, że się zatrzymałam, żeby rzucać kamieniami w podglądacza, pomyślała i o mało nie zaczęła chichotać. Ale by się zdziwili.

Nie oglądając się na pigwowiec, ruszyła ulicą, jak mogła najszybciej.

Wrona wylądowała w koronie potężnego dębu. Stefano powoli uniósł głowę. Zobaczył, że to tylko ptak i się odprężył.

Zerknął w dół, na trzymany w dłoniach nieruchomy jasny kształt i poczuł, że twarz mu się wykrzywia z żalu. Nie chciał go zabijać. Gdyby zdawał sobie sprawę, że jest aż tak głodny, zapolowałby na coś większego. To właśnie go przerażało, nigdy nie wiedział, jak silny okaże się głód ani co będzie musiał zrobić, żeby go zaspokoić. Miał szczęście, że tym razem zabił tylko królika.

Stał pod wiekowymi dębami, a słońce przeświecające przez liście padało na jego kręcone włosy. W dzinsach i T-shircie Stefano wyglądał dokładnie tak jak każdy zwyczajny chłopak ze szkoły średniej.

Ale nim nie był.

Przywędrował tu, w sam środek lasu, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć, żeby się pożywić. Teraz uważnie oblizywał wargi, żeby nie zostały na nich żadne ślady. Nie chciał ryzykować. I tak będzie mu trudno udawać, że jest kimś innym.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien dać sobie spokoju. Może lepiej wracać do Włoch, do kryjówki. Skąd w ogóle pomysł, że uda mu się znów dołączyć do świata rządzonego dziennym światłem?

Ale zmęczyło go życie w mroku. Miał dosyć ciemności i istot, które w niej żyły. Ale najbardziej ze wszystkiego męczyła go samotność.

Nie wiedział, dlaczego zdecydował się na Fell's Church w stanie Wirginia. Jak dla niego to było młode miasto - najstarsze budynki postawiono jakieś sto pięćdziesiąt lat temu. Ale nadal żyły tu wspomnienia i duchy wojny secesyjnej, równie żywe jak supermarkety i sieci fast foodów.

Stefano rozumiał szacunek dla przeszłości. Pomyślał, że uda mu się

polubić ludzi z Fall's Church. I może - być może - znajdzie tu dla siebie jakieś miejsce.

Oczywiście, nigdy się nie doczeka całkowitej akceptacji. Na samą myśl wargi wykrzywił mu gorzki uśmiech. Wiedział, że na coś takiego nie może liczyć. Nigdy nie znajdzie miejsca, gdzie mógłby w pełni przynależeć, gdzie mógłby naprawdę być sobą.

Chyba że zdecyduje się na świat cienia...

Odepchnął od siebie tę myśl. Wyrzekł się mroku, zostawił go za sobą. Wymazywał te wszystkie długie lata i zaczynał od nowa. Dzisiaj.

Zorientował się, że nadal trzyma królika. Położył go łagodnie na posłaniu z dębowych liści. W oddali, zbyt daleko, żeby dosłyszały to ludzkie uszy, usłyszał lisa.

Chodź, polujący bracie, pomyślał ze smutkiem. Czeka na ciebie śniadanie.

Zarzucając kurtkę na ramię, dostrzegł wronę, która wcześniej zakłóciła mu spokój. Nadal siedziała na gałęzi dębu. Wydawało się, że go obserwuje. Było w tym ptaku coś złego.

Chciał wysłać sondującą myśl, żeby sprawdzić zwierzę, ale się powstrzymał. Pamiętaj o obietnicy, pomyślał. Nie będę używał mocy, o ile nie okaże się to absolutnie konieczne.

Poruszał się prawie bezszelestnie mimo leżących na ziemi opadłych liści i suchych gałązek. Zawrócił na skraj lasu. Tam, gdzie zostawił zaparkowany samochód. Obejrzał się za siebie, . tylko raz. Wrona sfrunęła z gałęzi i "usiadła na króliku.

W geście, jakim rozpostartymi skrzydłami nakryła biały bezwładny kształt, kryło się coś złowieszczonego i triumfalnego. Stefano poczuł, że ścisnęło go w gardle i o mało nie zawrócił, żeby odpędzić ptaka. Ale przecież wrona ma takie samo prawo pożywić się królikiem, jak lis, pomyślał.

Takie samo prawo, jak on.

Jeśli jeszcze raz natknę się na tego ptaka, zajrzę do jego umysłu, zdecydował. Odwrócił się i szybko ruszył przez las, zaciskając szczęki. Nie chciał się spóźnić do szkoły.

Rozdział drugi

Bnajomi otoczyli Elenę w tej samej chwili, w której znalazła się na szkolnym parkingu. Wszyscy tam byli, cała paczka, której nie widziała od końca lipca. Plus czterech czy pięciu cwaniaków, którzy chcieli zdobyć popularność, pokazując się w towarzystwie. Przywitała się z przyjaciółmi.

Caroline była wyższa co najmniej o trzy centymetry i jeszcze bardziej niż zwykle przypominała ponętą modelkę z „Vogue'a”. Przywitała się z Eleną chłodno i natychmiast się od niej odsunęła, mrużąc jak kotka zielone oczy.

Bonnie nie przybył nawet milimetr - szopa kręconych rudych włosów koleżanki sięgała Elenie zaledwie do brody, kiedy dziewczyna objęła ją w uścisku.

Zaraz, jak to... kręcone? - pomyślała Elena. Odsunęła od siebie Bonnie.

- Coś ty zrobiła z włosami?

- Podoba ci się? Dzięki temu wydaje się, że jestem wyższa. -

Zmierzwiała puszyste loki i się uśmiechnęła. Jej brązowe oczy połyskiwały ożywieniem, a mała twarzączka w kształcie serca się rozjaśniła.

Elena przesunęła się dalej.

- Meredith. Nic się nie zmieniłaś.

Przywitały się serdecznie. Za nią tęskniłam najbardziej, pomyślała Elena, spoglądając na przyjaciółkę. Meredith nigdy się nie malowała, ale przy idealnej, oliwkowej cerze i gęstych czarnych rzęsach nie potrzebowała makijażu. Uniosła jedną brew, przyglądając się Elenie.

- A tobie włosy zjaśniały od słońca... Ale gdzie opalenizna?

Myślałam, że z Riwiery Francuskiej trochę jej przywieziesz.

- Wiesz, że nigdy się nie opalam. - Elena uniosła ręce, żeby im się przyjrzeć. Skórę miała delikatną jak porcelana, niemal tak samo jasną i przezroczystą, jak Bonnie.

- Hej! - wtrąciła się Bonnie, chwytając Elenę za rękę. -Zgadnij, czego się nauczyłam tego lata od swojej ciotecznej siostry? - I zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, poinformowała wszystkich z triumfem: - Czytania z ręki!

Rozległo się parę jęków, kilka osób się roześmiało.

- Możecie się śmiać - powiedziała Bonnie, zupełnie niezbita z tropu. - Siostra powiedziała, że jestem medium. Niech spojrzę... - Zerknęła w dłoń Eleny.

- Szybko, bo się spóźnimy - ponagliła ją przyjaciółka.

- Dobra. To jest linia życia... A może to linia serca? - Ktoś z grupy roześmiał się złośliwie. - Cicho, ja tu zaglądam w otchłań. Widzę... - I nagle Bonnie zmieniła się na twarzy, jakby coś ją zaskoczyło. Jej oczy zrobiły się większe. Nagle odwróciła wzrok od dłoni Eleny. Zupełnie jakby dostrzegła coś przerażającego.

- Spotkasz wysokiego nieznajomego bruneta - mruknęła Meredith zza jej pleców. Rozległa się lawina chichotów.

- Bruneta, owszem, i nieznajomego... ale nie będzie wysoki. - Głos Bonnie zabrzmiał cicho, jakby z oddali. - Chociaż - dodała po chwili ze zdziwieniem - kiedyś był wyższy. - Uniosła na Elenę brązowe szeroko otwarte oczy. - Ale to przecież niemożliwe... Prawda? - Puściła rękę Eleny, ale jakoś tak, jakby chciała ją od siebie odepchnąć.

- Dobra, koniec przedstawienia. Idziemy - rzuciła Elena, lekko zirytowana. Zawsze uważała, że wróżby z ręki to zwykłe bajki. Więc dlaczego się rozzłościła? Dlatego że rano nieźle się wystraszyła?

Dziewczyny ruszyły w stronę szkoły, ale przystanęły, słysząc odgłos silnika.

- No proszę - powiedziała Caroline, oglądając się. - Niezła bryka.

- Niezłe porsche - poprawiła ją sucho Meredith.

Lśniące czernią porsche 911 turbo z pomrukiem przejechało przez parking, szukając miejsca. Poruszyło się wolno jak pantera podkradająca się do ofiary.

Wreszcie samochód się zatrzymał i drzwi się otworzyły. Zobaczyły

kierowcę.

- O Boże! - szepnęła Caroline.
- Zgadza się - westchnęła Bonnie.

Elena dostrzegła zgrabną sylwetkę. Chłopak miał na sobie sprane dżinsy, które przylegały mu do nóg jak druga skóra, obcisły T-shirt i skórzaną kurtkę o niezwykłym kroju. Włosy miał wijące się, ciemne.

Ale nie był wysoki. Zwyczajnie, średniego wzrostu.

Elena wypuściła powietrze.

- Kim jest ten zamaskowany facet? - spytała Meredith. To była trafna uwaga. Ciemne okulary zasłaniały oczy chłopaka i wyglądały jak maska.

Nagle wszystkie zaczęły paplać.

- Widzicie tę kurtkę? Jest włoska, pewnie z Rzymu.
- Skąd wiesz? Nigdy w życiu się nie ruszyłaś dalej niż do Rzymu w stanie Nowy Jork!

- Oho! Elena znów ma tę swoją minę. Poluje.
- Niski ciemnowłosy przystojniak powinien się mieć na baczności.
- Nie jest niski, jest idealny!

Ponad tę gadaninę wybił się głos Caroline:

- Och, Eleno, daj spokój. Masz już Matta. Czego jeszcze chcesz? Co można zrobić z dwoma, czego nie da się zrobić z jednym?

- To samo, tylko dłużej - odparła, przeciągając słowa, Meredith i cała grupa parsknęła śmiechem.

Chłopak zamknął samochód i poszedł w stronę szkoły. Elena ruszyła za nim swobodnym krokiem, a reszta dziewczyn udała się za nią, zbита w grupkę. Nagle się zirytowała. Czy naprawdę nigdzie nie może się ruszyć, żeby ten orszak nie deptał jej po piętach? Meredith pochwyciła jej spojrzenie i Elena, wbrew samej sobie, się uśmiechnęła.

- Noblesse oblige - szepnęła cicho Meredith.
- Co?
- Jeśli chcesz być królową, musisz się liczyć z konsekwencjami.

Elena zmarszczyła brwi na tę myśl, wchodząc z koleżankami do szkoły. Znalazły się w długim korytarzu. Postać w dżinsach i skórzanej kurtce zniknęła w drzwiach biura administracji, w głębi. Elena zwolniła kroku, idąc w tamtą stronę. Wreszcie przystanąła i zaczęła czytać

ogłoszenia wywieszane na korkowej tablicy obok drzwi. Przez przeszkloną ścianę obok widać było całe wnętrze biura.

Pozostałe dziewczyny gapiły się zupełnie otwarcie i chichotały.

- Ładny widok z tyłu.
- Kurtka od Armaniego.
- Myślisz, że jest spoza stanu?

Elena wytężyła słuch, chcąc pochwycić nazwisko chłopaka.

Wyglądało na to, że pojawił się problem. Pani Clarke, sekretarka zajmująca się przyjęciami, przeglądała jakąś listę i kręciła głową.

Chłopak coś powiedział, a ona uniosła ręce gestem znaczącym: „Ale co ja ci na to poradzę?” Jeszcze raz przejechała palcem wzdłuż listy i znów pokręciła głową.

Chłopak zawrócił do wyjścia, ale przystanął. A kiedy pani Clarke na niego spojrzała, coś się zmieniło.

Chłopak trzymał teraz okulary słoneczne w ręku. Wydawało się, że pani Clarke jest czymś zaskoczona. Elena zauważyła, że sekretarka kilka razy zamrugała powiekami. Otwierała i zamykała usta, jakby próbując coś powiedzieć.

Żałowała, że widzi tylko tył głowy chłopaka. Pani Clarke grzebała w stosie papierów z oszołomioną miną. Wreszcie znalazła jakiś formularz i coś na nim nabazgrała, a potem obróciła go i podsunęła chłopakowi.

Dopisał coś na dole - pewnie swoje nazwisko - i oddał kartkę. Pani Clarke chwilę wpatrywała się w papiery, przerzuciła kolejny stos dokumentów i wreszcie wręczyła chłopakowi coś, co wyglądało jak plan lekcji. Ani na moment nie oderwała od niego wzroku, gdy odbierał go z jej rąk. Skinął głową z podziękowaniem i zawrócił w stronę drzwi.

Elenę wręcz rozsadzała ciekawość. O co chodziło? No i jakie oczy ma ten nieznajomy. Ale wychodząc z biura, znów założył okulary. Była rozczarowana.

Przystanął na korytarzu, więc przyjrzała mu się uważnie. Ciemne kręcone włosy okalały twarz, która przypominała podobizny wyryte na starych rzymskich monetach czy medalionach. Wysokie kości policzkowe, klasyczny prosty nos... O tych ustach można marzyć całą noc, pomyślała Elena. Górna warga była ślicznie zarysowana, delikatna, a całe usta bardzo zmysłowe. Paplanina dziewczyn zamarła, jak nożem

uciał.

Większość z nich odwracała się teraz od chłopaka, patrząc wszędzie, byle tylko nie na niego. Elena nie ruszyła się z miejsca przy szybie i lekko pokręciła głową, wyciągając z włosów wstążkę, żeby luźno opadły jej na ramiona.

Nie rozglądając się, chłopak poszedł dalej korytarzem. Ledwie się oddalił, znów podniósł się chórek westchnień i szeptów.

Elena nic z tego nie słyszała.

Oszołomiona, myślała o tym, jak ją minął. Przeszedł obok i nawet nie spojrzał.

Z trudem dotarło do niej, że dzwoni dzwonek. Meredith szarpała ją za ramię.

- Co?

- Trzymaj, masz swój plan. Mamy teraz razem matematykę na drugim piętrze. Chodź!

Pozwoliła, żeby Meredith pociągnęła ją za sobą korytarzem i po schodach, a potem wepchnęła do klasy. Odruchowo usiadła na wolnym miejscu i starała się skupić wzrok na nauczycielce, stojącej przed uczniami. Mimo to prawie jej nie widziała. Ciągle była w szoku.

Przeszedł obok niej i nawet nie spojrzał. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni jakiś chłopak zrobił coś takiego. Wszyscy przynajmniej zerkali. Niektórzy gwizdali, inni ją zagadywali. Jeszcze inni tylko wytrzeszczali oczy.

Cieszyło ją to.

Bo tak naprawdę, co było ważniejsze od chłopców? To, czy się tobą interesowali stanowiło wskaźnik popularności i urody. I do wielu różnych rzeczy się przydawali. Mogli być całkiem fajni, chociaż zwykle nie na długo. Czasami już na początku okazywali się beznadziejni.

Większość chłopaków, myślała Elena, jest jak szczenięta. Urocze, o ile znają swoje miejsce, ale do zastąpienia. Nieliczni mogli stać się czymś więcej i nadawali na przyjaciół. Jak Matt.

Och, Matt. W zeszłym roku miała nadzieję, że to ten, którego szukała. Chłopak, przy którym poczuje... No cóż, coś więcej. Coś więcej niż poczucie dumy z podboju, zadowolenie, że może się popisać przed innymi dziewczynami nową zdobyczą. Zaczęła się do niego

przywiązywać. Ale latem, kiedy miała czas przemyśleć sprawę, zrozumiała, że to uczucia kuzynki albo siostry.

Pani Halpern rozdawała podręczniki do matematyki. Elena odruchowo wzięła od niej książkę i wpisała w środku swoje nazwisko, nadal pogrążona w myślach.

Lubiła Matta bardziej niż wszystkich innych chłopców. I dlatego zamierzała mu oznajmić, że to koniec.

Miała z tym jednak pewien kłopot. Przedtem nie wiedziała, jak mu o tym napisać. Teraz nie wiedziała, jak mu to powiedzieć. Nie bała się, że Matt zacznie robić jakieś wielkie zamieszanie, ale wiedziała, że nie zrozumie. Ona sama tak do końca tego nie rozumiała.

Było zupełnie tak, jakby wiecznie szukała... czegoś. A kiedy już jej się wydawało, że znalazła, to coś zniknęło. Tak było z Mattem i z każdym innym chłopakiem.

A wtedy zaczynała od nowa. Na szczęście zawsze znajdował się ktoś inny. Żadnemu chłopakowi nie udało się jej oprzeć i żaden jej nie zignorował. Aż do teraz.

Do teraz. Wspominając chwilę na korytarzu, Elena poczuła, że mocno zaciska palce na trzymanym w rękę pisaku. Nadal nie potrafiła uwierzyć, że przeszedł obok niej tak obojętnie.

Dzwonek zadzwonił i wszyscy wysypali się z klasy. Elena przystanęła w drzwiach. Przygryzła wargę, przypatrując się tłumowi uczniów, który przepływał przez korytarz. A potem zauważyła jedną z dziewczyn, które przedtem kręciły się po parkingu, licząc na zdobycie popularności.

- Frances! Chodź tutaj.

Frances gorliwie podbiegła, a jej nieładna twarz się rozjaśniła.

- Posłuchaj, Frances, pamiętasz tego chłopaka rano?

- Tego z porsche? Jak mogłabym zapomnieć?

- Potrzebny mi jego plan lekcji. Zdobądź go z biura administracji albo przepisz od niego, jeśli będziesz musiała. Ale zrób to!

Frances zrobiła zdziwioną minę, a potem uśmiechnęła się szeroko i pokiwała głową.

- Dobrze, Eleno. Spróbuję. Jeśli uda mi się go zdobyć, spotkamy się na lunchu.

- Dzięki. - Elena patrzyła za odchodzącą dziewczyną.

- Wiesz co, naprawdę jesteś szalona. - Usłyszała tuż obok Meredith.
- Po co być królową szkoły, jeśli nie można czasem wykorzystać tej pozycji? - odparła spokojnie Elena. - Jakie mam teraz zajęcia?
- Wstęp do ekonomii. Masz, weź to sobie. - Meredith wyciągnęła do niej plan lekcji. - Muszę lecieć na chemię. Na razie!

Wstęp do ekonomii i całą resztę poranka pamiętała potem jak przez mgłę. Miała nadzieję, że uda jej się jeszcze raz rzucić okiem na nowego ucznia, ale nie pojawił się na żadnej z jej lekcji. Za to na jednej był Matt i poczuła, że coś ją zakłuło w sercu, kiedy błękitne oczy z uśmiechem podchwyciły jej spojrzenie.

W końcu zadzwoniono na lunch. Szła do stołówki, witając się z uczniami. Caroline stała na zewnątrz, oparta swobodnie o ścianę, z uniesioną brodą, wyprostowanymi ramionami i wypchniętym w przód biodrem. Dwóch chłopaków, z którymi gadała, ucichło i zaczęło się nawzajem szturchać, kiedy dostrzegli nadchodzącą Elenę.

- Cześć - rzuciła chłopakom i Caroline. - Gotowa coś zjeść?

Zielone oczy dziewczyny od niechcienia przesunęły się po Elenie, gdy Caroline odgarniała za ucho błyszczące kasztanowe włosy.

- Co, przy królewskim stole? - powiedziała.

Elenę to zaskoczyło. Przyjaźniły się z Caroline od przedszkola. Zawsze ze sobą rywalizowały, ale w żartobliwy sposób. Ostatnio Caroline się zmieniła i zaczęła traktować tę rywalizację coraz poważniej. A teraz Elenę zdziwił jad w głosie koleżanki.

- No cóż, raczej trudno cię zaliczyć do plebsu - rzuciła lekkim tonem.

- Och, co do tego masz całkowitą rację - powiedziała Caroline, obracając się, żeby spojrzeć jej w twarz. Zielone, kocie oczy był zmrużone i nieprzejrzyste, a Elenę zdumiała wrogość, jaką w nich zobaczyła. Obaj chłopcy uśmiechnęli się niezręcznie i nieco odsunęli. Zdawało się, że Caroline tego nie widzi. - Mnóstwo się zmieniło tego lata, kiedy cię tu nie było, Eleno - ciągnęła. - Być może czas twojego panowania dobiega końca.

Elena się zarumieniała. Czowała, jak gorąco wypływa jej na twarz. Próbowwała nie podnosić głosu.

- Być może - odparła. - Ale na twoim miejscu, Caroline, jeszcze nie

kupowałabym berła. - Odwróciła się i weszła do stołówki.

Z ulgą dostrzegła Meredith i Bonnie, a za ich plecami Frances. Ruszyła w ich kierunku i czuła, że policzki przestają ją palić. Nie pozwoli Caroline wyprowadzić się z równowagi, w ogóle nie będzie o niej myślała.

- Mam to - powiedziała Frances, wymachując kartką papieru, kiedy Elena usiadła.

- A ja mam parę smacznych kawałków - odezwała się z powagą Bonnie. - Eleno, posłuchaj tylko. Chłopak chodzi ze mną na biologię i siedzę tuż koło niego. Nazywa się Stefano, Stefano Salvatore. Jest Włochem i wynajmuje pokój na stacji u pani Flowers na skraju miasta.

- Westchnęła. - Jest taki romantyczny. Caroline upuściła swoje książki i pomógł jej je pozbierać.

Elena skrzywiła się cierpko.

- Ależ z niej niezdara. Coś jeszcze się działo?

- To wszystko. W zasadzie wcale z nią nie rozmawiał. Rozumiesz, jest straaaasznie tajemniczy. Pani Edincott, ta od biologii, próbowała go zmusić, żeby zdjął okulary słoneczne, ale się nie zgodził. Ma jakiś kłopot z oczami.

- Jaki kłopot z oczami?

- Nie mam pojęcia. Może to coś nieuleczalnego? To by dopiero było romantyczne!

- Och, szalenie - stwierdziła Meredith.

Elena wpatrywała się w kartkę od Frances i zagryzała wargę.

- Mam z nim siódmą lekcję. Historię Europy. Ktoś jeszcze na to chodzi?

- Ja - powiedziała Bonnie. - Caroline chyba też. Aha, i zdaje się, Matt. Mówił coś wczoraj, że to dokładnie jego pech, bo trafił mu się pan Tanner.

Cudownie, pomyślała Elena, chwytając widelec i dźga-jąc nim tłuczone ziemniaki. Zapowiadało się, że siódma lekcja będzie szalenie ciekawa.

Stefano cieszył się, że szkolny dzień się kończy. Chciał się wyrwać z tych zatłoczonych sal i korytarzy chociaż na parę minut.

Tyle umysłów. Presja tylu schematów myślenia, tak wielu

otaczających go psychicznych głosów, wprawiała go w oszołomienie. Od lat nie przebywał w takim ludzkim ulu.

Zwłaszcza jeden umysł wyróżniał się wśród pozostałych. Stała pomiędzy dziewczynami, które obserwowały go na głównym korytarzu. Nie wiedział, jak wygląda, ale osobowość miała silną. I był pewien, że znów ją rozpozna.

Jak na razie udało mu się przetrwać pierwszy dzień maskarady. Skorzystał z mocy tylko dwa razy, a i to ostrożnie. Mimo to był zmęczony i - przyznawał to z żalem - głodny. Królik to za mało.

Będzie się tym martwił później. Znalazł klasę, w której miał ostatnią lekcję. Usiadł w ławce. I natychmiast poczuł obecność tego umysłu.

Jaśniał gdzieś na obrzeżach jego świadomości złotym światłem, miękkim, a przecież intensywnym. Po raz pierwszy udało mu się zlokalizować dziewczynę, której umysł wyczuwał. Siedziała tuż przed nim.

W tej samej chwili obróciła się i zobaczył jej twarz. Ledwie udało mu się powstrzymać okrzyk zaskoczenia.

Katherine! Ale to przecież niemożliwe. Katherine nie żyła, nikt nie wiedział o tym lepiej niż on.

A jednak podobieństwo było niesamowite. Złotawo-blond włosy, tak jasne, że w słońcu zdawały się niemal skrzyć. Kremowa skóra, która zawsze przywodziła mu na myśl łabędzi puch albo alabaster, leciutko zaróżowiona rumieńcem na wysokości kości policzkowych. I te oczy... Oczy Katherine miały kolor, jakiego nigdy wcześniej nie widział, błękitu głębszego niż błękit nieba, tak intensywnego jak lapis-lazuli w wysadzanej klejnotami przepasce, którą nosiła we włosach. Ta dziewczyna miała takie same oczy.

Uśmiechając się, spojrzała wprost na niego.

Szybko odwrócił wzrok od tego uśmiechu. Najbardziej ze wszystkiego nie chciał myśleć o Katherine. Nie chciał patrzeć na dziewczynę, która mu ją przypominała i nie chciał już dłużej wyczuwać jej umysłem. Nie podnosił oczu znad stolika, z całej siły blokując własne myśli. A ona, powoli, obróciła się z powrotem na swoim miejscu.

Była urażona. Wyczuwał to mimo blokady. Nic go to nie obchodziło. W sumie nawet się ucieszył i miał nadzieję, że to ją utrzyma z daleka.

Poza tym nic do niej nie czuł.

Powtarzał to sobie, siedząc na zajęciach, ledwie zwracając uwagę na monotony głos nauczyciela. Czuł w powietrzu subtelny zapach perfum. Fiołki, pomyślał. Jej smukła szyja pochylała się nad książką, jasne włosy opadały na ramiona po obu stronach karku.

Złości i frustracji zaczęło towarzyszyć kuszące mrowienie w zębach - raczej łaskotanie czy drżenie niż ból. To był głód, szczególny głód. I nie taki, jaki chciałby zaspokoić.

Nauczyciel kręcił się po klasie jak fretka, zadając pytania. Stefano skupił na nim uwagę. Najpierw się zdziwił, bo chociaż nikt z uczniów nie znał odpowiedzi, pytania sypały się dalej. Potem dotarło do niego, że ten człowiek robi to specjalnie. Żeby zawstydzić ludzi ich niewiedzą.

Właśnie znalazł sobie kolejną ofiarę, niewysoką dziewczynę z szopą rudych loków i twarzą w kształcie serca. Stefano patrzył z niesmakiem, jak nauczyciel bombarduje ją pytaniami. Minę miała żalną. Belfer odwrócił się od niej i odezwał do całej klasy:

- Widzicie, o co mi chodzi? Wydaje się wam, że jesteście tacy świetni, maturzyści, za chwilę dyplom ukończenia liceum. No cóż, powiem wam, że niektórym z was nie należy się dyplom ukończenia przedszkola. - Gestem wskazał rudowłosą dziewczynę. - Zielonego pojęcia o rewolucji francuskiej. Uważa, że Maria Antonina to pseudonim aktorki niemego kina!

Uczniowie kręcili się z zażenowaniem na swoich miejscach. Stefano wyczuwał w ich umysłach niechęć i upokorzenie. I lęk. Wszyscy się bali tego niewysokiego, chudego człowieczka o oczach łasicy.

- Dobrze, spróbujmy z inną epoką. - Nauczyciel obrócił się w stronę tej samej dziewczyny, którą przepytywał wcześniej. - W czasach renesansu... - przerwał. - Wiesz, co to renesans, prawda? Okres pomiędzy XIII a XVI wiekiem, w trakcie którego Europa ponownie odkryła wielkie idee starożytnej Grecji i Rzymu. Epoka, która stworzyła wielu najświetniejszych europejskich myślicieli i artystów. - Kiedy dziewczyna ze zmieszaniem pokiwała głową, ciągnął: - Czym w czasach renesansu zajmowali się w szkole uczniowie w waszym wieku? No? Jakież pomysły? Cokolwiek?

Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę. Ze słabym uśmiechem

powiedziała:

- Grali w futbol?

Wkoło rozległy się śmiechy, a twarz nauczyciela pociemniała.

- Wątpliwe! - rzucił, a w klasie ucichło. - Uważasz, że to dobry żart?

No cóż, w tamtych czasach uczniowie w waszym wieku już znaliby świetnie kilka języków. Opanowaliby też logikę, matematykę, astronomię, filozofię i gramatykę. Byliby gotowi do wstąpienia na uniwersytet, na którym każdy przedmiot wykładano po łacinie. Futbol stanowiłaby absolutnie ostatnią rzecz, jaką...

- Przepraszam.

Spokojny głos przerwał nauczycielowi w pół zdania, Wszyscy obrócili się i zaczęli gapić na Stefano.

- Co powiedziałeś?

- Przepraszam - powtórzył Stefano, zdejmując okulary i wstając z miejsca - ale pan się myli. Uczniów w czasach renesansu zachęcano do udziału w grach sportowych. Uczono ich, że zdrowe ciało zapewnia zdrowy umysł. I z całą pewnością grywali w gry zespołowe. - Obrócił się w stronę rudowłosej dziewczyny i uśmiechnął, a ona z wdzięcznością oddała uśmiech. W stronę nauczyciela rzucił jeszcze: - Ale najważniejsza rzecz, jakiej ich uczono, to grzeczność i dobre maniery. Jestem pewien, że w swoim podręczniku znajdzie pan coś na ten temat.

Uczniowie szczyrzyli zęby od ucha do ucha. Twarz nauczyciela poczerwieniała i facet coś wybełkotał. Ale Stefano nadal patrzył mu prosto w oczy i po chwili to nauczyciel odwrócił spojrzenie.

Zadzwoił dzwonek.

Stefano szybko włożył okulary i zebrał swoje książki. Już i tak zwrócił na siebie więcej uwagi, niż powinien i nie miał ochoty patrzeć na tę jasnowłosą dziewczynę. Musiał się stąd wyrwać. W żyłach poczuł znajome palenie.

Ale kiedy był już przy drzwiach, ktoś za nim zawołał:

- Hej! Oni serio grali wtedy w piłkę?

Rzucił pytającemu uśmiech przez ramię.

- Och tak. Czasem głowami odciętymi jeńcom wojennym.

Elena obserwowała go, kiedy wychodził. Z premedytacją się od niej odwrócił. Specjalnie utarł jej nosa i to przy Caroline, która obserwowała

to sokolim wzrokiem. Łzy paliły ją w oczach, ale w umyśle płonęła tylko jedna myśl.

Zdobędzie go, choćby miało ją to zabić. Choćby to miało zabić ich oboje. Zdobędzie go.

Scandalous

Rozdział trzeci

Poranny brzask przecinał nocne niebo różem i bledziutką zielenią. Stefano obserwował świt z okna pokoju na stacji. Wynajął ten pokój ze względu na klapę w suficie, która prowadziła na niewielki tarasik na dachu nad jego pokojem. W tej chwili klapa była otwarta, a chłodny wilgotny wiatr wiał wzdłuż prowadzącej na górę drabinki. Stefano był ubrany. Nie dlatego, że wcześniej wstał. Wcale się nie kładł.

Właśnie wrócił z lasu. Kilka wilgotnych zwiędłych liści przyczepiło się do cholewki buta. Strzepnął je. Wczorajsze komentarze uczniów nie umknęły jego uwagi. Wiedział, że gapili się na jego ciuchy. Zawsze ubierał się jak najlepiej. Po pierwsze, lubił to, po drugie, tak wypadło. Jego nauczyciel zawsze powtarzał: „Arystokrata powinien się odziewać zgodnie ze swoją pozycją. Jeśli tego nie czyni, okazuje innym pogardę. Każdy w tym świecie ma swoje miejsce, a twoje miejsce znajduje się wśród szlachty”. Rzeczywiście tak było. Kiedyś.

Dlaczego się nad tym zastanawiał? Oczywiście, powinien był wziąć pod uwagę, że zabawa w szkołę przyniesie wspomnienia jego własnych uczniowskich dni. Teraz napływały, natrętne i prędkie, zupełnie jakby przerzucał strony pamiętnika, zatrzymując się tu czy tam przy jakimś wpisie. Jedno zabłysło mu wyraźnie przed oczami - twarz jego ojca tego dnia, kiedy Damon oświadczył, że rezygnuje z uniwersytetu. Nie zdoła tego zapomnieć. Jeszcze nigdy nie widział ojca tak rozwścieczonego...

- Już tam nie wrócisz? - Giuseppe był sprawiedliwym człowiekiem, ale miał też temperament. To, co usłyszał od najstarszego syna, przyprawiło go o ataki furii.

Tenże syn spokojnie ocierał usta chustką z szafranowego jedwabiu.

- Myślę, że nawet ty jesteś w stanie zrozumieć takie proste zdanie, ojczu. Mam je powtórzyć po łacinie?

- Damonie... - Stefano zaczął spiętym głosem, przerażony brakiem szacunku. Ojciec przerwał mu gniewnie.

- Chcesz powiedzieć, że ja; Giuseppe, hrabia Salvatore, będę musiał patrzeć w oczy przyjacielom, wiedząc, że mój syn to *scioparto*? Leń, który nie robi nic pożytecznego dla Florencji?

Służący wycofywali się jak najdalej, widząc, że Giuseppe wrze z gniewu.

Damon nawet nie mrugnął okiem.

- Najwyraźniej. O ile chcesz nazywać przyjaciółmi tych, którzy łąszą się do ciebie w nadziei, że pożyczysz im pieniądze.

- *Sporco parassito!* - Giuseppe zerwał się z krzesła. - Czy nie wystarczy, że marnujesz czas w szkole i moje pieniądze? Och, wiem wszystko o hazardzie, walkach na kopie, kobietach. I wiem, że gdyby nie twój sekretarz i korepetytorzy, nie zaliczyłybyś żadnych kursów. A teraz chcesz zupełnie pogрузić się w niesławie. I dlaczego? Dlaczego? - Gwałtownym ruchem złapał Damona za podbródek. - Żebyś mógł wrócić do polowań i sokołów?

Stefano musiał oddać bratu sprawiedliwość - Damon wydawał się nieporuszony. Stał niemal swobodnie, poddając się chwytowi ojca. W każdym calu arystokrata, od eleganckiej, gładkiej czapki na ciemnych włosach przez blamowany gronostajami płaszcz po miękkie skórzane buty. Górną wargę wykrzywił mu arogancki grymas.

Tym razem posunął się za daleko, pomyślał Stefano, obserwując brata i ojca, którzy mierzyli się wzrokiem. Nawet ty nie wykręcisz się z tego samym wdziękiem.

Właśnie wtedy usłyszał kroki zbliżające się do gabinetu. Obracając się, zobaczył oszalamiające oczy barwy lapis-lazuli, obrzeżone długimi, jasnymi rzęsami. To Katherine. Jej ojciec, baron von Swartzschild, przywiózł ją z chłodnych Niemiec na włoską prowincję w nadziei, że pomoże córce wyzdrowieć po przedłużającej się chorobie. Od dnia jej przyjazdu dla Stefano wszystko się zmieniło.

- Wybaczcie, panowie, nie chciałam przeszkodzić. - Głos miała cichy, ale wyraźny. Zrobiła lekki ruch, jakby zamierzała odejść.

- Ależ nie idź. Zostań - powiedział szybko Stefano. Chciał dodać coś więcej, wziąć ją za rękę. Nie śmiał. Nie w obecności ojca. Mógł tylko

patrzeć w jej oczy. Lśniły niczym błękitne klejnoty.

- Tak, zostań - dodał Giuseppe i Stefano zobaczył, że jego twarz złagodniała i się rozjaśniła. Ojciec puścił Damona i zrobił krok w stronę Katherine, poprawiając ciężkie fałdy długiej, obrzeżonej futrem szaty. - Twój ojciec powinien dzisiaj wrócić z miasta. Niezmiernie się ucieszy na twój widok. Ale policzki masz nieco blade, mała Katherine. Mam nadzieję, że nie jesteś znów chora?

- Wiesz, panie, że zawsze jestem blada. Nie używam rózu jak te wasze śmiałe włoskie dziewczęta.

- Nie potrzebujesz go - wyrwało się Stefano. Katherine uśmiechnęła się do niego. Była taka piękna. W piersi poczuł ból.

- Za mało cię widuję w ciągu dnia. Rzadko zaszczytasz nas swoją obecnością przed zmierzchem - ciągnął ojciec.

- Oddaję się nauce i modlitwom w moich pokojach, panie - powiedziała Katherine cicho, spuszczać oczy. Stefano wiedział, że to nieprawda, ale się nie odezwał. Nigdy by nie zdradził sekretu Katherine. Znów spojrzała na ojca. - Ale teraz tu jestem.

- Tak, to prawda. Muszę zadbać, żeby z okazji powrotu twojego ojca przygotowano specjalną ucztę. Damonie... porozmawiamy później. - Giuseppe dał znak służącemu, wychodząc. Stefano z zachwytem spojrzał na Katherine. Rzadko zdarzało się, żeby mogli porozmawiać sam na sam, bez ojca albo Gudren, jej statecznej niemieckiej służącej.

Ale to, co zobaczył, było jak cios w żołądek. Katherine uśmiechała się - tym samym sekretnym uśmiechem, który często z nim dzieliła. Ale nie patrzyła na niego. Spoglądała na Damona.

Stefano znienawidził brata i jego mroczną urodę, wdzięk i zmysłowość, które przyciągała kobiety jak płomień ćmy. Chciał go uderzyć, roztrzaskać to piękno w drobny mak. Zamiast tego musiał stać i patrzeć, jak Katherine powoli podchodzi do brata, krok po kroku, a złoty brokat jej sukni szeptem pieści wykładaną kaflami posadzkę.

A wtedy Damon wyciągnął do Katherine rękę i uśmiechnął się okrutnym, triumfalnym uśmiechem...

Stefano nagłym ruchem odwrócił się od okna.

Po co na nowo rozdrapywał stare rany? Mimo woli wyjął złoty łańcuszek, który nosił pod koszulką. Palcem wskazującym pogłaskał

zawieszony na nim pierścionek, a potem uniósł go do światła.

Złote kółeczko wykonano kunsztownie, a pięć stuleci nie przyćmiło blasku metalu. W pierścionku osadzono jeden kamień, lazuryt wielkości paznokcia małego palca. Stefano przyjrzał się pierścionkowi, a później ciężkiemu srebrnemu pierścieniowi, też z lazurytem, na swoim palcu. W sercu poczuł znajomy ucisk.

Nie umiał zapomnieć o przeszłości i na dobrą sprawę wcale nie chciał. Mimo wszystkiego, co zaszło, hołubił wspomnienia o Katherine. Wszystkie z wyjątkiem jednego. O tym naprawdę nie wolno mu myśleć, to jedyna strona pamiętnika, której nie należy odwracać. Gdyby miał jeszcze raz na nowo przeżywać ten horror, tę... ohydę, oszalałby. Tak jak szalał tamtego dnia, tego ostatniego dnia, kiedy zrozumiał, że jest potępiony...

Stefano oparł się o okno, chłodząc czoło o szybę. Jego nauczyciel mawiał: „Zło nigdy nie znajdzie spokoju. Może zatriumfować, ale spokoju nigdy nie odnajdzie”.

Dlaczego w ogóle przyjechał do Fell's Church?

Miał nadzieję, że mimo wszystko znajdzie tu spokój, ale okazało się to niemożliwe. Nigdy nie doczeka się akceptacji, nie zazna odpoczynku. Bo był złem. I nie mógł zmienić tego, czym jest.

Tego ranka Elena wstała wcześniej niż zwykle. Słyszała ciotkę, która kręciła się po swoim pokoju i szykowała, żeby iść pod prysznic. Margaret spała jeszcze mocno, zwinięta jak myszka w łóżku. Elena cicho minęła na wpół otwarte drzwi pokoju młodszej siostry i przeszła przez korytarz, a potem wyszła z domu.

Powietrze było świeże i rześkie. Na pigwowcu jak zwykle, siedziały sroki i wróble. Elena, która poszła spać z bólem głowy, uniosła twarz w stronę czystego nieba i głęboko odetchnęła.

Czuła się o wiele lepiej niż wczoraj. Obiecała Mattowi, że się spotkają przed lekcjami i chociaż raczej się na to spotkanie nie cieszyła, była przekonana, że jakoś sobie poradzi.

Matt mieszkał dwie przecznice od szkoły. To był prosty, drewniany dom, jak wszystkie inne przy tej ulicy. Może tylko bujana ławeczka na werandzie była bardziej zaniedbana i farba nieco z niej obłaziła. Matt już stał przed domem i na moment na jego widok jej serce zabiło szybciej.

Bo rzeczywiście był przystojny. Nie w taki zapierający dech w piersiach, prawie niepokojący sposób jak - no cóż, niektórzy ludzie - ale zdrową amerykańską urodą. Matt Honeycutt był typowym Amerykaninem. Jasne włosy krótko przystrzygł na sezon futbolowy i był opalony od pracy na świeżym powietrzu na farmie dziadków. Niebieskie oczy patrzyły uczciwie i wprost. Ale dzisiaj, kiedy wyciągnął ramiona, żeby ją lekko uściskać, kryło się w nich nieco smutku.

- Chcesz wejść do środka?

- Nie. Przejdźmy się - poprosiła Elena. Ruszyli ramię w ramię, nie dotykając się. Ulicę obsadzono klonami i orzechami włoskimi. W powietrzu wisiała cisza, jak to rano. Elena wpatrywała się we własne stopy, stąpające po wilgotnym chodniku i nagle poczuła się niepewnie. Nie wiedziała, jak zacząć tę rozmowę.

- Nadal mi nie opowiedziałas o Francji - zagaił.

- Och, było super - stwierdziła. Zerknęła na niego kątem oka. Matt także wbijał wzrok w chodnik. - Wszystko tam było super - ciągnęła, usiłując zabarwić głos odrobiną entuzjazmu. - Ludzie, jedzenie, wszystko. Było naprawdę... - umilkła i roześmiała się nerwowo.

- Taa, wiem. Super - dokończył za nią. Zatrzymał się i stał, wpatrując w swoje zdarte tenisówki. Elena pamiętała je jeszcze z zeszłego roku. Rodzina Matta ledwie wiązała koniec z końcem, być może nie stać go było na nowe buty. Podniosła wzrok i przekonała się, że chłopak spokojnie wpatruje się w jej twarz.

- Wiesz? Ty też w tej chwili wyglądasz super - powiedział.

Elena otworzyła usta, zaskoczona, ale nie dopuścił jej do głosu.

- I domyślam się, że masz mi coś do powiedzenia. - Wytrzeszczyła na niego oczy, a on uśmiechnął się krzywym, nieco smutnym uśmiechem. A potem znów wyciągnął do niej ramiona.

- Och, Matt - rzuciła ze śmiechem i mocno go uściskała. Odsunęła się, żeby mu spojrzeć w twarz. - Nie spotkałam jeszcze faceta, który byłby od ciebie miłszy. Nie zasługuję na ciebie.

- Aha, i dlatego mnie rzucasz - stwierdził Matt, kiedy znów ruszyli w drogę. - Bo jestem dla ciebie zdecydowanie za dobry. Powinienem być już dawno się domyślić.

Lekko trąciła go w ramię.

- Nie, nie dlatego. I wcale cię nie rzucam. Będziemy przyjaciółmi, prawda?

- Och, jasne. Absolutnie.

- Bo zdałam sobie sprawę, że tym właśnie jesteście. - Przystanęła i znów na niego popatrzyła. - Dobrymi przyjaciółmi. Bądź ze mną szczerzy, czy nie tym właśnie dla ciebie jestem?

Popatrzył na nią, a potem uniósł oczy do nieba.

- Mogę mieć na ten temat inne zdanie? - zapytał. A kiedy Elena posmutniała na twarzy, dodał: - To nie ma nic wspólnego z tym nowym facetem, prawda?

- Nie - odpowiedziała po chwili wahania, a potem szybko dorzuciła: - Jeszcze go nawet nie poznałam.

- Ale chcesz poznać. Nie, nie zaprzeczaj. - Objął ją ramieniem i delikatnie obrócił. - Chodź, pójdziemy do szkoły. Jeśli starczy nam czasu, to ci nawet kupię pączka.

Kiedy szli, coś zatrzepotało w gałęziach włoskiego orzecha nad nimi. Matt zagwizdał i pokazał to palcem.

- Patrz! Większej wrony jeszcze nie widziałem! - Elena szybko zerknęła w górę, ale ptaka już nie było.

Szkoła była najlepszym miejscem, w którym Elena mogła wprowadzić w życie swój plan.

Rano obudziła się, wiedząc, co chce zrobić. A potem zebrała tyle informacji na temat Stefano Salvatore, ile się dało. Co nie było trudne, bo w Liceum imienia Roberta E. Lee mówiono tylko o nim.

Wszyscy wiedzieli, że wczoraj miał jakieś starcie z sekretarką. A dzisiaj wezwano go do gabinetu dyrektora. Chodziło o jego papiery. Ale dyrektorka odesłała go z powrotem do klasy. Plotka głosiła, że najpierw odbyła rozmowę telefoniczną z Rzymem. A może to był Waszyngton? I wszystko było załatwione. Przynajmniej oficjalnie.

Kiedy Elena tego popołudnia szła na historię Europy, powitał ją cichy gwizd. Dick Carter i Tyler Smallwood pałętali się po korytarzu. Dwóch etatowych pacanów, pomyślała, ignorując ich zaczepki. Jeden grał w ataku, a drugi jako obrońca w szkolnej drużynie juniorów i dlatego wydawało im się, że są supergośćmi. Zerknęła na nich spod oka, kręcąc się po korytarzu, nakładając szminkę i bawiąc się lusterkiem

pułdniczkę.

Udzielę Bonnie szczegółowych instrukcji. Plan miał zadziałać, kiedy tylko Stefano się pokaże. Lusterko pułdniczkę dawało jej świetny widok na resztę korytarza za plecami.

Ale jakos przegapiła moment, w którym chłopak się pojawił. Nagle znalazł się tuż obok niej. Zatrzasnęła pułdniczkę, kiedy ją mijał. Chciała go zatrzymać, ale nie zdążyła, bo... Coś się stało. Stefano zeszywniał, a przynajmniej zrobił się czujny, jakby coś go niepokoilo. Właśnie wtedy Dick i Tyler stanęli w drzwiach do sali historycznej, blokując wejście.

Światowy rekord cymbalstwa, pomyślała Elena. Rozzłoszczona, spiorunowała ich wzrokiem nad ramieniem Stefano.

Ale im spodobała się zabawa i nadal sterczeli przed drzwiami, udając, że nie widzą, iż Stefano chce wejść do środka.

- Przepraszam. - To był ten sam ton, jakiego użył wobec nauczyciela historii. Grzeczny i obojętny.

Dick i Tyler popatrzyli na siebie, a potem rozejrzeli się wkoło, jakby mieli jakieś słuchowe omamy.

- *Scuzi?* - zapytał Tyler falsetem. - Ty *scuzi?* Ja *scuzi?* Ja *scuzi?* Obaj ryknęli śmiechem.

Elena widziała, jak mięśnie Stefano stężyły pod T-shirtem. To było totalnie nie w porządku - obaj byli od niego wyżsi, a Tyler do tego ze dwa razy szerszy.

- Macie jakiś problem? - Elena zdziwiła się tak samo jak dwaj napastnicy, słysząc za plecami nowy głos. Obróciła się i zobaczyła Matta. Jego niebieskie oczy spoglądały twardo.

Elena zagryzła wargę, tłumiąc uśmiech, kiedy Tyler i Dick odsunęli się niechętnie od drzwi. Pocziwy stary Matt, pomyślała. Tyle że właśnie teraz pocziwy stary Matt wchodził do klasy ramię w ramię ze Stefano, a ona mogła jedynie pójść za nimi, wpatrując się w plecy chłopaków. Kiedy obaj usiedli, wślizgnęła się na miejsce za Stefano, skąd mogła go obserwować, sama nie będąc widziana. Jej plan będzie musiał poczekać, aż się skończą lekcje.

Matt grzechotał drobnymi w kieszeni. Zawsze tak robił, gdy chciał coś powiedzieć.

- Hm, słuchaj - zaczął wreszcie, zmieszany. - Ci faceci, no wiesz... Stefano się roześmiał. To był gorzki śmiech.

- Kim jestem, żeby ich oceniać? - W jego głosie słyszało się więcej emocji niż wtedy, kiedy rozmawiał z panem Tannerem. Ale był to sam smutek. - I niby dlaczego miałbym tu być mile widziany? - dokończył jakby sam do siebie.

- A dlaczego nie? - Matt gapił się na Stefano. Zaciśnął szczękę, jakby podejmując jakąś decyzję. - Słuchaj - powiedział - wczoraj mówiłeś o piłce. Nasz łapacz zerwał sobie ścięgno i potrzebujemy zastępcy. Dziś po południu są kwalifikacje. Co ty na to?

- Ja? - Stefano brzmiał tak, jakby go coś zaskoczyło. - Ja... nie wiem, czy umiem.

- Potrafisz biegać?

- Czy potrafię? - Stefano obrócił się lekko do Matta i Elena zobaczyła, że wargi wykrzywia mu leciutki uśmiešek. - Tak.

- A łapać?

- Tak.

- To wszystko, co musi umieć łapacz. Ja jestem rozgrywającym. Jeśli umiesz złapać to, co rzucę, i pobiec z piłką, to umiesz grać.

- Rozumiem. - Stefano teraz już się prawie uśmiechał i chociaż Matt nadal miał poważną minę, to jego niebieskie oczy skrzyły się radością. Zaskoczona własnymi emocjami Elena zdała sobie sprawę, że jest zazdrosna. Między chłopakami rodziła się jakaś serdeczność, z której ona była zupełnie wykluczona.

Ale po chwili uśmiech Stefano znikł.

- Dziękuję... ale nie. Mam inne zobowiązania - powiedział z rezerwą.

W tym momencie pojawiły się Bonnie i Caroline. A potem zaczęła się lekcja.

Podczas całego wykładu Tannera na temat Europy Elena powtarzała sobie po cichu: „Cześć, nazywam się Elena Gilbert. Jestem w Komitecie Powitalnym Maturzystów i wyznaczono mnie, żeby cię oprowadzić po szkole. Chyba nie chcesz narobić mi kłopotów i pozwolisz wywiązać się z obowiązku, prawda?” Przy ostatnim zdaniu powinna szeroko otworzyć oczy i popatrzeć na niego tęsknie. Ale tylko jeśli zrobi taką minę, jakby

chciał się od tego wykręcić. To był niezawodny sposób - facet ewidentnie uwielbiał ratować damy w opałach.

W połowie lekcji dziewczyna siedząca obok podsunęła jej karteczkę. Elena otworzyła ją i rozpoznała okrągłe, dziecinne pismo Bonnie. „Zatrzymałam O, ile się dało. I jak? Podziało???", przeczytała.

Uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Bonnie, która obróciła się w pierwszej ławce. Elena wskazała karteczkę i pokręciła przecząco głową, bezgłośnie szepcząc: „Po lekcji”.

Wydawało się jej, że minęło sto lat, zanim Tanner wydał jakieś ostatnie instrukcje, związane z pracami semestralnymi i zakończył lekcję. Wszyscy zerwali się na nogi. No to do dzieła, pomyślała Elena i z walącym sercem stanęła dokładnie na drodze Stefano, blokując mu przejście tak, że nie mógł jej wyminąć.

Zupełnie jak Dick i Tyler, pomyślała. Miała chęć roześmiać się histerycznie. Podniosła oczy i zorientowała się, że patrzy wprost na jego usta.

Wszystkie myśli wyparowały jej z głowy. Co zamierzała powiedzieć? Otworzyła usta i powtarzane wcześniej słowa wydostały się z nich nieskładnie:

- Cześć, nazywam się Elena Gilbert. Jestem w Komitecie Powitalnym Maturzystów i wyznaczono mnie, żeby...

- Przepraszam, nie mam czasu. - Przez chwilę nie mieściło jej się w głowie, że Stefano coś mówi. Ze nie dał jej szansy dokończyć. Mimo to dokończyła przygotowaną kwestię.

- ...cię oprowadzić po szkole.

- Przepraszam, nie mogę. Muszę... iść na kwalifikacje do drużyny. - Stefano obrócił się do Matta, który stał obok ze zdumioną miną. - Powiedziałeś, że to zaraz po szkole, prawda?

- Tak - wydukał Matt. - Ale...

- No to lepiej się zbierajmy. Pokażesz mi, gdzie to jest. Matt spojrzał bezradnie na Elenę, a potem wrzucił ramionami.

- No... Jasne, chodź. - Obejrzał się, kiedy odchodzili. Stefano tego nie zrobił.

Elena się obróciła i stanęła twarzą w twarz z kółeczkiem gapiów. Caroline uśmiechała się otwarcie i złośliwie. Elena poczuła, że jej ciało

ogarnia jakieś odrętwienie i że coś ją ściska za gardło. Nie mogła tu zostać ani chwili dłużej. Odwróciła się i szybko wyszła z klasy.

Scandalous

Rozdział czwarty

Kiedy Elena dotarła do swojej szafki, odrętwienie zaczynało mijać, a ucisk w gardle szukał ujścia we łzach. Nie mogła się rozbeczeć w szkole! Zamknęła szafkę i ruszyła do głównego wyjścia.

Już drugi dzień z rzędu wracała do domu zaraz po ostatnim dzwonku. I to sama. Ciocia Judith padnie ze zdumienia. Ale kiedy Elena doszła do domu, samochodu cioci nie było na podjeździe. Razem z Margaret pojechały pewnie do sklepu. Dom był cichy i spokojny, kiedy Elena wchodziła do środka.

Ucieszyła się. Akurat w tej chwili potrzebowała samotności. Ale, z drugiej strony, nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Teraz, kiedy nareszcie mogła sobie popłakać, przekonała się, że łzy nie chcą płynąć. Upuściła plecak na posadzkę holu i powoli poszła do salonu.

To był ładny pokój. Jedyna część domu - poza sypialnią Eleny - która należała do jego dawnej konstrukcji. Ten dawny dom został zbudowany jeszcze przed 1861 rokiem, ale niemal kompletnie spłonął w czasie wojny secesyjnej. Udało się uratować tylko ten pokój, z ozdobnym kominkiem obrzeżonym sztukaterią w ślimacznice, i jeszcze wielką sypialnię ponad nim. Pradziadek ojca Eleny postawił w tym samym miejscu nowy dom i Gilbertowie mieszkali w nim od tamtych czasów.

Chciała wyrzeć przez jedno z sięgających od podłogi do sufitu okien. Grube szyby były tak stare, że zmętniały i wszystko, co znajdowało się na zewnątrz, wydawało się nieco zniekształcone, jakby świat był lekko pijany. Przypomniała sobie, jak ojciec po raz pierwszy pokazał jej te zmętniałe szyby. Miała wtedy mniej lat niż Margaret teraz.

Znów coś ją ścisnęło za gardło, lecz łzy nadal nie chciały popłynąć. Targały nią sprzeczne uczucia. Nie pragnęła towarzystwa, a jednak była boleśnie samotna. Chciała wszystko przemyśleć, ale teraz, kiedy

próbowała, myśli uciekały niczym myszy, chowające się przed sową śnieżną.

Sowa śnieżna... drapieżny ptak... mięsożerca... wrona... - myślała. „Większej wrony jeszcze nie widziałem”, powiedział Matt.

Znów zapiekły ją oczy. Biedny Matt. Zraniła go, a tak ładnie się zachował. I nawet był miły dla Stefano.

Stefano. Serce zabiło jej mocniej i ten łomot wycisnął jej łzy z oczu. Nareszcie mogła się rozpłakać. Płakała z gniewu, z upokorzenia, z frustracji i... Dlaczego jeszcze?

Co dzisiaj tak naprawdę straciła? Co czuła do nieznanego chłopaka, Stefano Salvatore? Owszem ignorował ją i to stanowiło wyzwanie. Sprawiało, że stał się kimś innym niż reszta. Kimś interesującym. Stefano był egzotyczny, on ją... pobudzał.

Zabawne, zwykle to faceci mówili Elenie, że właśnie tak ją widzą. A potem dowiadywała się od nich samych, albo od ich znajomych czy siostr, jak się denerwowali, idąc z nią na randkę. Jak pociły im się dłonie, a w żołądkach latały motyle. Elenę zawsze bawiły takie historie. Ale jeszcze nie spotkała chłopaka, przez którego sama by się denerwowała.

Tymczasem kiedy dzisiaj odezwała się do Stefano, jej puls gnał jak szalony, a kolana się uginały. Dłonie miała wilgotne. A w żołądku fruwały już nie motylki, a stado nietoperzy.

Facet był interesujący tylko dlatego, że przez niego zaczynała się denerwować? To niezbyt dobry powód, żeby się kimś zainteresować. W sumie całkiem kiepski.

Ale chodziło też o jego usta. Ładnie wykrojone wargi, na widok których kolana miękły jej z zupełnie innego powodu niż zdenerwowanie. I czarne jak noc włosy - palce ją świerzbiły, żeby przegarnąć te miękkie fale. I sprężyste ciało, długie nogi... Ten głos. To właśnie ten głos pomógł jej się wczoraj zdecydować. Słyszac go, postanowiła, że na pewno zdobędzie Stefano. Gdy rozmawiał z panem Tannerem, jego ton był chłodny i pogardliwy, ale przy tym wszystkim dziwnie pociągający. Zastanawiała się, czy ten głos umiałby stać się czarny jak noc i jak by zabrzmiał, szepcząc jej imię...

- Elena!

Aż podskoczyła, wyrwana z rozmarzenia. Ale to nie Stefano Salvatore ją wołał, tylko ciocia Judith szarpała się z wejściowymi drzwiami.

- Elena? Elena! - A teraz Margaret wołała ją donośnym i piskliwym głosem. - Jesteś w domu?

Elena znów poczuła się nieszczęśliwa. Rozejrzała się po kuchni. W tej chwili nie była w stanie stawić czoła pełnym niepokoju pytaniom ciotki ani niewinnej radości Margaret. Nie z tymi wilgotnymi rzesami i łzami, które w każdej chwili mogły popłynąć na nowo. W mgnieniu oka podjęła decyzję i w tej samej chwili, w której trzasnęły drzwi frontowe, cicho wyslizgnęła się z domu tylnymi drzwiami.

Na werandzie, a potem w ogrodzie za domem, zawahała się. Nie chciała wpaść na nikogo znajomego. Ale dokąd miała pójść, żeby nie czuć tej samotności?

Oczywiście. Pójdzie odwiedzić mamę i tatę.

To był długi spacer, prawie na skraj miasta, ale przez trzy ostatnie lata Elena przemierzała tę drogę niejedną raz. Przeszła przez most Wickery i wspięła się na wzgórze, minęła ruiny kościoła, a potem zeszła do niewielkiej dolinki poniżej.

Ta część cmentarza była dobrze utrzymana, tylko starsze sektory wyglądały na nieco zapuszczone. Tutaj trawę porządnie przycinano, a bukiety kwiatów tworzyły barwne plamy kolorów przy nagrobkach. Elena przykucnęła obok wielkiego marmurowego kamienia z nazwiskiem „Gilbert”.

- Cześć, mamó. Cześć, tato - szepnęła. Pochyliła się, żeby położyć na grobie bukiet purpurowych niecierpków, które zebrała po drodze. A potem usiadła, podwijając pod siebie nogi.

Często tu bywała od czasu wypadku. Margaret miała wtedy tylko rok, w zasadzie ich nie pamiętała. Ale Elena owszem. Pograżyła się we wspomnieniach, ucisk w gardle zelżał, a łzy popłynęły łatwiej. Tak bardzo za nimi tęskniła. Za matką, wciąż młodą i piękną, i ojcem, któremu w uśmiechu pojawiały się zmarszczki w kącikach oczu.

Oczywiście, miała szczęście, bo została jej jeszcze ciocia Judith. Nie każda ciotka od razu zrezygnowałaby z pracy i przeniosła się z powrotem do małego miasteczka, żeby się opiekować dwiema osieroconymi siostrzenicami. A Robert, narzeczony cioci Judith, był dla

małej Margaret bardziej jak ojczym niż jak przyszywany wujek.

Ale Elena pamiętała rodziców. Czasami, zaraz po pogrzebie, przychodziła tu, żeby się na nich wściekać. Złościć się, że byli tacy głupi i dali się zabić. To było wtedy, kiedy nie znała jeszcze dobrze cioci Judith i czuła, że nigdzie na ziemi nie ma własnego miejsca.

A teraz, gdzie jest moje miejsce? - zastanawiała się. Łatwo było powiedzieć, że tutaj, w Fell's Church, gdzie mieszkała przez całe życie. Ostatnio jednak najprostsze odpowiedzi wydawały się błędne. Czuła, że gdzieś tam, na świecie, musi być coś innego, jakieś inne miejsce, które umiałaby od razu rozpoznać i nazwać domem.

Nagle padł na nią cień. Uniosła oczy, przestraszona. Przez chwilę nie poznawała stojących nad nią dwóch postaci - nieznanymi, jakby nieco groźnymi. Wpatrywała się w nie, zmartwiała.

- Eleno - odezwała się niższym grymasnym tonem, trzymając rękę na biodrze. - Słowo daję, że czasami się o ciebie martwię.

Zamrugła powiekami, a potem roześmiała się krótko. To były Bonnie i Meredith.

- To co człowiek ma zrobić, jeśli chce zapewnić sobie nieco prywatności? - zapytała, kiedy obie siadały.

- Powiedzieć nam, żebyśmy sobie poszły - stwierdziła Meredith, ale Elena tylko wzruszyła ramionami. Po wypadku Meredith i Bonnie często tu po nią przychodziły. Nagle poczuła, że cieszy się z tego i że jest im za to wdzięczna. Jeśli nie miała swojego miejsca nigdzie indziej, to przynajmniej dobrze się tu czuła z przyjaciółkami, którym nie była obojętna. Nie przeszkadzało jej, że widzą, iż płakała. Bez oporu przyjęła zmiętą chusteczkę higieniczną podsunętą przez Bonnie i otarła nią oczy. Chwilę siedziały w milczeniu, patrząc, jak wiatr porusza kępą dębów, rosnących na skraju cmentarza.

- Przykro mi, że tak się porobiło - powiedziała na koniec Bonnie cichym głosem. - To było naprawdę okropne.

- A na drugie imię masz Dyskrecja - stwierdziła Meredith. - Eleno, nie mogło być przecież aż tak źle.

- Nie było cię tam. - Poczowała, że na samo wspomnienie znów robi jej się gorąco na całym ciele. - Było okropnie. Ale wszystko mi jedno - dodała wyzywająco obojętnym tonem. - Skończyłam z nim. I tak go nie

chęć.

- Eleno!

- Nie chcę, Bonnie. Najwyraźniej wyobraża sobie, że jest za dobry dla... dla Amerykanek. Więc może wziąć te swoje designerskie okulary słoneczne i je sobie...

Obie dziewczyny parsknęły śmiechem. Elena wytarła nos i pokręciła głową.

- A więc? - odezwała się do Bonnie, z uporem próbując zmienić temat. - Przynajmniej Tanner był dzisiaj w lepszym humorze.

Bonnie zrobiła minę męczennicy.

- Wiesz, że mnie zmusił, żebym się zapisała jako pierwsza do wygłoszenia ustnej prezentacji? Ale wszystko mi jedno, zrobię prezentację o druidach i...

- O czym?

- O druidach. Tych dziwacznych starcach, którzy zbudowali Stonehenge, uprawiali magię i inne takie w prehistorycznej Anglii. Pochodzę od nich i dlatego jestem medium.

Meredith parsknęła, ale Elena zmarszczyła brwi, wpatrując się w źdźbło trawy, które nawijała na palce.

- Bonnie, czy ty wczoraj naprawdę wyczytałaś coś z mojej dłoni? - zapytała nagle.

Bonnie się zawahała.

- Nie wiem - powiedziała wreszcie. - Ja... Wtedy mi się wydawało, że wyczytałam. Ale czasami ponosi mnie wyobraźnia.

- Wiedziała, że tu jesteś - powiedziała Meredith niespodziewanie. - Chciałam cię szukać w kawiarni, ale Bonnie powiedziała: „Ona jest na cmentarzu”.

- Tak powiedziałam? - Bonnie wyglądała tak, jakby się lekko, ale przyjemnie zdziwiła. - No cóż, same widzicie. Moja babka pochodziła z Edynburga i miała dar jasnowidzenia. Ja też go mam. To się pojawia co drugie pokolenie.

- I jesteś potomkinią druidów - powiedziała Meredith z powagą.

- To prawda! W Szkocji zachowują stare tradycje. Nie uwierzyłabyś, co moja babka potrafi zrobić. Zna sposoby, żeby dowiedzieć się, za kogo wyjdiesz za mąż i kiedy umrzesz. Powiedziała mi, że umrę wcześniej.

- Bonnie!
- Naprawdę. W trumnie będę wyglądała młodo i pięknie. Nie uważacie, że to romantyczne?
- Nie. Uważam, że to straszne - stwierdziła Elena. Cienie się wydłużały i wiatr zaczynał się robić chłodny.
- Więc za kogo wyjdiesz za mąż, Bonnie? - wtrąciła zreżnie Meredith.
- Nie wiem. Babka powiedziała, jaki rytuał trzeba odprawić, żeby się dowiedzieć, ale nigdy tego nie zrobiłam. Oczywiście - Bonnie przybrała minę osoby obytej w świecie - musi być niesamowicie bogaty i totalnie fantastyczny. Jak nasz tajemniczy nieznajomy, na przykład. Tym bardziej że nikt inny go nie chce. - Rzuciła złośliwe spojrzenie w kierunku przyjaciółki.
- Elena nie chwyciła przynęty.
- A może Tyler Smallwood? - podsunęła niewinnie. - Jego ojciec ma chyba wystarczająco dużo kasy.
- I wcale nie jest brzydki - zgodziła się Meredith z powagą. - To znaczy, o ile lubisz zwierzęta. Te jego wielkie białe zębiska.
- Dziewczyny popatrzyły na siebie i równocześnie wybuchnęły śmiechem. Bonnie rzuciła kępą trawy w Meredith, a ta strzepnęła ją z siebie i odwzajemniła się, rzucając w nią dmuchawcem. I nagle Elena poczuła pewność, że wszystko będzie dobrze. Wróci do siebie, przestanie być zagubioną, obcą osobą i pojawi się stara Elena Gilbert, królowa Liceum imienia Roberta E. Lee. Rozwiązała morelową wstążkę i potrząsnęła włosami, aż opadły luźno wokół twarzy.
- Zdecydowałam już, o czym będzie moja ustna prezentacja - powiedziała, obserwując przez zmrużone oczy, jak Bonnie palcami wyczesuje źdźbła trawy z włosów.
- O czym? - spytała Meredith.
- Elena uniosła podbródek i spojrzała na czerwono-fioletowe niebo nad wzgórzem. Powoli wzięła głęboki oddech i jeszcze przez moment trzymała koleżanki w niepewności. A potem oświadczyła spokojnie:
- O włoskim renesansie.
- Bonnie i Meredith wytrzeszczyły na nią oczy, spojrzały na siebie i znów zaniosły się śmiechem.

- Aha! - powiedziała Meredith chwilę później. - A więc drapieżnik powraca.

Elena uśmiechnęła się do niej zaczepnie. Wróciła jej pewność siebie. I chociaż sama tego nie rozumiała, wiedziała jedno - Stefano Salvatore żywy z tego nie wyjdzie.

- No dobrze - powiedziała rześko. - A teraz posłuchajcie mnie obie. Nikt inny nie może o tym wiedzieć albo stanę się pośmiewiskiem całej szkoły. A Caroline wiele by dała za coś, co by mnie ośmieszyło. Ale ja go nadal chcę i zdobędę. Jeszcze nie wiem jak, ale to zrobię. Dopóki nie wymyślę jakiegoś planu, będziemy go ignorować.

- My wszystkie?

- Tak, my wszystkie. Nie możesz go mieć, Bonnie, on jest mój. I muszę móc ci zaufać.

- Chwileczkę - powiedziała Meredith z błyskiem w oku. Odpięła od bluzki emaliowaną broszkę, a potem uniosła kciuk i szybko się ukłuła. - Bonnie, daj mi rękę.

- Po co? - spytała Bonnie, podejrzliwie zerkając na broszkę.

- Bo chcę ci się oświadczyć. A jak sądzisz, po co, idiotko?

- Ale... Ale... Och, niech będzie. Auć!

- A teraz ty, Eleno. - Meredith z wprawą nakłuła kciuk Eleny, a potem go ścisnęła, żeby ukazała się kropelka krwi. - A teraz - ciągnęła, patrząc na pozostałe dwie dziewczyny roziskrzonymi, ciemnymi oczami - przyciśniemy do siebie kciuki i złożymy przysięgę. Zwłaszcza ty, Bonnie. Przysięgnij, że zachowasz całą rzecz w tajemnicy i zrobisz w sprawie Stefano wszystko, co Elena ci każe.

- Słuchajcie, przysięga krwi to niebezpieczna sprawa - zaprotestowała Bonnie zupełnie poważnie. - To znaczy, że musisz jej dotrzymać bez względu na wszystko, Meredith.

- Wiem - odparła Meredith z determinacją. - Dlatego chcę, żebyś to zrobiła. Pamiętam, jak było z Michaeliem Martinem.

Bonnie się skrzywiła.

- To było strasznie dawno temu, a potem zaraz ze sobą zerwaliśmy i... Dobra, niech będzie. Przysięgam. - Zamknęła oczy i powiedziała: - Obiecuję, że zachowam całą rzecz w tajemnicy i zrobię w sprawie Stefano wszystko, co Elena mi każe.

Meredith powtórzyła przysięgę, A potem Elena, patrząc na cień rzucony przez ich złączone kciuki w zapadającym zmierzchu, wzięła głęboki oddech i dodała:

- A ja przysięgam, że nie spocznę, póki on nie będzie mój.

Poryw zimnego wiatru powiał przez cmentarz, rozwiewając włosy dziewczyn i szeleszcząc suchymi liśćmi, zaścielającymi ziemię. Bonnie wydała jakiś stłumiony okrzyk i wszystkie rozejrzały się wkoło, a potem nerwowo zachichotały.

- Zrobiło się ciemno - powiedziała Elena, zdziwiona.

- Lepiej wracajmy do domu - zaproponowała Meredith. Wstała i przypięła sobie broszkę z powrotem. Bonnie też wstała, ssąc czubek kciuka.

- Do widzenia - rzuciła cicho Elena w kierunku nagrobka. Niecierpki rysowały się na ziemi purpurową plamą. Podniosła leżącą koło nich morelową wstążkę i skinęła głową do Bonnie i Meredith. - Chodźmy.

W milczeniu wspinały się na wzgórze w stronę ruin kościoła.

Przysięga krwi wprawiła je wszystkie w poważny nastrój. Kiedy mijaly ruiny, Bonnie przeszedł dreszcz. Po zachodzie słońca zrobiło się zimno i wiatr się wzmaczał. Każdy poryw szeptał wśród traw i sprawiał, że stare dęby szeleściły poruszającymi się liśćmi.

- Zimno mi - powiedziała Elena, przystając na moment przy mrocznym otworze, który kiedyś stanowił drzwi kościoła, i spoglądając na leżącą niżej okolicę.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł i ledwie widziała zarys starego cmentarza i leżący za nim most Wickery. Stary cmentarz datował się na czasy wojny secesyjnej i wiele nagrobków nosiło nazwiska żołnierzy. Miał zaniedbany wygląd: przy grobach rosły jeżyny i wybujałe chwasty; bluszcz porastał rozpadający się granit. Elena nigdy tego miejsca nie lubiła.

- Wygląda inaczej, prawda? To znaczy, po ciemku - powiedziała niepewnym tonem. Nie wiedziała, jak ubrać w słowa to, co przyszło jej na myśl - że to nie jest miejsce dla żywych.

- Możemy iść dłuższą drogą - powiedziała Meredith. - Ale to oznacza kolejne dwadzieścia minut spaceru.

- Ja mogę iść tędy - powiedziała Borinie, z trudem przełykając ślinę.

- Zawsze mówiłam, że chciałabym zostać pochowana tam na dole, na starym cmentarzu.

- Przestań wreszcie gadać o grobach! - ucięła Elena i ruszyła w dół wzgórza. Ale im dalej szła wąską ścieżką, tym mniej pewnie się czuła. Zwolniła i pozwoliła się dogonić Bonnie i Meredith. Kiedy zbliżały się do pierwszych nagrobków, serce zaczęło jej walić szybciej. Próbowwała to zignorować, ale cała skóra ją mrowiła. Czuła, że delikatne włoski na ramionach jej się zjeżyły. Pomiędzy porywami wiatru wszystkie odgłosy zdawały się dziwnie potęgować - chrzęst liści na ścieżce pod ich stopami wręcz ogłuszał.

Ruiny kościoła rysowały się teraz za nimi mroczną sylwetą. Wąska ścieżka prowadziła między pokrytymi porostami nagrobkami, z których wiele było wyższych od Meredith. Elena pomyślała z lękiem, że są dość wysokie, żeby ktoś mógł się za nimi schować. Zresztą niektóre z tych nagrobków mogły wystraszyć, jak na przykład ten z aniołkiem, który wyglądał jak prawdziwe niemowlę, tyle że od rzeźby odpadła głowa i ktoś ostrożnie ułożył ją przy ciele cherubinka. Szeroko otwarte oczy granitowej głowy miały puste spojrzenie. Elena nie mogła oderwać od nich wzroku i serce znów jej przyspieszyło.

- Dlaczego przystajemy? - spytała Meredith.

- Ja... Przepraszam - mruknęła Elena, ale kiedy się obejrzała, natychmiast zeszywniała. - Bonnie? - powiedziała. - Bonnie, co się dzieje?

Bonnie wpatrywała się w cmentarz z otwartymi ustami, a oczy miała szeroko otwarte i równie puste, jak kamienny cherubin. Elenie strach ścisnął żołądek.

- Bonnie, przestań. Przestań! To nie jest śmieszne. Bonnie nie reagowała.

- Bonnie! - krzyknęła Meredith. Spojrzały na siebie z Eleną i nagle Elena poczuła, że musi stamtąd uciec. Obróciła się na pięcie, chcąc iść dalej ścieżką, ale jakiś dziwny głos odezwał się za jej plecami, więc obróciła się znów raptownie.

- Eleno - usłyszała. To nie był głos Bonnie, a przecież wychodził z jej ust. Błada w otaczającym mroku, Bonnie nadal wpatrywała się w cmentarz. Twarz miała zupełnie pozbawioną wyrazu. - Eleno -

powtórzył głos, a potem dodał, kiedy Bonnie obróciła się w jej stronę. - Ktoś tam na ciebie czeka.

Elena nigdy nie mogła sobie przypomnieć, co tak naprawdę wydarzyło się w ciągu następnych kilku minut. Wydawało się, że coś się porusza wśród ciemnych, przygarbionych sylwetek nagrobków, że się tam przemieszcza i rośnie. Elena wrzasnęła, Meredith też. I obie rzuciły się do ucieczki. Bonnie pobiegła za nimi z krzykiem.

Elena gnała wąską ścieżką, potykając się o kamienie i kępki wilgotnych liści. Bonnie tuż za nią szlochała i z trudem łapała oddech. A Meredith, spokojna i cyniczna Meredith, dziko dyszała. W gałęziach dębu nad nimi nagle coś zatrzepotało i wrzasnęło. Elena przekonała się, że jednak może biec jeszcze szybciej.

- Za nami coś jest! - krzyknęła piskliwie Bonnie. - O Boże, co się dzieje?

- Na most - sapnęła Elena, pokonując płomień palący ją w płucach. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że muszą się tam dostać. - Nie zatrzymuj się, Bonnie! Nie oglądaj się za siebie! - Złapała dziewczynę za rękaw i pociągnęła, nie pozwalając się obrócić.

- Nie dam rady - płakała Bonnie, przywierając do jej boku, z bezradną miną.

- Dasz! - warknęła Elena i znów złapała Bonnie za rękaw, zmuszając do dalszego biegu. - No już. Dalej!

Przed nimi dostrzegła srebrzysty połysk wody. Pomiędzy dębami pojawiła się wolna przestrzeń, a tuż za nią most.

Pod Eleną ugięły się nogi, a oddech świzczał jej w gardle, ale nie zwolniła kroku. Teraz widziała już drewniane bale mostu. Do mostu zostało tylko dziesięć metrów... potem pięć... potem metr...

- Udało się - wysapała Meredith, a jej stopy zadudniły na moście.

- Nie przystawaj! Na drugi brzeg!

Most skrzypiał, kiedy chwiejnym krokiem biegły po nim na drugą stronę, a woda niosła echem odgłos ich kroków. Kiedy zeskoczyła na ubita ziemię na drugim brzegu, wreszcie puściła rękaw Bonnie. Stanęła.

Meredith zgięła się w pół, opierając dłonie na udach i łapiąc głębokie wdechy. Bonnie płakała.

- Co to było? Och, co to było? - spytała. - Czy to nadal nas goni?

- Myślałam, że to ty jesteś ekspertem od takich spraw - powiedziała Meredith łamiącym się głosem. - Na litość boską, Eleno, wynośmy się stąd.

- Nie, teraz już w porządku - szepnęła Elena. Ona też miała łzy w oczach i dygotała na całym ciele, ale znikło już wrażenie, że ktoś gorącym oddechem dyszy w jej kark. Między tym czymś a nią rozciągała się rzeka, tocząca swoje ciemne wody. - Tutaj nas nie dogoni - powiedziała.

Meredith wytrzeszczyła na nią oczy. Potem popatrzyła na drugi brzeg, gęsto porośnięty dębami i na Bonnie. Oblizwała wargi i roześmiała się krótko.

- Jasne. Tu nas nie dogoni. Ale wracajmy do domu tak czy inaczej, dobra? Chyba że chcesz tu spędzić całą noc.

Elena wzdrygnęła się pod wpływem jakiegoś uczucia, którego nie umiała nazwać.

- Nie dzisiaj, dzięki - rzuciła. Objęła ramieniem nadal pochlipującą Bonnie. - Już dobrze, Bonnie. Już jesteśmy bezpieczne. Chodź.

Meredith znów obejrzała się na rzekę.

- Wiesz, nic tam nie widzę - rzekła już spokojniej. - Może nic za nami nie biegło? Może bez powodu spanikowałyśmy? Z niewielkim wsparciem obecnej tu druidzkiej kapłanki.

Elena nie odpowiedziała. Ruszyły w dalszą drogę, trzymając się blisko siebie na ścieżce z ubitej ziemi. Miała wątpliwości. Bardzo wiele wątpliwości.

Rozdział piąty

Księżyc w pełni świecił mu dokładnie nad głową. Stefano wracał do pensjonatu. Kręciło mu się w głowie i prawie się zataczał ze zmęczenia oraz nadmiaru krwi. Już dawno nie pozwolił sobie na tak obfity posiłek. Ale eksplozja nieokiełznanej mocy przy cmentarzu porwała go szaleństwem, pozbawiając resztek już i tak osłabionej samokontroli. Nie wiedział, skąd pojawiła się moc. Z kryjówki wśród cieni obserwował te dziewczyny, kiedy nagle moc wybuchła za jego plecami. Dziewczyny rzuciły się do ucieczki. Rozdarty między obawą, że powpadają do rzeki, a chęcią zbadania mocy i odkrycia jej źródła, podążył na koniec za Eleną. Nie mógł znieść myśli, że coś jej się stanie.

Coś czarnego odleciało w stronę lasu, kiedy ludzkie istoty znalazły schronienie na moście. Nawet swoimi nocnymi zmysłami Stefano nie mógł wyczuć, co to było. Przyglądał się, jak Elena i te dwie ruszają w stronę miasta. A potem zawrócił na cmentarz.

Teraz był pusty, wolny od obecności, która kryła się tam wcześniej. Na ziemi leżał cienki pasek jedwabiu, który ludziom w mroku wydałby się szary. Ale Stefano zobaczył jego prawdziwą barwę i mnąc materiał między palcami, podniósł powoli do ust, czując zapach jej włosów.

Ogarnęły go wspomnienia. Wystarczająco źle było wtedy, kiedy jej nie widział. Gdy chłodny blask jej jaźni tylko łaskotał go na skraju świadomości. Ale być z nią w tej samej sali w szkole, czuć jej obecność za plecami i odurzający zapach jej skóry wszędzie dokoła siebie - to było więcej, niż potrafił znieść.

Słyszał każdy jej oddech, czuł na plecach promieniejące od niej ciepło, wyczuwał każde uderzenie słodkiego pulsu. I wreszcie, ku własnemu przerażeniu, przekonał się, że poddaje się tym uczuciom. Językiem przeciągnął po swoich wilczych zębach, napawając się

gromadzącym się w nich bólem zmieszonym z przyjemnością. Ciesząc się nim. Z premedytacją wdychał jej zapach i pozwalał napływać wizjom. Jak delikatna byłaby jej szyja, gdyby jego usta dotknęły jej, obsypując lekkimi pocałunkami. Dotarłyby do niewielkiego zagłębienia u podstawy szyi. Musnąłby to miejsce. Poczował, jak pod skórą mocno uderza jej puls. I wreszcie pozwoliłby ustom się rozchylić, obnażając obolałe zęby, teraz ostre niczym małe sztylety, i...

Nie! Drgnął i wybił się z transu. Krew tętniła mu w żyłach mocno, nierówno. Trząśnięcie na całym ciele. Lekcja się skończyła. Uczniowie zaczęli wstawać z ławek. Miał tylko nadzieję, że nikt mu się nie przyglądał zbyt uważnie.

Kiedy się do niego odezwała, nie mógł uwierzyć, że stoi naprzeciwko niej, w żyłach czując płomień i z obolałą szczęką. Przez moment obawiał się, że straci panowanie nad sobą, że złapie ją za ramiona i posmakuje na oczach wszystkich. Nie miał pojęcia, jak udało mu się uciec, poza tym że jakiś czas później rozładowywał nadmiar energii w intensywnych ćwiczeniach fizycznych, tylko na wpół świadomy, że nie wolno mu wykorzystywać mocy. To nie miało znaczenia. Nawet bez niej pod każdym względem przewyższał chłopców, którzy rywalizowali z nim na boisku futbolowym. Wzrok miał lepszy, refleks szybszy, mięśnie silniejsze. Wreszcie jakaś dłoń klepnęła go w plecy i usłyszał Matta:

- Gratulacje! Witaj w drużynie!

Spoglądając w tę szczerą, uśmiechniętą twarz, Stefano poczuł wstyd. Gdybyś tylko wiedział, czym jestem, nie uśmiechałbyś się do mnie, pomyślał ponuro. Wygrałem wasze eliminacje dzięki oszustwu. A dziewczyna, którą kochasz - bo kochasz ją, prawda? - właśnie o niej cały czas myślę.

I rzeczywiście myślał o niej ciągle tego popołudnia, mimo że z całych sił próbował wybić ją sobie z głowy. Jak niewidomy ruszył z lasu w stronę cmentarza, przyciągany jakąś siłą, której nie rozumiał. A kiedy już się tam znalazł, obserwował ją, walcząc z sobą i ogarniającą go potrzebą, dopóki fala mocy nie sprawiła, że dziewczyny uciekły. Poszedł do domu, ale dopiero, kiedy się posilił. Kiedy już stracił panowanie nad sobą.

Nie mógł sobie przypomnieć, jak to się stało. Zaczęło się od fali

mocy, która rozbudziła w nim instynkty, które wolał pozostawiać w uśpieniu. Potrzebę polowania. Głód pogoni, zapachu lęku i dzikiego triumfu zabijania. Minęły lata - wieki - odkąd czuł tę potrzebę z taką siłą. Żyły paliły go żywym ogniem. Wszystkie myśli zasnęła czerwienią, nie mógł myśleć o niczym innym poza tym gorącym, miedzianym posmakiem, pierwotną energią, krwią.

Nadal czując, jak roznosi go ta gorączka, podszedł wtedy o krok czy dwa w stronę dziewczyn. Lepiej nie myśleć, co mogło się zdarzyć, gdyby nie wyczuł woni tamtego starego człowieka. Ale kiedy dotarł do mostu, pochwyił nosem ostrą, charakterystyczną woń ludzkiego ciała.

Ludzkiej krwi. Najpotężniejszego eliksiru, zakazanego wina. Parującej esencji samego życia, upajającego bardziej niż jakikolwiek alkohol. Był taki zmęczony walką z tą potrzebą.

Na brzegu pod mostem wyczuł jakiś ruch w stercie szmat. W mgnieniu oka Stefano wylądował obok kocim, pełnym gracji ruchem. Szarpnął ręką i ściągnął łachmany, obnażając pomarszczoną twarz wieńczącą wychudłą szyję. Człowiek wytrzeszczył na niego oczy. Stefano obnażył zęby.

A potem były już tylko odgłosy posiłku.

Teraz, z trudem wchodząc po schodach pensjonatu, usiłował o tym nie myśleć. Nie chciał też myśleć o niej - o dziewczynie, która kusila go swoim ciepłem i żywotnością. To jej pragnął, ale musi to jakoś powstrzymać. Od tej pory będzie zabijać w sobie wszelkie takie myśli, zanim się jeszcze narodzą. Dla własnego dobra i dla jej dobra. Bo był czymś, co można nazwać jej najgorszym sennym koszmarem, a ona nawet tego nie wiedziała.

- Kto tam? To ty, chłopcze? - zawołał ostro chrapliwy głos. Drzwi na pierwszym piętrze się otworzyły i wyjrzała zza nich siwa głowa.

- Tak signora... Proszę pani. Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem.

- Ach, trzeba czegoś więcej niż skrzypiące klepki, żeby mnie wystraszyć. Zamknąłeś drzwi, wchodząc?

- Tak, signora. Jest pani... bezpieczna.

- Słusznie. Musimy dbać o bezpieczeństwo. Nigdy nie wiadomo, na co się można natknąć w tych lasach, prawda? - Spojrzał przelotnie na uśmiechniętą drobną twarz otoczoną kosmykami siwych włosów. Na

jasne bystre oczy. Czy krył się w nich jakiś sekret?

- Dobranoc, signora.
- Dobranoc, chłopcze. - Zatrzasnęła drzwi.

W pokoju padł na łóżko i leżał, wpatrując się w niski, skośny sufit.

Zwykle w nocy kręcił się niespokojnie, to nie była jego naturalna pora na sen. Ale dziś był zmęczony. Tak wiele energii trzeba było, żeby wyjść na słońce, a obfity posiłek przyczynił się do ogarniającego go bezwładu. Niebawem, chociaż nie zamykał oczu, przestał widzieć bielony sufit nad głową.

Wspominał. Katherine, tak urocza tamtego wieczoru przy fontannie. Promienie księżycy srebrzące jej bladozłote włosy. Czuł się wtedy taki dumny, siedząc z nią i będąc wybrańcem, z którym podzieliła się tajemnicą...

- I nigdy nie możesz wychodzić na słońce?
- Mogę, owszem, o ile noszę to. - Uniosła małą, białą dłoń i promień księżycy zaśnił na pierścionku z lazurytem.
- Ale słońce ogromnie mnie męczy. Nigdy nie miałam zbyt wiele siły.

Stefano popatrzył na nią, na delikatne rysy jej twarzy i drobną sylwetkę. Była prawie tak niematerialna jak szklana przędza. Nie, nie mogła mieć wiele siły.

- Jako dziecko często chorowałam - powiedziała cicho, spojrzenie utkwivszy w wodzie wypływającej z fontanny.

- Ostatnim razem chirurg powiedział wreszcie, że umrę. Pamiętam, że papa płakał i pamiętam, jak leżałam w swoim wielkim łóżku, zbyt słaba, żeby się poruszyć. Nawet oddychanie sprawiało mi wielki trud. Bardzo mi było smutno odchodzić z tego świata i było mi zimno, tak bardzo zimno.

- Zadrżała, a potem się uśmiechnęła.
- I co się stało?
- Obudziłam się w środku nocy i zobaczyłam Gudren. Stała przy łóżku. A potem usunęła się na bok i dostrzegłam mężczyznę, którego przyprowadziła. Byłam przerażona. Na imię miał Klaus i słyszałam, jak ludzie z wioski opowiadali, że w nim jest zło. Prosiłam, żeby mnie ratowała, ale ona tylko stała i patrzyła. Kiedy przytknął usta do mojej

szyi, myślałam, że mnie zabije.

Przerwała. Stefano przyglądał jej się z przerażeniem i współczuciem, a ona uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Właściwie to wcale nie było straszne. Najpierw trochę bolało, ale szybko przestało. A potem wrażenie było wręcz przyjemne. Kiedy pozwolił mi się napić własnej krwi, poczułam się silniejsza, niż byłam od miesiący. A potem wspólnie odczekaliśmy godziny, które pozostały do świtu. Kiedy przyszedł chirurg, nie mógł uwierzyć, że mam dość sił, żeby usiąść i mówić. Papa powiedział, że to cud i rozplakał się ze szczęścia. - Jej twarz się nachmurzyła. - Wkrótce będę musiała opuścić papę. Któregoś dnia zda sobie sprawę, że od tamtej choroby nie postarzałam się ani o jeden dzień.

- I nigdy się nie postarzejesz?

- Nie. To jest właśnie cudowne, Stefano! - Spojrzała na niego z dziecinną radością. - Zawsze będę młoda i nigdy nie umrę! Możesz to sobie wyobrazić?

Nie potrafił jej sobie w żaden sposób wyobrazić innej niż w tej chwili: uroczej, niewinnej, idealnej.

- Ale... Nie bałaś się na początku?

- Najpierw trochę tak. Ale Gudren pokazała mi, co robić. To ona podpowiedziała, żebym kazała zrobić dla siebie ten pierścionek z kamieniem, który ochroni mnie przed światłem słońca. A gdy leżałam w łóżku, przynosiła mi kubki z ciepłym jedzeniem. A potem zaczęła przynosić drobne zwierzęta, które łapał w sidła jej syn.

- Ludzi... nie? Zadźwiewał jej śmiech.

- Oczywiście, że nie. Gołąb dostarcza mi wszystkiego, czego mi potrzeba na jedną noc. Gudren mówi, że jeśli chcę zyskać siłę, powinnam pić ludzką krew, bo esencja życiowa jest u ludzi najsilniejsza. I Klaus też mnie namawiał, znów chciał ze mną wymieszać krew. Ale powiedziałam Gudren, że nie chcę siły. A jeśli chodzi o Klause... -przerwała i opuściła wzrok, tak że gęste rzęsy rzuciły cień na jej policzki. Bardzo cichym głosem ciągnęła: - Moim zdaniem to nie jest coś, na co można się zdecydować pochopnie. Napiję się ludzkiej krwi, dopiero, kiedy znajdę sobie towarzysza. Kogoś, kto zechce trwać przy moim boku przez całą wieczność. - Spojrzała na niego z powagą.

Stefano uśmiechnął się do niej, czując, że kręci mu się w głowie. Był taki dumny. Z trudem ukrywał szczęście, jakie go w tej chwili ogarnęło.

Ale to było zanim jego brat, Damon, wrócił z uniwersytetu. Zanim Damon spojrział w błękitne jak lazuryt oczy Katherine.

Stefano jęknął. A potem znów ogarnęła go ciemność i przez głowę zaczęły przebiegać kolejne obrazy.

Były to pojedyncze urywki przeszłych zdarzeń niełączące się w żaden logiczny ciąg. Przyglądał im się niczym scenom, na moment oświetlonym blaskiem błyskawicy. Twarz jego brata wykrzywiona w wyrazie nie ludzkiej furii. Błękitne oczy Katherine, błyszczące i roześmiane, kiedy obracała się na palcach w nowej białej sukni. Błysk bieli pod drzewem cytrynowym. Ciężar szpady w dłoni, wołający z oddali głos Giuseppe. Drzewo cytrynowe. Nie wolno mu iść za drzewo cytrynowe. Znów zobaczył twarz Damona, ale tym razem brat śmiał się dziko. Śmiał się i śmiał, śmiechem, który przypominał zgrzyt tłuczonego szkła. A drzewo cytrynowe było teraz bliżej...

- Damon! Katherine! Nie!

Usiadł na łóżku prosto jak kij.

Rozdygotanymi dłońmi przeczesał włosy. Próbował uspokoić oddech.

Okropny sen. Od dawna nie torturowały go koszmary. W sumie od bardzo dawna w ogóle o niczym nie śnił. Kilka ostatnich scen snu wciąż na nowo pojawiało mu się przed oczyma i znów zobaczył drzewo cytrynowe i usłyszał śmiech brata.

Ten śmiech rozbrzmiewał mu w myślach niemal zbyt wyraźnym echem. Nagle nieświadomy, że zdecydował się w ogóle poruszyć - Stefano przekonał się, że stoi przy otwartym oknie. Nocne powietrze chłodem owiewało mu policzki, kiedy wyglądał w srebrzysty mrok.

- Damon? - Wysłał na fali mocy poszukiwawczą myśl. A potem zamarł w kompletnym bezruchu, nasłuchując wszystkimi zmysłami.

Nie poczuł niczego, najdrobniejszej fali w odpowiedzi. W pobliżu para nocnych ptaków poderwała się do lotu. W mieście większość umysłów spała, w lasach nocne zwierzęta krzątały się wokół swoich tajemnych sprawek.

Westchnął i cofnął się w głąb pokoju. Może się mylił co do tego śmiechu. Może nawet mylił się co do zagrożenia, czającego się na

cmentarzu. Fell's Church trwało w bezruchu, spokojne. Powinien wziąć przykład z reszty miasteczka. Potrzebował snu.

5 września (w sumie 6 września nad ranem, mniej więcej koło pierwszej w nocy)

Drogi pamiętniku,

Powinnam wracać do łóżka. Ale zaledwie parę minut temu obudziłam się, przekonana, że ktoś krzyczy, a teraz w domu jest cicho. Dziś wieczorem wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że nerwy mam po prostu w strzępach. Ale przynajmniej obudziłam się, wiedząc dokładnie, co mam zrobić w sprawie Stefana. Wszystko, ot tak, ułożyło mi się w głowie. Plan B, faza pierwsza wchodzi w życie z samego rana.

Oczy Frances pały, a jej policzki się zaczerwieniły, kiedy zbliżyła się do trzech dziewczyn przy stoliku.

- Eleno, posłuchaj tylko!

Uśmiechnęła się do niej uprzejmie, ale z dystansem. Frances pochyliła brązowowłosą głowę.

- To znaczy... Mogę się do was przysiąc? Właśnie usłyszałam coś dziwnego na temat Stefano Salvatore.

- Siadaj - pozwoliła łaskawie Elena. - Ale - dodała, smarując bułkę masłem - nie jesteśmy w sumie takie znów zainteresowane tymi rewelacjami.

- Wy...? - Frances wytrzeszczyła na nią oczy. A potem spojrzała na Meredith i wreszcie na Bonnie. - Żartujecie, dziewczyny, prawda?

- Ależ skąd. - Meredith nadziała strączek fasolki szparagowej na widelec i przyjrzała mu się w zamyśleniu. - Dzisiaj przejmujemy się czymś innym.

- Dokładnie - potwierdziła Bonnie chwilę później. - Stefano to już stara sprawa. Wiesz, było, minęło. - A potem pochyliła się i pomasowała kostkę.

Frances spojrzała na Elenę błagalnie.

- Ale ja myślałam, że chcesz się wszystkiego o nim dowiedzieć.
- Ciekawość - powiedziała Elena. - Mimo wszystko jest tu nowy i chciałam, żeby poczuł się w Fell's Church dobrze. Ale, oczywiście, muszę być lojalna wobec Jean-Claude'a.

- Jean-Claude'a?

- Jean-Claude'a - powiedziała Meredith, unosząc brwi i wzdychając.

- Jean-Claude'a - potwierdziła dzielnie Bonnie. Ostrożnie, kciukiem i palcem wskazującym, Elena wydobyła z plecaka zdjęcie.

- Tu jest, stoi przed domkiem, w którym mieszkałam. Zaraz potem zerwał dla mnie kwiat i powiedział.. No cóż - uśmiechnęła się tajemniczo. - Nie powinnam tego powtarzać.

Frances gapiła się na zdjęcie. Widniał na nim opalony młody mężczyzna, stojący przed krzewem hibiskusa i nieśmiało uśmiechnięty.

- Jest od ciebie starszy, prawda? - zapytała z szacunkiem.

- Ma dwadzieścia jeden lat. Oczywiście - Elena obejrzała się przez ramię - ciotka nigdy by się na to nie zgodziła, więc ukrywamy to przed nią, dopóki nie skończę szkoły. Musimy pisać do siebie w tajemnicy.

- Jakie to romantyczne - westchnęła Frances. - Nie powiem żywej duszy, obiecuję. Ale co do Stefano...

Elena uśmiechnęła się do niej z wyższością.

- Jeśli już mam jeść po europejsku - powiedziała - to zawsze wybiorę kuchnię francuską zamiast włoskiej. - Obróciła się do Meredith. - Mam rację?

- Hm. Całkowitą. - Meredith i Elena wymienili znaczące uśmiechy, a potem spojrzały na Frances. - Zgodzisz się z nami?

- Och, tak - powiedziała szybko Frances. - Też tak sądzę.

Absolutnie. - Uśmiechnęła się tak samo jak one i wreszcie sobie poszła.

Kiedy znikła, Bonnie odezwała się żałośnie:

- Eleno, to mnie zabije. Umrę, jeśli się nie dowiem, co to były za plotki.

- Ach, tamto? Sama mogę ci powiedzieć - odparła Elena spokojnie. - Miała zamiar nam oznajmić, że chodzą słuchy, że Stefano Salvatore ćpa.

- Co takiego? - Bonnie wytrzeszczyła oczy, a potem wybuchnęła śmiechem. - Przecież to śmieszne. Jaki ćpun, na litość boską, tak by się ubierał i nosił ciemne okulary? To znaczy, który narkoman robi co się

tylko da, żeby zwrócić na siebie uwagę... - Umilkła, a potem szeroko otworzyła oczy. - No ale z drugiej strony, może właśnie po to tak robi. Kto by podejrzewał kogoś, kto się tak rzuca w oczy? A poza tym mieszka sam, jest taki skryty... Eleno! Co, jeśli to prawda?

- To nie jest prawda - powiedziała Meredith.

- Skąd wiesz?

- Bo sama rozpuściłam tę plotkę. - Na widok miny Bonnie uśmiechnęła się szeroko i dodała: - Elena mi kazała.

- Och... - Bonnie spojrzała z podziwem na Elenę. - Jesteś przebiegła. Mogę zacząć wmawiać ludziom, że on jest śmiertelnie chory?

- Nie, nie możesz. Nie chcę, żeby ustawiły się do niego w kolejce wszystkie pielęgniarki z powołania, żeby go trzymać za rękę. Ale możesz opowiadać ludziom co tylko chcesz na temat Jean-Claude'a.

Bonnie podniosła zdjęcie.

- A tak naprawdę to kim on jest?

- Ogrodnikiem. Ma świra na punkcie tych krzewów hibiskusa. Poza tym jest żonaty i ma dwoje dzieci.

- Szkoda - powiedziała Bonnie całkiem poważnie. - Ale powiedziałaś Frances, żeby nikomu o tym nie mówiła...

- Właśnie. - Elena zerknęła na zegarek. - Co znaczy, że, powiedzmy tak do drugiej, powinno się to roznieść po całej szkole.

Po szkole dziewczyny poszły do Bonnie. Przy frontowych drzwiach powitało je jazgotliwe szczekanie, a kiedy Bonnie otworzyła drzwi, usiłował się zza nich wymknąć na zewnątrz bardzo stary i bardzo gruby pekińczyk. Wabił się Jangcy i był tak rozpuszczony, że nie cierpieli go wszyscy poza matką Bonnie. Spróbował ugryźć Elenę w kostkę, kiedy go mijala.

Salon był ciemnawy i zatłoczony, z mnóstwem wymyślnych mebli i ciężkimi zasłonami w oknach. Pośrodku pokoju stała Mary, siostra Bonnie. Właśnie odpinała czepek od wijących się rudych włosów. Była tylko dwa lata starsza od Bonnie i pracowała jako pielęgniarka w klinice Fell's Church.

- Och, Bonnie - powiedziała. - Cieszę się, że wróciłaś. Cześć, Eleno. Meredith.

Elena i Meredith przywitały się z nią.

- Coś się stało? Chyba jesteś zmęczona - spytała Bonnie. Mary upuściła czepek na stolik do kawy. Zamiast odpowiedzieć, sama zadała pytanie:

- Wczoraj wieczorem, kiedy wróciłaś do domu taka zdenerwowana, mówiłaś, że gdzie byliście?

- Na dole przy... Tuż obok mostu Wickery.

- Tak właśnie myślałam. - Mary wzięła głęboki oddech.

- Posłuchaj mnie, Bonnie McCullough. Masz tam nigdy więcej nie chodzić, a już zwłaszcza nie sama. I nie w nocy. Jasne?

- Ale dlaczego nie? - zapytała Bonnie, zaskoczona.

- Bo wczoraj wieczorem ktoś został tam zaatakowany. Oto dlaczego. A wiesz, gdzie go znaleźli? Na samym brzegu, tuż obok mostu Wickery.

Elena i Meredith spojrzały na nią z niedowierzaniem, a Bonnie chwyciła Elenę za ramię.

- Kogoś zaatakowano pod mostem? Co się stało?

- Nie wiem. Dziś rano jeden z pracowników cmentarza zauważył, że ktoś tam leży. To był bezdomny. Ale kiedy go przywieźli, był na wpół żywy i nie odzyskał jeszcze przytomności. Może nie przeżyć.

Elena z trudem przełknęła ślinę.

- Jak to, został zaatakowany?

- Chodzi mi o to - powiedziała Mary dobitnym głosem - że ktoś mu niemal rozerwał gardło. Stracił niesamowicie dużo krwi. Najpierw myśleli, że to może jakieś zwierzę, ale teraz doktor Lowen mówi, że to musiał być człowiek. A policja uważa, że ktoś, kto to zrobił, może się ukrywać na cmentarzu. - Mary popatrzyła na każdą z dziewczyn po kolei, zaciskając usta w wąską linijkę. - Więc jeśli byliście przy moście albo na cmentarzu, to ten człowiek mógł być tam wtedy, kiedy i wy. Jasne?

- Nie musisz nas straszyć - odezwała się Bonnie słabym głosem. - Zrozumialiśmy.

- Dobrze. Nie ma sprawy. - Mary się zgarbiła i ze znużeniem potarła kark. - Muszę się położyć. Nie chciałam być opryskliwa. - I po tych słowach wyszła z pokoju.

Dziewczyny popatrzyły na siebie.

- To mogła być jedna z nas - powiedziała Meredith cicho. - A

zwłaszcza ty, Eleno, poszłaś tam sama.

Elenę przeszły ciarki. Ogarnęło ją to samo uczucie, co na cmentarzu. Jakby otaczały ją zewsząd te wysokie nagrobki i jakby powiał zimny wiatr. Słońce i Liceum imienia Roberta E. Lee nigdy nie wydawały się bardziej odległe.

- Bonnie - zaczęła powoli - czy widziałaś kogoś? Czy o to ci chodziło, kiedy powiedziałaś, że ktoś tam na mnie czeka?

W półmroku salonu Bonnie spojrzała na nią, jakby nic nie rozumiała.

- O czym ty mówisz? Nic takiego nie mówiłam.

- Owszem, mówiłaś.

- Nieprawda!

- Bonnie - odezwała się Meredith - obie cię słyszałyśmy. Gapiałaś się na te stare nagrobki, a potem powiedziałaś Elenie...

- Nie mam pojęcia, o co wam chodzi! - Twarz Bonnie ściągnął gniew, ale w oczach miała łzy. - I nie chcę już więcej o tym rozmawiać.

Elena i Meredith wymieniły bezradne spojrzenia. Na zewnątrz słońce schowało się za chmurą.

Rozdział szósty

26 września

Drogi pamiętniku,

Przepraszam, że tak długo nie pisałam. Sama nie wiem, dlaczego tak się stało. Może o niektórych sprawach będę się opowiedzieć nawet tobie.

Po pierwsze, stało się coś strasznego. Tego wieczoru, kiedy z Bonnie i Meredith byłyśmy na cmentarzu, jakiś włóczęga został tam zaatakowany i prawie zabity. Policja nadal nie znalazła sprawcy. Ludzie uważają, że ten włóczęga oszalał, bo kiedy się ocknął, zaczął wrzeszczeć o jakichś „oczach w mroku”, o dębach i innych takich. Ale ja pamiętam, co nam się przytrafiło tamtego wieczoru i wiem swoje. To mnie przeraża.

Wszyscy byli przez jakiś czas przestraszeni i dzieciaki musiały siedzieć w domach po zmroku albo wolno im było wychodzić tylko grupkami. Ale minęły już trzy tygodnie, nic takiego nie wydarzyło się ponownie, więc emocje powoli opadają. Ciocia Judith twierdzi, że musiał to zrobić jakiś inny bezdomny. Ojciec Tylem Smallwooda zasugerował nawet, że ten starzec mógł to sobie zrobić sam - chociaż ciekawa jestem, w jaki sposób człowiek miałby sam sobie przegryźć gardło.

Ale najbardziej byłam zajęta planem B. Jak na razie wszystko idzie dobrze. Dostałam już kilka listów i bukiet czerwonych róż od „Jean-Claude'a” (wujek Meredith ma kwiaciarnię), i chyba wszyscy zdążyli zapomnieć, że w ogóle byłam kiedyś zainteresowana Stefano. Tak więc moja pozycja towarzyska nie jest zagrożona. Nawet Caroline nie sprawiała mi ostatnio żadnych kłopotów.

W sumie nie wiem, co Caroline porabiała w ostatnich dniach i zupełnie mnie to nie obchodzi. Nie widuję jej już w czasie lunchu ani po szkole, tak jakby zupełnie się odsunęła od swojej dawnej paczki.

W tej chwili obchodzi mnie tylko on. Stefano.

Nawet Bonnie i Meredith nie mają pojęcia, jakie to dla mnie ważne.

Boję się im o tym powiedzieć. Boję się, że pomyślą, że zwariowałam. W szkole noszę maskę spokoju i opanowania, ale w środku... No cóż, każdy dzień jest trudniejszy niż poprzedni.

Ciocia Judith zaczęła się o mnie martwić. Mówi, że ostatnio za mało jem i ma rację. Nie mogę się skoncentrować nad lekcjami ani nawet na niczym przyjemnym, na przykład na zbiórce funduszy na halloweenową imprezę. Nie mogę się skoncentrować na niczym, poza nim. I nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje.

Nie odezwał się do mnie od tamtego okropnego popołudnia. Ale powiem ci coś dziwnego. W zeszłym tygodniu na historii podniosłam wzrok i przyłapałam go na gapieniu się na mnie. Siedzieliśmy kilka miejsc od siebie, a on przy swoim stoliku siedział dokładnie bokiem i tylko patrzył. Na moment aż się przeraziłam, a serce zaczęło mi szybko walić i tak po prostu się na siebie gapiliśmy. A potem odwrócił wzrok. Ale od tamtej pory to się powtórzyło jeszcze dwa razy i za każdym razem czułam na sobie jego spojrzenie, zanim zdążyłam podnieść wzrok i zobaczyć, że patrzy. To szczerą prawdą. Wiem, że sobie tego nie wyobraziłam.

Stefano nie przypomina żadnego chłopaka, jakiego dotąd poznałam.

Wydaje mi się samotny i odcięty od ludzi. Ale to jego własna decyzja. W drużynie futbolowej radzi sobie świetnie, mimo to nie zadaje się z żadnym z chłopaków. Może poza Mattem. Tylko z nim rozmawia. Z dziewczynami też nie gada - o ile wiem - więc może ta plotka o ćpaniu jednak się na coś przydała. Ale wygląda na to, że to on unika ludzi, a nie oni jego. Znika między lekcjami i po treningach. I nigdy go nie widuję w stołówce. Nigdy nikogo nie zaprosił do swojego pokoju w pensjonacie. Nigdy nie zagląda po szkole do kawiarni.

Więc jak ja mam go złapać w jakimś miejscu, gdzie nie będzie mógł przede mną Uciec? To prawdziwy problem. Bonnie mówi: A dlaczego nie miałabyś znaleźć się z nim gdzieś sam na sam w czasie burzy? Musielibyście się do siebie przytulić, żeby nie dopuścić do wychłodzenia organizmów. Meredith z kolei podsunęła, że samochód powinien mi się zepsuć przed jego pensjonatem. Ale żaden z tych dwóch pomysłów nie jest najlepszy, a ja dostaję świra, usiłując wymyślić coś innego.

Każdy dzień jest dla mnie trudniejszy niż poprzedni. Czuję się, jakbym

*była jakimś zegarem i jakby ktoś coraz mocniej nakręcał mi sprężynę.
Jeśli nie znajdę sobie szybko jakiegoś zajęcia, to...*

Miałam zamiar napisać: „umrę”.

Wyjście z sytuacji przyszło jej do głowy zupełnie nagle. I było proste. Żałowała Matta. Wiedziała, że zraniły go te plotki o Jean-Claudzie. Prawie się do niej nie odzywał, odkąd ta historia się rozeszła. Zwykle mijał ją, witając tylko szybkim skinieniem głowy. A kiedy któregoś dnia wpadła na niego na pustym korytarzu, przed lekcją kreatywnego pisania, uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem.

- Matt... - zaczęła. Chciała mu powiedzieć, że to nieprawda, że nigdy nie zaczęłaby spotykać się z jakimś innym chłopakiem, nie uprzedzając go o tym. Chciała wyjaśnić, że nigdy nie zamierzała go zranić i że teraz czuje się okropnie. Ale nie wiedziała, od czego zacząć. Wreszcie wykrztusiła tylko: - Przepraszam cię. - A potem zawróciła, żeby wejść do klasy.

- Eleno - odezwał się, a ona się odwróciła. Teraz przynajmniej na nią patrzył, jego spojrzenie błądziło po jej ustach, włosach. A potem pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma za co przepraszać. - Ten Francuz to tak na serio? - zapytał wreszcie.

- Nie - odparła Elena natychmiast i bez wahania. - Wymyśliłam go - dodała wprost. - Żeby pokazać wszystkim, że się wcale nie przejmuję... - urwała.

- Że się nie przejmujesz Stefano. Rozumiem. - Matt pokiwał głową, jednocześnie z większym smutkiem i większym zrozumieniem. - Posłuchaj, Eleno, on się faktycznie zachował niefajnie. Ale moim zdaniem nie było w tym nic osobistego. On taki jest dla wszystkich...

- Poza tobą.

- Nie. Gada ze mną, czasami, ale nigdy o niczym osobistym. Nic nie mówi o rodzinie ani *co* robi poza szkołą. To tak... To tak, jakby wokół niego był jakiś mur, którego nie umiem przebić. Moim zdaniem on nikogo poza ten mur nie wpuści. I wielka szkoda, bo myślę, że wcale nie jest mu z tym dobrze.

Elena zastanowiła się nad tym. Ona sama nigdy nie wzięłaby tego pod uwagę. Stefano zawsze wydawał się opanowany, spokojny i niewzruszony. Ale z drugiej strony wiedziała, że inni ludzie ją widzą tak samo. Czy możliwe, że w głębi duszy Stefano czuje się tak samo zagubiony i nieszczęśliwy jak ona?

I wtedy przyszedł jej do głowy ten śmiesznie prosty pomysł. Żadnych skomplikowanych intryg, żadnych burz ani psujących się samochodów

- Matt - zaczęła powoli - nie sądzisz, że byłoby dobrze, gdyby ktoś zdołał przebić ten mur? To znaczy, dobrze dla Stefano? Zgodzisz się, że nic lepszego nie mogłoby go spotkać? - Spojrzała na niego przenikliwie, pragnąc, żeby rozumiał.

Przez chwilę przyglądał się jej, a potem na moment zamknął oczy i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Eleno - powiedział. - Jesteś niesamowita. Owijasz sobie ludzi wokół palca i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. A teraz chcesz mnie prosić, żebym ci pomógł zastawić pułapkę na Stefano. A ja jestem takim cholernym durniem, że możliwe, że się na to zgodzę.

- Nie jesteś durniem, jesteś dżentelmenem. I tak, chcę cię poprosić o przysługę, ale tylko jeśli uznasz, że to w porządku. Nie chcę ranić Stefano. Nie chcę też ranić ciebie.

- Nie chcesz?

- Nie. Wiem, jak to musi brzmieć, ale to prawda. Ja tylko chcę... - Znów urwała. Jak miała mu wyjaśnić, czego chce, skoro sama tego nie rozumiała?

- Ty tylko chcesz, żeby wszyscy i wszystko kręciło się dokoła Eleny Gilbert - powiedział z goryczą. - Chcesz po prostu tego wszystkiego, czego nie masz.

Zaszokowana, cofnęła się o krok i spojrzała na niego. Coś ją ścisnęło w gardle, a w oczach zaczęły się zbierać gorące łzy.

- Przestań - powiedział. - Eleno, nie patrz tak na mnie. Przepraszam cię - westchnął. - Dobrze. To co mara zrobić? Związać go i dostarczyć ci na wycieraczkę?

- Nie - powiedziała Elena, nadal usiłując powstrzymać łzy. - Chciałam tylko, żebyś go namówił, aby w przyszłym tygodniu przyszedł na jesienny bal.

Matt zrobił dziwną minę.

- Żeby przyszedł na bal. Elena pokiwała głową.
- Dobrze. Jestem prawie pewien, że się tam pojawi. I, Eleno...

Naprawdę, poza tobą, nie chcę tam nikogo zabierać.

- Dobrze - powiedziała Elena po chwili. - Aha, i wiesz... Dziękuję ci. Matt nadal miał tę dziwną minę.

- Nie dziękuj mi, Eleno. To nic takiego... Naprawdę. Jeszcze się nad tym głowiła, kiedy się odwrócił i odszedł w głąb korytarza.

- Nie ruszaj się - powiedziała Meredith i pociągnęła Elenę za pasmo włosów gestem dezaprobaty.

- Wciąż uważam, że obaj byli cudowni - odezwała się Bonnie z siedzenia w oknie.

- Kto? - mruknęła Elena z roztargnieniem.

- Jakbyś nie wiedziała. - Bonnie jęknęła. - Tych twoich dwóch facetów, którzy wczoraj cudem, w ostatniej chwili uratowali mecz.

Kiedy Stefano złapał piłkę, myślałam, że zemdleję. Albo zwymiotuję.

- Przestań - zażądała Meredith.

- A Matt? Ten chłopak to po prostu poezja...

- Żaden z nich nie jest mój - powiedziała kategorycznie Elena. Za sprawą wprawnych palców Meredith jej włosy zamieniały się właśnie w dzieło sztuki, w miękką masę poskręcane gołota. A sukienka była taka jak trzeba, w kolorze lodowatego fioletu, dzięki któremu jej oczy nabierały lawendowego blasku. Mimo to zdawała sobie sprawę, że wygląda blado i... zdecydowanie. Nie jak zaróżowiona z emocji dziewczyna, ale jak pobielaty na twarzy i zdeterminowany żołnierz, którego właśnie wysyłają na linię frontu.

Gdy wczoraj stanęła na boisku futbolowym w momencie, kiedy wywołano jej nazwisko jako królowej jesiennego; balu, w głowie miała tylko jedną myśl. Stefano nie może odmówić tańca z nią. Jeśli w ogóle przyjdzie na bal, to nie *mo*-że odmówić tańca z królową jesiennego balu. Teraz, stojąc przed lustrem, znów to sobie powtórzyła.

- Dzisiaj każdy, kogo zechcesz, będzie twój - powiedziała uspokajająco Bonnie. - Aha, posłuchaj, kiedy pozbędziesz się Matta, mogę się nim zająć i go pocieszyć?

Meredith parsknęła.

- A co sobie pomyśli Raymond?

- Och, jego może ty pocieszysz. Ale serio, Eleno, lubię Matta. A kiedy już dopadniesz Stefano, trochę wam się zrobi za ciasno w tym trójkątku. A więc...

- Rób, co chcesz. Mattowi należy się trochę czułości. - A na pewno nie dostanie jej ode mnie, pomyślała Elena. Nadal nie do końca mieściło jej się w głowie, że go tak potraktowała. Ale w tej akurat chwili nie mogła sobie pozwolić na wątpliwości co do własnych zamiarów. Potrzebowała całej swojej siły i koncentracji.

- No już. - Meredith wsunęła ostatnią szpilkę we włosy Eleny. - Tylko na nas popatrzcie. Oto królowa jesiennego balu i jej dwór. A przynajmniej jego część. Jesteśmy piękne.

- To była królewska liczba mnoga? - zażartowała Elena. Ale Meredith mówiła prawdę. Były piękne. Sukienka Meredith z wiśniowego atłasu była zebrana mocno w talii i puszczone w luźnych fałdach od bioder. Ciemne włosy przyjaciółka rozpuściła na plecach. A Bonnie, kiedy wstała i dołączyła do nich przed lustrem, wyglądała jak błyszcząca laleczka, cała w różowej tafcie i czarnych cekinach.

A jeśli chodzi o nią samą... Elena przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze i znów się zastanowiła. Suknia była w porządku. Jedyne określenie, jakie jej przychodziło do głowy to: „kandyzowane fiołki”. Jej babcia trzymała kiedyś słoiczek takich prawdziwych kwiatków, obtaczanych w cukrze i zamrożonych.

Razem zeszły na dół, tak jak zwykle przed każdą imprezą, odkąd skończyły siódmą klasę - poza tym, że kiedyś zawsze towarzyszyła im Caroline. Z lekkim zdziwieniem Elena zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, z kim Caroline przyjdzie dzisiaj wieczorem.

Ciocia Judith i Robert - który już niedługo miał zostać wujkiem Robertem - siedzieli w salonie razem z Margaret ubraną w piżamkę.

- Och, dziewczyny, wyglądacie ślicznie - powiedziała ciocia tak poruszona i ożywiona, jakby to ona wybierała się na bal. Pocałowała Elenę, a Margaret wyciągnęła do siostry rączki, żeby ją uściskać.

- Jesteś ładna - powiedziała ze szczerością czterolatki. Robert też zerkał na Elenę. Zamrugnął oczami, otworzył usta i znów je zamknął.

- O co chodzi, Bob?

- Och. - Spojrzał na ciocię Judith z zażenowaniem. -No cóż, w sumie przyszło mi do głowy, że Elena to odmiana imienia Helena. A z jakiegoś powodu pomyślałem o Helenie Trojańskiej.

- Piękna i przeklęta - powiedziała radośnie Bonnie.

- No cóż, owszem - zgodził się Robert, ale nie miał szczęśliwej miny.

Elena milczała.

Zdzwonił dzwonek przy drzwiach. Matt stał na stopniu, w swojej znajomej granatowej sportowej kurtce. Przyszli z nim Ed Goff, z którym się umówiła Meredith, i Raymond Hernandez - randka Bonnie. Elena szukała wzrokiem Stefano.

- Pewnie już tam jest - powiedział Matt, który zrozumiał jej spojrzenie. - Posłuchaj, Eleno...

Ale cokolwiek miał jej do powiedzenia, przerwała mu gadanina pozostałych dwóch par. Bonnie i Raymond pojechali razem z nimi samochodem Matta i przez całą drogę do szkoły nie przestawali sypać żartami.

Z otwartych drzwi auli płynęła muzyka. Kiedy Elena wysiadła z samochodu, ogarnęła ją jakaś dziwna pewność! Spoglądając na budynek szkoły, zdała sobie sprawę, że coś się na pewno zdarzy.

Jestem gotowa, pomyślała. I miała nadzieję, że to prawda.

W środku było kolorowo, tłumnie i radośnie. Gdy tylko weszli do sali, otoczyli ich znajomi, i oboje z Mattem zostali zasypani gradem komplementów - suknia Eleny, jej fryzura, kwiaty. A Matt to rodząca się legenda, nowy Joe Montana, pewny kandydat do sportowego stypendium na studia.

W tym oszałamiającym zamieszaniu, w którym powinna czuć się jak ryba w wodzie, Elena rozglądała się za ciemnowłosą głową Stefano.

Tyler Smallwood dyszał jej nad karkiem mieszaniną ponczu, bruta i gumy doublemint. Dziewczyna, z którą przyszedł, miała minę, jakby go chciała zabić. Elena zignorowała go w nadziei, że sobie pójdzie.

Pan Tanner minął ich z rozmiękłym kubkiem papierowym w dłoni. Wyglądał, jakby uwierał go kołnierzyk koszuli. Sue Carson, druga w kolejce pretendentka do tronu królowej jesiennego balu, podeszła do niej niedbałym krokiem i zaczęła gruchać coś na temat fioletowej sukni.

Bonnie już znalazła się na parkiecie i skrzyła w światłach. Ale Elena nigdzie nie widziała Stefano.

Jeśli jeszcze raz poczuje gumę doublemint, zrobi jej się słabo. Trąciła Matta łokciem i uciekli w stronę stołów z jedzeniem, gdzie trener Lyman wdał się w analizę meczu. Pary i grupki podchodziły do nich, przystawały na parę minut, a potem wycofywały się i robiły miejsce następnym. Zupełnie, jakbyśmy naprawdę byli królewską parą, przemknęła Elenie przez głowę szalona myśl. Zerknęła, chcąc sprawdzić, czy Matt podziela jej rozbawienie, ale on patrzył nieruchomym wzrokiem gdzieś w lewo.

Poszła za jego spojrzeniem. I tam, za grupką graczy futbolowych, znalazła chłopaka, którego szukała. Nie mogła się mylić, nawet w przyćmionym świetle. Przeszedł ją dreszcz bardziej przypominający ból niż cokolwiek innego.

- A teraz co? - odezwał się Matt przez zaciśnięte zęby. - Mam go związać?

- Nie. Mam zamiar poprosić go do tańca, to wszystko. Jeśli chcesz, zaczekam i najpierw zatańczę z tobą.

Pokręcił przecząco głową, a ona ruszyła przez tłum w stronę Stefano.

Podchodząc, Elena obserwowała go uważnie. Czarna marynarka miała nieco inny krój niż te noszone przez pozostałych chłopaków, była bardziej elegancka, pod nią miał biały kaszmirowy sweter. Stał w kompletnym bezruchu, nieco z dala od otaczających go grupek i nie kręcił się. I chociaż widziała go tylko z profilu, dostrzegła, że nie nosił ciemnych okularów.

Oczywiście, zdjął je na mecz, ale jeszcze nigdy nie widziała go bez nich z bliska. Poczula się podekscytowana i ożywiona, zupełnie jakby to była jakaś maskarada i właśnie przyszedł czas na zdjęcie masek. Skupiła wzrok na jego ramieniu, na linii szczęki, a on już się odwracał w jej stronę.

W tej samej sekundzie do Eleny dotarło, że jest piękna. I nie chodziło tylko o sukienkę ani sposób uczesania. Była piękna sama w sobie - szczupła królewska istota z jedwabiu i ognia. Zobaczyła, że on lekko, odruchowo rozchyła usta i wreszcie zajrzała mu w oczy.

- Cześć. - Czy to był jej własny głos, taki spokojny i pewny siebie?

Oczy miał zielone jak liście dębu latem. Jak się bawisz? - spytała.

Teraz już lepiej. Nie powiedział tego, ale wiedziała, że właśnie to sobie pomyślał. Widziała to w jego spojrzeniu. Jeszcze nigdy nie była tak pewna własnej siły. Tyle że Sterano nie wyglądał tak, jakby się ucieszył na jej widok. Raczej jak-by coś go uderzyło, zabiło, jakby nie mógł już ani chwili dłużej znieść tego wszystkiego.

Orkiestra zaczynała grać jakiś wolny taniec. A on nadal patrzył. Spijał ją wzrokiem. Zielone oczy pociemniały, poczerniały pragnieniem. Nagle wydało jej się, że może ją przyciągnąć do siebie i pocałować mocno, nie mówiąc ani słowa.

- Chciałbyś zatańczyć? - zapytała miękko. Igram z ogniem, z czymś, czego nie rozumiem, pomyślała nagle. I w tym samym momencie zorientowała się, że jest przerażona. Serce zaczęło jej mocno walić. Zupełnie tak, jakby te zielone oczy przemawiały do jakiejś części jej samej, dobrze ukrytej gdzieś w głębi. I jakby ta część krzyczała do niej: „Uważaj!” Instynkt stary jak świat podpowiadał, żeby rzucić się do ucieczki.

Nie ruszyła się. Ta sama siła, którą ją przerażała, przykuwała ją do miejsca. Zupełnie nad tym nie panując, pomyślała. Cokolwiek miało się zdarzyć, wykraczało poza jej zrozumienie, nie było niczym normalnym ani zwyczajnym. Teraz nie można już było tego powstrzymać i choć przerażona, napawała się tą chwilą. Stefano patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Odpowiedziała tym samym, a przestrzeń między nimi aż kipiała od energii, zupełnie jak w czasie uderzenia pioruna. Zobaczyła, że jego oczy ciemnieją, że on się poddaje i poczuła, jak jej własne serce dziko zabiło, kiedy powoli wyciągnął do niej dłoń.

I wtedy czar przysł.

- Ależ słodko wyglądasz, Eleno - odezwał się ktoś.

Elena kątem oka dostrzegła złotą kreację, kasztanowe włosy bujne i błyszczące i skórę opaloną na idealny odcień brązu. To była Caroline. Miała na sobie sukienkę ze złotej lamy, która bardzo odważnie podkreślała jej figurę. Jedną rękę wsunęła pod ramię Stefano i uśmiechnęła się do niego leniwie. Wyglądali wspaniale, niczym para modeli o międzynarodowej sławie, która zablądziła na szkolną imprezę - o wiele bardziej wyrafinowani i eleganccy niż ktokolwiek inny na tej

sali.

- A ta sukieneczka jest bardzo ładna - ciągnęła Caroline. Elena pomyślała, że ręka wsunięta pod ramię Stefano tłumaczy wszystko: gdzie się podziewała Caroline w czasie lunchu przez te ostatnie tygodnie i co właściwie przez ten cały czas knuła. - Mówiłam Stefano, że po prostu musimy tu choć na moment zajrzeć, ale długo nie zostaniemy. Więc nie pogniewasz się, ale zatrzymam go dla siebie do tańca, dobrze?

Elena była teraz dziwnie spokojna, choć w głowie miała pustkę. Powiedziała, że oczywiście, nie ma nic przeciwko i patrzyła, jak Caroline i Stefano odchodzą razem.

Wokół Eleny pojawiła się grupka znajomych, odwróciła się od nich i podeszła do Matta.

- Wiedziałeś, że przyjdzie tu z nią?

- Wiedziałem, że Caroline tego chce. Kręciła się koło niego w czasie lunchu i po szkole. W sumie trochę mu się narzucała. Ale...

- Rozumiem. - Nadal czuła ten dziwny, nienaturalny spokój.

Przyglądała się ludziom i zauważyła, że w jej stronę idzie Bonnie, a Meredith odchodzi od stołu. A więc widziały. Pewnie wszyscy widzieli. Bez słowa ruszyła w stronę dziewczyn. Wszystkie skierowały się do damskiej łazienki.

Pełno w niej było dziewczyn, a Meredith i Bonnie rzucały lekkie, obojętne uwagi, jednocześnie zerkając na nią z troską.

- Widziałaś tamtą sukienkę? - powiedziała Bonnie ukradkiem ściskając palce Eleny. - Przód musiał się trzymać na klej. Co ona włoży na następną imprezę? Celofan?

- Przezroczystą folię kuchenną - powiedziała Meredith a ciszej dodała: - Wszystko w porządku?

- Tak. - Elena widziała w lustrze, że oczy ma zbyt jasne i że na policzkach wykwitły jej plamy czerwieni. Poprawiła włosy i się odwróciła.

Łazienka opustoszała. Zostały w niej same. Bonnie mię-ia teraz nerwowo kokardę z cekinami przy talii.

- Może to jednak lepiej - powiedziała cicho. - No bo myślałaś przez te ostatnich kilka tygodni tylko o nim. Już prawie miesiąc. Więc może tak jednak będzie lepiej, a ty będziesz się teraz mogła zająć innymi

sprawami, zamiast... uganiać się za nim.

I ty, Brutusie, pomyślała Elena.

- Dzięki wielkie za wsparcie - stwierdziła ironicznie.

- Nie bądź taka - wtrąciła Meredith. - Ona wcale nie próbuje cię zranić, tylko uważa, że...

- Pewnie ty myślisz tak samo, co? No cóż, nie ma problemu. Po prostu zacznę się teraz zajmować innymi sprawami. Na przykład znajdę sobie nowe najlepsze przyjaciółki. - Zostawiła je, gapiące się na nią, i wyszła.

Na zewnątrz znów pochłonął ją wir kolorów i muzyki. Była weselsza niż kiedykolwiek na jakiegokolwiek imprezie. Tańczyła ze wszystkimi, śmiała się za głośno, flirtowała z każdym chłopakiem, którego widziała.

Teraz wywoływali ją na podium, żeby ją ukoronować. Stała tam, spoglądając na barwne jak motyle sylwetki poniżej. Ktoś wręczył jej kwiaty, ktoś wpiął ze włosy diadem. Rozległy się oklaski. To wszystko toczyło się jak we śnie.

Po zejściu z podium zaczęła flirtować z Tylerem, bo stał najbliżej. A potem przypomniała sobie, jak on i Dick potraktowali Stefano, więc wyjęła jedną różę z bukietu i mu ją wręczyła. Matt spoglądał na nią gdzieś z boku, usta miał zaciśnięte. Zapomniana towarzyszka Tylera była bliska płaczu.

W oddechu Tylera wyczuwała teraz alkohol obok mięty, twarz miał zaczerwienioną. Wszędzie dokoła niej byli jego przyjaciele - głośny, roześmiany tłum. Zobaczyła, że Dick dolewa coś z butelki w papierowej torbie do trzymanej w ręku szklaneczki ponczu.

Jeszcze nigdy nie bawiła się z nimi. Była tu mile widziana, podziwiana, a chłopcy prześcigali się, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Sypały się żarty, a Elena śmiała się, nawet kiedy ich nie rozumiała. Tyler objął ją ramieniem w talii. Roześmiała się głośniej. Kącikiem oka dostrzegła, że Matt kręci głową i odchodzi. Dziewczyny zaczynały się robić krzykliwe, chłopcy niesforni. Tyler wilgotnymi wargami muskał jej kark.

- Mam pomysł - oświadczył wszystkim, mocniej przyciągając do siebie Elenę. - Chodźmy gdzieś, gdzie będzie fajniej.

- Na przykład, gdzie, Tyler? Do domu twoich rodziców? Tyler

uśmiechnął się szerokim, zuchwałym uśmiechem.

- Nie, mam na myśli miejsce, gdzie będziemy mogli trochę poszaleć.
Na przykład cmentarz.

Dziewczyny pisnęły. Chłopcy zaczęli się trącać łokciami i na żarty przepychać.

Dziewczyna, z którą przyszedł Tyler, nadal kręciła się na obrzeżach grupki.

- Tyler, to jakieś wariactwo - powiedziała wysokim, cienkim głosem.

- Wiesz, co się stało z tamtym włóczęgą. Ja nie idę.

- Świetnie, zostań tutaj. - Tyler wyciągnął kluczyki z kieszeni i pomachał nimi w stronę reszty tłumu. - Kto się nie boi? - zapytał.

- Hej, ja w to wchodzę - powiedział Dick. Zawtórował mu chórek chętnych głosów.

- Ja też - powiedziała Elena wyzywającym tonem Uśmiechnęła się do Tylera, a on prawie ją podniósł z ziemi w uścisku.

A potem razem z Tylerem prowadzili rozkrzyczaną, rozbrykaną grupkę na parking, gdzie wszyscy powiadali do samochodów. A jeszcze potem Tyler opuścił dach swojego kabrioletu, a ona wsiadała do środka. Dick i Vickie Bennett: rozsiedli się na tylnym siedzeniu.

- Eleno! - zawołał ktoś z daleka, z oświetlonego wejścia do szkoły.

- Jedź - powiedziała do Tylera, zdejmując diadem. Silnik samochodu zaczął pomrukiwać. Z parkingu wyjechali z piskiem opon, a Elenie owiał twarz chłodny, nocny wiatr.

Rozdział siódmy

Bonnie tańczyła na parkiecie, przymykając oczy, pozwalając, żeby porwała ją muzyka. Kiedy je na moment otworzyła, Meredith przywoływała ją gdzieś z boku gestem ręki. Bonnie wojowniczo wysunęła podbródek, ale kiedy gesty stawały się coraz bardziej naglące, spojrzała na Raymonda, przewróciła oczami i posłuchała. Raymond poszedł za nią.

Matt i Ed stali za Meredith. Matt marszczył brwi, a Ed miał zmieszana minę.

- Elena właśnie wyszła - powiedziała Meredith.
- To wolny kraj - stwierdziła Bonnie.
- Wyszła z Tylerem Smallwoodem - poinformowała ją Meredith. -

Matt, jesteś pewien, że nie słyszałeś, dokąd jada?

Pokręcił głową.

- Powiedziałbym, że jeśli coś się stanie, to sama tego chciała. Ale w sumie, w pewnym sensie to moja wina - stwierdził ponuro. - Chyba powinniśmy za nią pojechać.

- I wyjść z imprezy? - zirytowała się Bonnie. Spojrzała na Meredith, która bezgłośnie szepnęła do niej: „Obiecałaś”. - W głowie mi się to nie mieści - mruknęła buntowniczo.

- Nie wiem, jak ją znajdziemy - powiedziała Meredith - ale musimy spróbować. - A później dodała dziwnie niepewnym głosem. - Bonnie, nie wiesz, dokąd ona pojechała?

- Co? Nie, oczywiście, że nie. Tańczyłam przecież. Wiesz, właśnie to się robi, kiedy się idzie na imprezę.

- Ty i Ray tu zostańcie - zwrócił się Matt do Eda. - Jeśli Elena wróci, powiedzcie, że jej szukamy.

- Jeśli mamy jechać, lepiej zrobmy to od razu - wtrąciła cierpko

Bonnie. Odwróciła się i wpadła na faceta w czarnej marynarce. - Przepraszam - rzuciła ostro. Podniosła wzrok i zobaczyła Stefano Salvatore. Nie odezwał się ani słowem, kiedy Bonnie razem z Mattem i Meredith szła do wyjścia, zostawiając za sobą Eda i Raymonda, z nieszczęśliwymi minami.

Gwiazdy były jakieś odległe. Świeciły lodowato jasnym światłem na tle bezchmurnego nieba. Elena czuła się zupełnie jak one. Jakaś jej część się śmiała i coś wykrzykiwała razem z Dickiem, Vickie i Tylerem, głośno, żeby zagłuszyć świst wiatru. Ale inna część obserwowała to wszystko z oddali.

Tyler zaparkował gdzieś w połowie wzgórza z ruinami kościoła, zostawiając włączone światła, kiedy wysiedli. Chociaż za nimi spod szkoły wyruszyło jeszcze parę samochodów, wydawało się, że tylko oni ostatecznie pojechali na cmentarz.

Tyler otworzył bagażnik i wyjął z niego sześciopak piwa.

- Tym więcej dla nas. - Podał piwo Elenie, ale ta pokręciła głową, usiłując zignorować nieprzyjemne uczucie w żołądka. Czuła, że źle się stało, że się tu znalazła. Ale za żadne skarby by się teraz do tego nie przyznała.

Wspięli się po wykładanej kamiennymi płytami ścieżce. Dziewczyny się potykały w butach na wysokich obcasach i opierały na chłopcach. Kiedy doszli na górę, Elena wstrzymała oddech, a Vickie wyrwał się okrzyk.

Coś wielkiego i czerwonego wisiało tuż nad horyzontem. Dopiero po chwili do Eleny dotarło, że to po prostu księżyc. Był wielki i wyglądał równie nieprawdziwie jak rekwizyt w filmie science fiction. Napęczniały krąg połyskiwał słabą, nieprzyjemną poświatą.

- Zupełnie jak jakaś wielka nadgniła dynia - powiedział Tyler i cisnął kamieniem w stronę księżycy. Elena zmusiła się do rzucenia mu promiennego uśmiechu.

- Może wejdziemy do środka? - powiedziała Vickie, wskazując pusty otwór po drzwiach kościoła.

Dach w większości zapadł się do środka, chociaż dzwonnica nadal była nienaruszona, a wieża wznosiła się wysoko nad ich głowami. Stały jeszcze trzy ściany kościoła, czwarta sięgała kolan. Wszędzie wały się

stosy gruzu.

Tuż obok półeczka Eleny rozbłysło jakieś światełko. Obróciła się. Ze zdziwieniem zobaczyła, że Tyler trzyma zapalniczkę. Uśmiechnął się do niej, obnażając białe, zdrowe zęby.

- Potrzebna ci latareczka, mała? - spytał.

Żeby ukryć zmieszanie, Elena roześmiała się najgłośniejszym ze wszystkich. Wzięła od niego zapalniczkę i oświetliła grobowiec, wmurowany w ścianę kościoła. Nie przypominał żadnego innego nagrobka na tym cmentarzu, chociaż ojciec mówił Elenie, że widywał takie w Anglii. Wyglądał jak wielka biała kamienna skrzynia, wystarczająco duża dla dwojga ludzi. Na jego pokrywie dwie marmurowe postacie spoczywały w leżących pozach.

- Thomas Keeping Fell i Honoria Fell - powiedział Tyler, robiąc szeroki gest, jakby ich sobie przedstawiał. - Stary Thomas podobno założył Fell's Church. Chociaż w sumie Smallwoodowie też już tu wtedy mieszkali. Prapradziadek mojego pradziadka mieszkał w dolinie przy Drowning Creek.

- Ale go wilki zjadły - dokończył Dick i odrzucił głowę do tyłu, naśladując wilcze wycie. Potem mu się odbiło Vickie zachichotała. Przystojne rysy twarzy Tylera na moment zniekształciła irytacja, ale zmusił się do uśmiechu.

- Thomas i Honoria jakoś blado wyglądają - stwierdziła Vickie, nadal rozchichotana. - Przydałoby im się nieco koloru. - Z torebki wyjęła szminkę i zaczęła malować białą marmurową usta posągu tłustym szkarłatem. Elena poczuła, że znów ją coś ściska w żołądku. Jako dziecko zawsze podziwiała tę bladą damę i poważnego mężczyznę, którzy leżeli z zamkniętymi oczyma i dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. A po śmierci własnych rodziców myślała, że właśnie tak leżą obok siebie na cmentarzu. Mimo to uniosła zapalniczkę, kiedy dziewczyna dorysowywała szminką wąsy i nos klauna Thomasowi Fellowi.

Tyler przyglądał się rzeźbom.

- Hej, tak się wystroili i nie mają dokąd pójść. - Oparł dłonie po obu stronach krawędzi kamiennej pokrywy i próbował ją przesunąć na bok. - Wiesz co, Dick? Może pomożemy im skoczyć na miasto? Na przykład

wybrać się do centrum?

Nie, pomyślała Elena, przerażona, kiedy Dick ryknął, rozbawiony, a Vickie roześmiała się piskliwie. Ale Dick już stanął obok Tylera. Zbierał siły i się szykował, kładąc dłonie na kamiennej pokrywie nagrobka.

- Na trzy - powiedział Tyler i zaczął odliczać: - Jeden, dwa, trzy!

Elena nie mogła oderwać oczu od okropnej maski klauna na twarzy Thomasa Fella, kiedy chłopcy się mocowali i stękali, naprężając mięśnie pod ubraniem. Nie udało im się przesunąć płyty ani o centymetr.

- To cholerstwo musi być jakoś przymocowane od spodu - stwierdził Tyler z gniewem, odwracając się od nagrobka.

Elenie zrobiło się słabo z ulgi. Oparła się o kamienną płytę nagrobka, żeby nie upaść. Wtedy to się stało.

Usłyszała zgrzyt kamienia i poczuła, że pod jej lewą dłońią płyta zaczyna się przesuwać. Straciła równowagę. Upuściła zapalniczkę i krzyknęła. Potem jeszcze raz, usiłując utrzymać się na nogach. Czuła, że wpada do otwartego nagrobka, a wokół niej zaczyna szumieć lodowaty wiatr. Słyszała jakieś wrzaski.

A potem stała przed kościołem. Księżyc świecił na tyle jasno, że widziała pozostałych. Tyler ją podtrzymywał. Rozejrzała się wkoło dzikim wzrokiem.

- Zwariowałaś? Co się stało? - Tyler nią potrząsał.

- Ona się poruszyła! Ta płyta się poruszyła! Zaczęła się otwierać i, sama nie wiem, czułam, że wpadam do środka. Było mi zimno...

Chłopcy zaczęli się śmiać.

- Biedulka się wystraszyła - powiedział Tyler. - Chodź, Dickie, chłopie, sprawdzimy, co tam się dzieje.

- Tyler, nie...

Ale i tak weszli do środka. Vickie przystanęła w progu i patrzyła. Elena drżała. Po chwili Tyler pomachał do niej, żeby weszła do kościoła.

- Patrz - powiedział, kiedy niechętnie zajrzała do budynku. Znalazł zapalniczkę, a teraz podniósł ją wysoko nad płytą nagrobną Thomasa Fella. - Nadal tam siedzą zamknięci. Mają jak u Pana Boga za piecem.

Elena gapiała się na pokrywę nagrobka, idealnie przylegającą do podstawy.

- Ona się naprawdę poruszyła. Prawie wpadłam do środka...

- Jasne, kochanie, co tylko chcesz. - Tyler objął ją ramionami od tyłu i przyciągnął mocno do siebie. Obejrzała się i zobaczyła, że Dick i Vickie stoją w takiej samej prawie pozie.

Tyle że Vickie zamknęła oczy i miała taką minę, jakby jej się to podobało. Tyler podbródkiem pogładził Elenę po włosach.

- Chciałabym już wrócić na imprezę - powiedziała bezbarwnym tonem.

Tyler przestał ją głaskać. A potem westchnął.

- Jasne, kochanie. - Spojrzał na Dicka i Vickie. - A wy? Dick uśmiechnął się szeroko.

- A my tu sobie jeszcze chwilkę zostaniemy. - Vickie zachichotała, nadal nie otwierając oczu.

- Dobrze. - Elena się zastanawiała, jak zamierzają stąd wrócić, ale pozwoliła Tylerowi wyprowadzić się z kościoła. Kiedy już byli na zewnątrz, przystanął.

- Nie mogę cię stąd zabrać, póki chociaż nie rzucisz okiem na grób mojego dziadka - powiedział. - Och, Eleno - dodał, kiedy zaczęła protestować. - Ranisz moje serce. Musisz go obejrzeć, to duma mojej rodziny.

Elena zmusiła się do uśmiechu, chociaż miała wrażenie, że żołądek zamienił jej się w bryłę lodu. Może jeśli zadba o jego dobry humor, wreszcie ją stąd zabierze.

- Dobrze - zgodziła się, ruszając w stronę cmentarza.

- Nie tędy. To tam. - I za chwilę Tyler sprowadzał ją na dół w stronę starego cmentarza. - Nic się nie bój, serio, to tylko kawałeczek od głównego przejścia. Popatrz, widzisz? - Wskazał na coś połyskującego w świetle księżycy.

Elena aż sapnęła. Coś ją ścisnęło za serce. Wyglądało to tak, jakby stała tam jakaś postać, wielkolud z okrągłą łysą głową. Elena wcale nie chciała tam iść. Przerazały ją rozsypujące się granitowe nagrobki - pomniki przeszłych stuleci. Jasne księżycowe światło rzucało dziwaczne cienie, a wszędzie kryły się plamy nieprzeniknionego mroku.

- Na szczycie jest taka kula. Nie ma się czego bać - powiedział Tyler, ciągnąc ją za sobą ścieżką w stronę połyskującego pomnika. Wykonano go z czerwonego marmuru.

Wielka kula przypominała wschodzący, napęczniały księżyc. Ten sam, który oświetlał ich z góry, równie biały jak dłonie Thomasa Fella. Elena nie zdołała ukryć drżenia.

- Biedactwo, zmarzłaś. Trzeba cię jakoś rozgrzać - zatroskał się Tyler. Elena usiłowała go od siebie odepchnąć, ale był zbyt silny. Objął ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Tyler, chcę już jechać. Chcę stąd iść, teraz...

- Jasne, kochanie, pójdziemy - powiedział. - Ale najpierw trzeba cię troszkę rozgrzać. Jej, ależ zmarzłaś.

- Przestań! - Kiedy ją obejmował, najpierw tylko ją to denerwowało, ale teraz z przerażeniem poczuła jego dłonie na swoim ciele, szukające skrawków gołej skóry.

Elena jeszcze nigdy w życiu nie znalazła się w sytuacji, w której nie mogła liczyć na pomoc z zewnątrz. Próbowła obcasem pantofla trafić go w stopę, ale zdążył ją cofnąć.

- Zabierz te ręce!

- Daj spokój, Eleno. Nie bądź taka. Po prostu chcę, żeby ci się zrobiło trochę cieplej...

- Puszczaj! - wykrztusiła. Próbowwała się wyrwać z jego uścisku. Tyler potknął się, a potem runął na nią, przygniatając do bluszczy i chaszczki płożących się po ziemi. Elena jęknęła z rozpaczą. - Tyler, zabiję cię. Mówię serio. Złaż ze mnie.

Próbował się z niej zsunąć i nagle zaczął się śmiać. Był ciężki i prawie nie mógł się ruszać, jakby stracił kontrolę nad ciałem.

- Och, daj spokój, Eleno. Nie wściekaj się. Tylko cię rozgrzewałem. Rozgrzewałem Elenę, Księżniczkę Lodu... Ciepłej ci teraz, prawda?

A potem poczuła jego usta, gorące i wilgotne, na swojej twarzy. Nadal przyciskał ją do ziemi, a jego wilgotne pocałunki przesuwwały się w dół po jej szyi. Usłyszała odgłos rozdzieranego materiału.

- Ups - wymamrotał Tyler. - Przepraszam za to. Elena wykręciła głowę w bok i trafiła ustami na dłoń

Tylera, niezgrabnie głaszcząc ją po policzku. Ugryzła ją, głęboko zatapiając zęby. Z całej siły. Poczuła krew i usłyszała, pełen bólu krzyk Tylera. Wyrwał rękę.

- Hej! Mówiłem, że przepraszam! - Tyler spojrzał z

niezadowoleniem na ranę. A potem pociemniał na twarzy i zacisnął dłoń w pięść.

No to po mnie, pomyślała Elena dziwnie spokojnie. Oberwę i zemdleję albo mnie po prostu zabije. Przygotowała się na cios.

Stefano opierał się chęci powrotu na cmentarz. Wszystko w nim krzychało, żeby tego nie robić. Ostatnim razem był tu tej nocy, kiedy zaatakował starego włóczęgę.

Na samo wspomnienie znów ścisnęło go w środku z przerażenia. Mógłby przysiąc, że nie opróżnił tego starego człowieka pod mostem. Ze nie zabrał mu dość krwi, żeby go skrzywdzić. Ale wszystko tego wieczoru, kiedy rozeszła się fala mocy, było jakieś mętne i niejasne. O ile w ogóle była tam fala mocy. Być może tylko to sobie wyobraził albo sam był sprawcą wydarzeń. Dziwne rzeczy się zdarzają, kiedy potrzeby wymykają się spod kontroli.

Zamknął oczy. Kiedy usłyszał, że włóczęga trafił do szpitala, bliski śmierci, przeżył szok. Jak to możliwe, że pozwolił sobie stracić panowanie? Żeby prawie zabić! Przecież nie zabił nikogo od czasu...

Nie chciał o tym myśleć.

Teraz, stojąc przed bramą cmentarza w mroku północy, niczego nie chciał bardziej jak odwrócić się i odejść. Wrócić na bal, gdzie zostawił Caroline - gibkie, opalone stworzenie, które było przy nim bezpieczne, ponieważ nic dla niego nie znaczyło.

Ale nie mógł wrócić, bo była tu Elena. Wyczuwał ją i wiedział, że jest przygnębiona. Elena miała kłopoty, więc musiał ją odnaleźć.

Był w połowie drogi na wzgórzu, kiedy dostał zawrotów głowy. Zatoczył się i ruszył w stronę kościoła, bo była to jedyna rzecz, na której mógł skupić wzrok. Fale szarej mgły zaczęły mu przepływać przed oczami, ale próbował iść przed siebie. Słaby, czuł się taki słaby. I bezradny wobec niesamowitej siły tego zamroczenia.

Musiał... iść do Eleny. Ale nie miał siły. Nie mógł być taki... słaby. Jeśli ma pomóc Elenie, musi iść...

Stanął w wejściu do kościoła.

Elena zobaczyła księżyc nad ramieniem Tylera. Pomyślała, że to ostatni widok, jaki zobaczy w życiu. Krzyk zamarł jej w gardle, zduszony strachem.

A potem coś złapało Tylera i rzuciło nim o nagrobek jego dziadka.

Tak to wyglądało w oczach Eleny. Przeturlała się na bok, z trudem łapiąc oddech, jedną dłonią podtrzymując podartą sukienkę, drugą szukając jakiejś broni.

Nie potrzebowała jej. W ciemności coś się poruszyło i zobaczyła, kto ściągnął z niej Tylera. Stefano Salvatore. Ale to był Stefano, jakiego nigdy jeszcze dotąd nie widziała. Twarz o szlachetnych rysach pobieliała w zimnej furii, a w zielonych oczach lśniło mordercze światło. Nawet nie poruszając się, emanował takim gniewem, że Elena poczuła, iż boi się go bardziej niż Tylera.

- Kiedy cię spotkałem, od razu wiedziałem, że nie nauczono cię dobrych manier. - Głos miał cichy i chłodny, ale w jakiś sposób przyprawił on Elenę o zawrót głowy. Nie mogła od niego oderwać oczu. Zbliżał się do Tylera, który w oszołomieniu potrząsał głową i usiłował się podnieść.

Stefano poruszał się jak tancerz, każdy jego ruch był pełen gracji i precyzji.

- Ale nie miałem pojęcia, że masz aż tak nieciekawy charakter.

Uderzył Tylera. Chłopak wyprowadzał właśnie cios potężną pięścią, ale Stefano uderzył go niemal od niechcienia w bok twarzy, zanim pięść dotarła do celu.

Tyler poleciał na następny nagrobek. Podniósł się na nogi i stał, ciężko dysząc. Zalśniły białka oczu. Elena zobaczyła, że z nosa płynie mu strużka krwi. A potem chłopak runął do ataku.

- Dżentelmen nigdy się nikomu nie narzuca ze swoim towarzystwem - powiedział Stefano i zadał mu cios w bok. Tyler znów się rozpląszczył na ziemi, twarzą w chaszczech. Tym razem wstawał wolniej, a krew płynęła mu z obu dziurek nosa i kącika ust. Parskał niczym przestraszony koń, kiedy znów się rzucił na Stefano.

Chłopak złapał tył marynarki Tylera, obracając go wokół własnej osi. Potrząsnął nim mocno, a wielkie łapy napastnika latały wokół niego jak wiatrak, nie mogąc trafić w cel. A potem Tyler znowu upadł.

- Dżentelmen nie obraża kobiety- kontynuował Stefano. Twarz Tylera się wykrzywiła, przewracał oczami. Złapał Stefano za łydkę, ale ten szarpnięciem podniósł go na nogi i znów nim zatrzęsł. Tyler zrobił

się w jego rękach bezwładny i zamknął oczy. Stefano nadal mówił, podtrzymując ciężkie ciało chłopaka i każde słowo podkreślając silnym potrząśnięciem. - A przede wszystkim, nie robi kobiecie krzywdy...

- Stefano! - krzyknęła Elena. Przy każdym potrząśnięciu głowa Tylera latała w przód i w tył. Elena bała się tego, co widziała. Bała się tego, co może zrobić Stefano. A najbardziej ze wszystkiego bała się głosu Stefano, zimnego niczym cięcie szpadą. Ten głos był piękny, śmiertelnie groźny i całkowicie pozbawiony litości. - Stefano, przestań!

Obrócił głowę w jej stronę, zaskoczony, jakby zapomniał, że cały czas tu stała. Przez chwilę patrzył na nią, jakby jej nie poznawał. Oczy miał czarne w świetle księżyca. Pomyślała, że przypomina drapieżnika. Jakiegoś wielkiego ptaka albo mięsożercę o lśniącej sierści, niezdolnego do odczuwania ludzkich emocji. A potem na jego twarzy pojawiło się zrozumienie i ze spojrzenia zniknęło nieco mroku.

Popatrzył na bezwładnie chwiejącą się głowę Tylera, a potem łagodnie oparł go o nagrobek z czerwonego marmuru. Pod Tylerem nogi się ugięły i chłopak osunął się po płycie, ale - ku uldze Eleny - otworzył oczy. A przynajmniej lewe. Prawe napuchło i zamieniło się w szparkę.

- Nic mu nie będzie - powiedział Stefano bezbarwnym tonem.

Lęk mijał. Elena czuła się teraz pusta. Jestem w szoku, zdziwiła się. Pewnie lada moment zacznę histerycznie krzyczeć.

- Ma cię kto zabrać do domu? - spytał Stefano wciąż tym samym, lodowato nieczułym tonem.

Elena pomyślała o Dicku i Vickie, którzy robili Bóg wie co za nagrobkiem Thomasa Fella.

- Nie - powiedziała.

Jej umysł znów zaczął pracować, zauważać otaczający ją świat. Fioletowa sukienka była rozdarta na przodzie do samego dołu, kompletnie zniszczona. Odruchowo zebrała fałdy, zasłaniając się trochę.

- Odwiozę cię.

Mimo odrętwienia Elena poczuła dreszcz. Spojrzała na niego, na tę dziwnie elegancką postać o twarzy bladej w świetle księżyca, stojącą pomiędzy nagrobkami. Jeszcze nigdy przedtem nie był w jej oczach taki... taki piękny. Ale miał w sobie coś obcego. Nie tylko cudzoziemskiego, ale nieludzkiego, bo żaden człowiek nie mógłby

roztaczać wokół siebie atmosfery takiej mocy ani takiej rezerwy.

- Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony - powiedziała powoli. Nic innego nie mogła zrobić.

Zostawili obolałego Tylera, który usiłował podnieść się na nogi przy nagrobku dziadka. Elenę znów przeszył chłód, kiedy doszli do ścieżki, a Stefano ruszył w stronę mostu Wickery.

- Zostawiłem samochód w pensjonacie - wyjaśnił. -Tędy wrócimy najszybciej.

- Przyszedłeś z tamtej strony?

- Nie. Nie przyszedłem przez most. Ale tamtędy będzie bezpiecznie.

Uwierzyła mu. Błady i milczący. Szedł obok, nie dotykając jej. Zdjął tylko marynarkę i okrył nią jej nagie ramiona. Poczowała dziwną pewność, że zabiłby każdą istotę, która spróbowałaby ją zaatakować.

Most biał w świetle księżycy, a pod nim lodowata woda opływała wiekowe głązy. Cały świat trwał nieruchomo, piękny i chłodny, kiedy szli pomiędzy dębami w stronę wąskiej podmiejskiej drogi.

Mijali pastwiska otoczone płotami i ciemne pola, aż doszli do długiego zakrętu przed podjazdem pod pensjonat. Wielki budynek wzniesiono z rdzawej cegły z miejscowej gliny. Otaczały go stare cedry i klony. We wszystkich oknach poza jednym było ciemno.

Stefan otworzył skrzydło podwójnych drzwi i weszli do niewielkiego holu. Dokładnie naprzeciwko była klatka schodowa. Poręcz przy schodach, tak jak i drzwi, wykonano z naturalnego dębu, wypolerowanego do połysku.

Weszli na słabo oświetlony podest pierwszego piętra. Ku zdziwieniu Eleny Stefano wprowadził ją do jednej z sypialni i otworzył drzwi, które wyglądały, jakby za nimi była jakaś szafa. Za drzwiami zobaczyła bardzo wąskie, strome schody.

Co za dziwne miejsce, pomyślała. Ta tajemnicza klatka schodowa, ukryta w samym sercu domu, gdzie nie mógł przeniknąć żaden odgłos z zewnątrz. Doszła do szczytu schodów i weszła do wielkiego pokoju, który zajmował całe drugie piętro.

Był prawie tak samo słabo oświetlony jak korytarz, ale Elena widziała poplamiony drewniany parkiet i gołe belki pod pochyłym sufitem. Wszędzie były wysokie okna, a pomiędzy kilkoma ciężkimi meblami

stały liczne skrzynie.

Zdała sobie sprawę, że Stefano na nią patrzy.

- Jest tu jakaś łazienka, gdzie mogłabym...?

Skinął w stronę jakichś drzwi. Zdjęła marynarkę i podała mu ją, nawet na niego nie patrząc.

Scandalous

Rozdział ósmy

Elena weszła do łazienki oszołomiona i w jakiś odrętwiały sposób wdzięczna chłopakowi za ratunek. Wyszła z niej wściekła.

Nie była pewna, jak doszło do zmiany nastroju. Ale w jakimś momencie, kiedy przemywała zadrapania na twarzy i ramionach, rozzłoszczona brakiem lustra i tym, że w samochodzie Tylera zostawiła torebkę, znów zaczęła coś czuć. I był to właśnie gniew.

Niech szlag trafi Stefano Salvatore. Był zimny i opanowany, nawet kiedy ratował jej życie. Niech szlag trafi tę jego uprzejmość, galanterię i mury, które wokół siebie zbudował, a które teraz wydawały się wyższe i grubsze niż kiedykolwiek przedtem.

Wysunęła z włosów resztę spinek i za ich pomocą pospinała sukienkę z przodu. Potem szybko przeczesła włosy kościanym, rzeźbionym grzebieniem, który znalazła przy umywalce. Wyszła z łazienki z wysoko uniesioną głową i zmrużonymi oczami.

Nie włożył z powrotem marynarki. Stał przy oknie w białym swetrze, z pochyloną głową, spięty, wyczekujący. Nie podnosząc głowy, wskazał zwój ciemnego aksamitu, przewieszony przez poręcz fotela.

- Może będziesz chciała to narzucić na sukienkę.

To był płaszcz, długi do ziemi, bardzo ciepły i miękki, z kapturem. Elena okryła ramiona ciężką materią. Ale nie ułagodziła jej ta propozycja. Zauważyła, że Stefano nie podszedł do niej i że nawet na nią nie spojrział, mówiąc.

Z rozmysłem stanęła tuż obok niego, stanowczo za blisko, owijając się ciaśniej płaszczem. Nawet w tej chwili czuła zmysłową przyjemność, wiedząc, że jego fałdy ją otulają i ciągną się za nią po ziemi. Przyjrzała się ciężkiej mahoniowej toaletce, stojącej przy oknie.

Leżał na niej sztylet z rękojeścią z kości słoniowej i stał srebrny

kubek wysadzany agatami. Zobaczyła też złoty krążek z wstawioną w środek jakąś tarczą i kilka leżących luzem złotych monet.

Podniosła jedną, po pierwsze, dlatego że ją zainteresowały. Ale przede wszystkim dlatego, że wiedziała, iż dotknie go, że bierze do ręki jego rzeczy.

- Co to jest? Odpowiedział dopiero po chwili.

- Złoty floren. Moneta z Florencji - usłyszała.

- A to?

- Niemiecki zegarek na łańcuszku. Schyłek XV wieku - powiedział roztargnionym tonem. - Eleno...

Wyciągnęła rękę w kierunku wieka małej żelaznej skrzyneczki.

- A to? Czy to się otwiera?

- Nie. - Miał refleks kota, jego dłoń przytrzymała wieczko. - To coś osobistego - powiedział, a w jego głosie było słychać wyraźną frustrację.

Zauważyła, że dotknął dłonią tylko skrzynki, ale nie jej ręki. Sięgnęła ręką, a on momentalnie cofnął swoją.

Nagle gniew urósł do takich rozmiarów, że nie mogła go dłużej powstrzymywać.

- Uważaj - powiedziała ostro. - Nie dotykaj mnie, mógłbyś złapać jakąś zarazę.

Odwrócił się w stronę okna.

A przecież, kiedy się odsunęła i wróciła w kąt pokoju, widziała, że obserwuje jej odbicie w szybie. I nagle zrozumiała, jak musi w jego oczach wyglądać - jasne włosy spływające na czerń płaszcza, jedna biała dłoń przytrzymująca jego fałdy pod szyją, żeby zasłonić suknię.

Uwięziona księżniczka, spacerująca niespokojnie z kąta w kąt w swojej wieży.

Odrzuciła głowę tył, żeby spojrzeć na klapę w suficie i dobiegło ją ciche ale wyraźne westchnienie. Kiedy się obróciła, spoglądał na jej obnażoną szyję, a wyraz jego oczu ją zmieszał. Ale po chwili spojrzenie chłopaka stwardniało. Znow nabierał dystansu.

- Chyba - zaczął - będzie lepiej, jeśli już wrócisz do domu.

Chciała go jakoś zranić. Sprawić, żeby poczuł się tak, jak ona się czuła. I chciała usłyszeć prawdę. Była zmęczona grą, knuciem, planowaniem i próbami czytania w myślach Stefano Salvatore.

Przestraszyła się i jednocześnie poczuła cudowną ulgę, gdy usłyszała swój głos.

- Dlaczego mnie nienawidzisz?

Popatrzył na nią. Przez chwilę jakby nie mógł znaleźć słów. A potem powiedział:

- Nie nienawidzę cię.

- Owszem. - Nie dawała za wygraną. - Wiem, że... Że to nieuprzejme, mówić takie rzeczy, ale nie dbam o to. Wiem, że powinnam być ci wdzięczna za to, że mnie dzisiaj uratowałeś, ale to też mi jest obojętne. Nie prosiłam, żebyś mnie ratował. Nie wiem, co w ogóle robiłeś tam, na cmentarzu. A już na pewno nie rozumiem, po co mnie ratowałeś, biorąc pod uwagę to, co do mnie czujesz.

Pokręcił głową, ale głos miał łagodny.

- Nie nienawidzę cię.

- Od samego początku mnie unikasz, jakbym... Jakbym była trędowata. Próbowалам traktować cię przyjaźnie, ale to zignorowałeś. Czy tak właśnie zachowuje się dżentelmen, kiedy ktoś po prostu próbuje być dla niego miły?

Usiłował coś powiedzieć, ale nie dała mu szansy.

- Raz po raz upokarzałeś mnie w szkole. Teraz też nie rozmawiałbyś ze mną, gdyby nie to, co się stało na cmentarzu. Czy aż tego trzeba, żeby z ciebie wyciągnąć jakieś słowo? Trzeba kogoś niemal zamordować? Nawet w tej chwili - ciągnęła z goryczą - nie chcesz mi pozwolić się do ciebie zbliżyć. Jaki masz problem, Stefano, że musisz żyć w taki sposób? Że musisz budować mury, żeby nie dopuszczać do siebie ludzi? Że nie umiesz nikomu zaufać? Co z tobą jest nie tak?

Milczał, odwracając twarz. Wzięła głęboki oddech, a potem wyprostowała plecy i uniosła głowę, chociaż oczy ją piekły od łez.

- I co jest nie tak ze mną? - dodała już ciszej. - Nawet nie chcesz na mnie spojrzeć, ale pozwalasz się obskakiwać Caroline Forbes? Mam prawo wiedzieć chociaż tyle. Nie będę ci więcej zawracała głowy, nawet się do ciebie nie odezwę, ale zanim pójdę, chcę poznać prawdę. Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz, Stefano?

Powoli obrócił się do niej i uniół głowę. Oczy miał smutne, niewidzące. Coś aż ścisnęło Elenę za serce na widok bólu na jego

twarzy.

Nadal kontrolował ton głosu, ale z trudem. Słyszała, ile wysiłku kosztuje go pilnowanie, żeby nie zadrżał.

- Tak - powiedział - masz prawo wiedzieć, Eleno. - Spojrzał jej wreszcie prosto w oczy.

Aż tak źle? - pomyślała.

- Nie nienawidzę cię - ciągnął, każde słowo wymawiając starannie i wyraźnie. - Nigdy nie darzyłem cię takim uczuciem. Ale... kogoś mi przypominasz.

Elena osłupiała. Spodziewałaby się wszystkiego, ale ni tego.

- Przypominam ci kogoś?

- Kogoś, kogo kiedyś znałem - powiedział cicho. - Ale - dodał powoli, jakby coś sam sobie usiłował wytłumaczyć - w gruncie rzeczy nie jesteś taka sama jak ona. Była do ciebie podobna, ale bardziej delikatna i krucha. Bezbronna. Wewnętrznie i zewnętrznie.

- A ja taka nie jestem. Wyrwał mu się jakiś dźwięk, który byłby śmiechem, gdyby znalazła się w nim choć odrobina radości.

- Nie. Ty potrafisz walczyć. Jesteś... sobą.

Elena przez moment milczała. Nie mogła się już dłużej gniewać, widząc na jego twarzy ten ból.

- Byliście ze sobą bardzo blisko?

- Tak.

- Co się stało?

Milczał tak długo, że Elena myślała, iż już jej nie odpowie.

- Umarła - powiedział wreszcie.

Elenie wyrwało się westchnienie. Znikły gdzieś resztki gniewu.

- Musiałeś bardzo cierpieć - powiedziała miękko, myśląc o białym nagrobku Gilbertów. - Naprawdę ci współczuję.

Nic nie powiedział. Jego twarz znów znieruchomiała, jakby spoglądał gdzieś w dal, na coś strasznego i rozdzierającego serce, co tylko on sam mógł zobaczyć. Ale Elena dostrzegła w nim nie tylko żal. Przez wszystkie mury, ponad z trudem utrzymywaną kontrolą, zobaczyła umęczony wyraz nieznośnego poczucia winy i samotności. Spojrzenie tak zagubione i udręczone, że podeszła do niego, zanim się zorientowała, co robi.

- Stefano - szepnęła. Miała wrażenie, że jej nie słyszy. Że pograżył się w świecie swojej rozpacz.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie położyć mu dłoni na ramieniu.

- Stefano, wiem, jak to potrafi boleć...

- Nie możesz wiedzieć! - wybuchnął, a cały jego spokój przerodził się w nieokiełznaną wściekłość. Opuścił wzrok na jej dłoń, jakby dopiero teraz zorientował się, że tam leży. Jakby do szalu doprowadziła go bezczelność tego dotyku. Zielone oczy otworzyły się szeroko i pociemniały, kiedy strząsnął jej dłoń, zasłaniając się ręką, żeby go znów nie dotknęła...

I tak się jakoś złożyło, że trzymał ją teraz za rękę i przeplatał palce z palcami jej dłoni, ściskając je z całej siły. Zerknął ze zdziwieniem na ich splecione dłonie. A potem, powoli, uniósł wzrok i spojrzał jej w twarz.

- Eleno... - szepnął. I wtedy zobaczyła cierpienie przepelniające jego oczy, jakby nie był w stanie dłużej walczyć. Poniósł porażkę, mury wreszcie runęły, a ona zobaczyła, co się za nimi kryło. I wtedy, bezradnym gestem, zbliżył usta do jej ust.

- Czekaj, zatrzymaj się tu - powiedziała Bonnie. - Wydaje mi się, że coś widziałam.

Odrapany ford Matta zwolnił i zjechał w kierunku pobocza, wzdłuż którego rosły gęste krzaki. Mignęło między nimi coś białego, zbliżając się w ich stronę.

- O mój Boże - powiedziała Meredith. - To Vickie Bennett.

Dziewczyna, potykając się, wbiegła w światła reflektorów i zatrzymała się, wymachując rękoma. Matt z całej siły nacisnął hamulec. Dziewczyna miała zupełnie potargane. I włosy, a jej oczy spoglądały pusto z twarzy poplamionej ziemią. Na sobie miała tylko cieniutką białą halkę.

- Wsadźcie ją do samochodu - powiedział Matt. Meredith już otwierała drzwi. Wyskoczyła ze środka i podbiegła do półprzytomnej dziewczyny.

- Vickie, nic ci nie jest? Co ci się stało?

Vickie jęknęła, nadal patrząc wprost przed siebie. A potem jakby nagle zauważyła Meredith i przywarła do niej, wbijając paznokcie w jej ramiona.

- Wynoście się stąd - powiedziała, z oczyma pełnymi rozpaczliwego błagania, głosem dziwnym i stłumionym, jakby coś miała w ustach. - Wszyscy się stąd wynoście! To się zbliża.

- Co się zbliża? Vickie, gdzie jest Elena?

- Wynoście się, ale już.

Meredith spojrzała na drogę, a potem zaprowadziła roztrzęsioną dziewczynę do samochodu.

- Zabierzemy cię stąd - powiedziała - ale musisz nam powiedzieć, co się stało. Bonnie, daj mi swój szal. Ona przemarzła.

- Coś jej się stało - powiedział Matt ponuro. - Jest w szoku, czy coś. Pytanie, gdzie są inni? Vickie, czy Elena była z tobą?

Vickie zaszłochała, zakrywając twarz dłońmi, kiedy Meredith okrywała mieniącym się, różowym szalem Bonnie jej ramiona. - Nie... Dick - powiedziała Vickie niewyraźnie. Wydawało się, że coś ją boli, kiedy mówi. - Byliśmy w kościele... To było straszne. Pojawiło się... Jak mgła, zewsząd. Ciemna mgła. I oczy. Widziałam w ciemności jego oczy, one płonęły. Paliły mnie...

- Bredzi - powiedziała Bonnie. - Albo histeryzuje, jakkolwiek by to nazwać.

- Vickie, proszę, powiedz nam tylko jedno. Gdzie jest Elena? Co się z nią stało? - Matt starał się mówić powoli, wyraźnie i z naciskiem.

- Nie wiem. - Vickie uniosła zalaną łzami twarz do nieba. - Dick i ja... byliśmy sami. My wtedy... A potem to nagle otoczyło nas ze wszystkich stron. Nie mogłam uciec. Elena powiedziała, że nagrobek się otworzył. Może to stamtąd wyszło. Straszne...

- Byli na cmentarzu, w ruinach kościoła - przetłumaczyła to sobie Meredith. - A Elena poszła z nimi. Popatrzcie na to. - W świetle zapalonym w kabinie samochodu wszyscy widzieli głębokie, świeże zadrapania biegnące po szyi Vickie aż do stanika halki.

- Wygląda to jak zadrapania zwierzęcia - powiedziała Bonnie. - Jak ślady po pazurach kota, czy coś.

- Tego starego włóczęgi pod mostem nie napadł żaden kot - powiedział Matt. Twarz miał bladą i było widać, jak zaciska szczęki. Meredith, idąc za jego wzrokiem, też spojrzała na drogę i pokręciła głową.

- Matt, najpierw musimy ją odwieźć. Musimy - powiedziała. - Posłuchaj mnie, martwię się o Elenę tak samo jak ty. Ale Vickie potrzebny jest lekarz. Powinniśmy zadzwonić na policję. Nie mamy wyboru, musimy wracać.

Matt przez kolejną długą chwilę wpatrywał się w drogę, a potem powoli wypuścił powietrze z płuc. Gwałtownym ruchem zatrzasnął drzwi samochodu, wrzucił bieg i zawrócił.

Przez całą drogę do miasta Vickie mamrotała coś na temat oczu... Elena poczuła na ustach pocałunek Stefano.

I... To było aż tak proste. Wszystkie pytania zyskały odpowiedzi, wszystkie wątpliwości znikły. Poczowała nie tylko namiętność, ale też wszechogarniającą czułość i miłość tak silną, że aż zadrzała w środku. Przeraziłaby ją intensywność tego uczucia, gdyby nie to, że przy nim nie musiała bać się niczego.

Wreszcie znalazła swoje miejsce.

Właśnie tu był jej dom. Ze Stefano. Była u siebie.

Lekko się odsunął. Poczowała, że drży.

- Och, Eleno - szepnął tuż przy jej ustach. - Nie możemy...

- Już się stało - szepnęła, znów go do siebie przyciągając.

To było zupełnie tak, jakby mogła usłyszeć jego myśli, odczytywać jego uczucia. Pomiędzy nimi przebiegała iskra przyjemności i pożądania, łącząc ich ze sobą, przyciągając coraz bliżej. Ale Elena wyczuła też głębsze emocje. Chciał ją tak tulić zawsze, chronić przed wszelką krzywdą. Obronić ją przed każdym złem, jakie mogło jej zagrozić. Chciał połączyć swoje i jej życie w jedno.

Czuła łagodny nacisk jego warg na swoich i ledwie mogła znieść słodycz tego pocałunku. Tak, pomyślała. Uczucia zalewały ją falami niczym woda w spokojnym, przejrzystym stawie. Tonęła w nich i w tej radości, którą wyczuwała u Stefano. I we własnym słodkim pragnieniu, którym na nią odpowiadała. Skąpała się w miłości Stefano, pozwoliła jej się przeświecić i rozjaśnić wszelkie mroczne miejsca duszy niczym słonecznym promieniem. Drżała z przyjemności, miłości i pragnienia.

Odsunął się powoli, jakby nie mógł się od niej oderwać. Spojrzeli sobie w oczy z pełną zdziwienia radością.

Nic nie mówili. Słowa nie były im potrzebne. Poglądził ją po włosach

dotykami tak lekkimi, że ledwie go poczuła, zupełnie jakby się bał, że się w jego dłoniach rozsypie. Zrozumiała, że to nie nienawiść kazała mu tak długo jej unikać. Nie, to wcale nie była nienawiść.

Elena nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim cicho zeszli po schodach pensjonatu. W każdej innej chwili byłaby zachwycona, wsiadając do eleganckiego czarnego samochodu Stefano. Ale dziś wieczorem prawie go nie dostrzegła. Trzymał ją za rękę, kiedy jechali wyludnionymi ulicami.

Podjechali pod jej dom. Elena pierwsza dostrzegła światła.

- To policja - powiedziała z niejakim trudem. Dziwnie było mówić coś po tak długim milczeniu. - A na podjeździe stoją samochody Roberta i Matta - dodała. Spojrzała na Stefano i poczuła, że spokój, który ją wcześniej przepędził, teraz zaczyna ją opuszczać. - Ciekawe, co się stało. Chyba nie sądzisz, że Tyler już im powiedział...?

- Nawet Tyler nie byłby aż tak głupi - stwierdził Stefano.

Przystanął za wozami policji, a Elena niechętnie wysunęła dłoń z jego uścisku. Całym sercem żałowała, że nie mogą po prostu zostać ze Stefano sami, że muszą się zajmować światem.

Ale nic nie mogła na to poradzić. Podeszli ścieżką do drzwi - stały otworem. W środku, w domu, paliły się wszystkie światła.

Weszli do środka. Elena zauważyła, że obraca się ku niej chyba kilkanaście twarzy. Nagle zrozumiała, jak musi w ich oczach wyglądać, stojąc w drzwiach w powłóczyście czarnym aksamitnym płaszczu, ze Stefano u boku. Ciocia Judith coś krzyknęła i porwała ją w objęcia, jednocześnie przytulając do siebie i potrzęsając nią.

- Eleno! Och, dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Gdzie ty się podziewałaś? Dlaczego nie zadzwoniłaś? Zdajesz sobie sprawę, przez co wszyscy przeszliśmy?

Rozejrzała się po pokoju, oszołomiona. Nic z tego nie rozumiała.

- Cieszymy się po prostu, że już jesteś. - Robert starał się załagodzić sprawę.

- Byłam u Stefano - powiedziała powoli. - Ciociu, to jest Stefano Salvatore, wynajmuje pokój w pensjonacie. To on mnie odwiózł.

- Dziękuję - powiedziała ciocia Judith do Stefano ponad głową Eleny. A potem, odsuwając się, żeby spojrzeć na siostrzenicę,

powiedziała: -Ale twoja sukienka, twoje włosy... Co się stało?

- Nie wiesz? Więc Tyler wam nie powiedział. Ale w takim razie, dlaczego tu jest policja? - Elena instynktownie stanęła bliżej Stefano i poczuła, że on też się do niej przysuwa w odruchu opiekuńczości.

- Są tutaj, bo Vickie Bennett została dziś wieczorem zaatakowana na cmentarzu - odezwał się Matt. On, Bonnie i Meredith stali za plecami cioci Judith i Roberta z minami pełnymi ulgi i zmieszania. Byli niesamowicie zmęczeni. - Znaleźliśmy ją dwie, może trzy godziny temu i od tamtej pory szukamy ciebie.

- Zaatakowana? - powiedziała Elena, zaszokowana. - Przez kogo?

- Nikt nie wie - powiedziała Meredith.

- No cóż, być może to nic takiego, czym należałoby się martwić - powiedział Robert uspokajającym tonem. -Lekarz mówił, że porządnie najadła się strachu, a wcześniej coś piła. To wszystko mogło jej się tylko przywidzieć.

- Tych zadrapań sobie nie wymyśliła - powiedział Matt grzecznie, ale stanowczo.

- Zadrapań? Ale o czym wy mówicie? - spytała ostro Elena, patrząc to na jednego, to na drugiego.

- Ja ci powiem - odezwała się Meredith i wyjaśniła zwięźle, jak udało im się znaleźć Vickie. - Powtarzała, że nie wie, gdzie jesteś. Że kiedy się to stało, była sama z Dickiem. A gdy ją tu przywieźliśmy, lekarz powiedział, że nic pewnego nie może stwierdzić. Nie stało jej się właściwie nic, jest tylko podrapana, a podrapać mógł ją i kot.

- Nie było żadnych innych obrażeń na jej ciele? - spytał ostro Stefano. Odezwał się po raz pierwszy od momentu wejścia do domu i Elena spojrzała na niego, zaskoczona tonem jego głosu.

- Nie - odrzekła Meredith. - Oczywiście kot ubrania z niej nie zdarł, ale być może zrobił to Dick. Aha, i została ugryziona w język.

- Co takiego? - powiedziała Elena.

- Mocno ugryziona, znaczy. Musiało nieźle krwawić i teraz ma kłopoty z mówieniem.

Stojący obok Eleny Stefano wyraźnie zmartwiał.

- Umiała wyjaśnić to, co zaszło?

- Histeryzowała - poinformował go Matt. - Naprawdę histeryzowała,

mówiła zupełnie bez sensu. Wciąż coś plotła o jakichś oczach i ciemnej mgle, i że nie była w stanie uciec. Dlatego właśnie lekarz uważa, że to mógł być jakiś rodzaj halucynacji. O ile da się cokolwiek powiedzieć, to tylko to, że ona i Dick Carter byli w ruinach kościoła przy cmentarzu około północy. I że coś się tam pojawiło i ją zaatakowało.

- Za to nie ruszyło Dicka, co wskazuje, że przynajmniej to coś ma odrobinę gustu. Policja go znalazła, stracił przytomność, leżał na posadzce kościoła i nic nie pamięta.

Ale Elena ledwie słyszała ostatnie słowa. Ze Stefano działo się coś bardzo niedobrego. Nie umiała powiedzieć, skąd ta pewność, ale wiedziała to. Zesztywniał po ostatnich słowach Matta i teraz, chociaż się nie poruszył, wyczuwała, że zaczyna ich dzielić jakiś dystans. Zupełnie jakby znaleźli się na dryfujących w przeciwnych kierunkach płytach kry lodowej.

Odezwał się tym opanowanym tonem, który słyszała już wcześniej w jego pokoju.

- W kościele, Matt?

- Tak, w ruinach kościoła - powiedział Matt.

- I jesteś pewien, że mówiła, że to była północ?

- Pewności mieć nie mogła, ale to musiało być mniej więcej o tej porze. Znaleźliśmy ją niedługo potem. Dlaczego pytasz?

Stefano milczał. Elena czuła, jak powiększa się dzieląca ich przepaść.

- Stefano... - szepnęła. A potem, na głos, dodała desperacko: - Stefano, co się stało?

Pokręcił głową. Nie odcinaj się ode mnie, pomyślała, ale on nawet nie chciał na nią spojrzeć.

- Przeżyje? - spytał raptownie.

- Lekarz powiedział, że nic takiego jej nie dolega - powiedział Matt.

- Nikomu przez myśl nie przeszło, że mogłaby nie przeżyć.

Stefano krótko skinął głową, a potem obrócił się do Eleny.

- Muszę iść - powiedział. - Jesteś już bezpieczna. Złapała go za rękę, kiedy się odwracał.

- Oczywiście, że jestem bezpieczna - powiedziała. - Dzięki tobie.

- Tak. - Ale w jego oczach zabrakło odzewu. Stały się nieprzejrzyste, jak osłonięte ekranem.

- Zadzwoń do mnie jutro. - Uścisnęła jego dłoń, starając się przekazać mu, co czuje mimo uważnych spojrzeń obserwujących ich osób. Siłą woli przykazywała mu, żeby zrozumiał.

Spojrzał na ich złożone dłonie z miną pozbawioną wyrazu, a potem powoli znów podniósł na nią oczy. I wreszcie odwzajemnił uścisk jej palców.

- Dobrze, Eleno - szepnął, patrząc jej głęboko w oczy. I po chwili już go nie było.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na wszystkich obecnych w pokoju. Ciocia Judith wciąż kręciła się w pobliżu i zerkąła na wystającą spod płaszcza podartą sukienkę Eleny.

- Eleno - odezwała się. - Co się stało? - I spojrzenie jej oczu pobiegło w stronę drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Stefano.

Elenie wyrwał się z gardła jakiś histeryczny śmiech, który próbowała opanować.

- Stefano tego nie zrobił - powiedziała. - On mnie uratował. - Poczula, że jej twarz kamienieje i popatrzyła na policjanta stojącego za ciocią Judith. - To był Tyler, Tyler Smallwood...

Rozdział dziewiąty

Wcale nie była ponownym wcieleniem Katherine. Jadąc z powrotem do pensjonatu w bladolawendowej ciszy przedświt, Stefano rozmyślał o tym wszystkim.

Powiedział jej mniej więcej to samo i była to prawda, ale dopiero teraz docierało do niego, ile czasu zajęło mu dojście do tego wniosku. Od tygodni świadomy był każdego oddechu i poruszenia Eleny i zapamiętywał te różnice.

Włosy miała o ton czy dwa jaśniejsze niż Katherine, a brwi i rzęsy ciemniejsze - u Katherine były niemal srebrne. I była wyższa prawie o dłoń. Poruszała się też z większą swobodą. Współczesne dziewczyny były o wiele bardziej świadome własnych ciał.

Nawet jej oczy, od których tamtego pierwszego dnia nie mógł oderwać wzroku, nie były do końca takie same. Katherine zwykle patrzyła szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma dziecka albo spuszczała wzrok, jak przystało dobrze wychowanej dziewczynie pod koniec XV wieku. A Elena wpatrywała się człowiekowi prosto w oczy spojrzeniem spokojnym i śmiałym. Czasami mrużyła oczy w wyrazie determinacji albo wyzwania, których brakowało Katherine.

Jeśli chodziło o wdzięk, urodę i czystą fascynację, jaką wzbudzały, były do siebie podobne. Ale tam, gdzie Katherine przypominała białe kociątko, Elena była śnieżną panterą.

Przejeżdżając obok pięknych starych klonów, Stefano skrzywił się na wspomnienie, które go nagle dopadło. Nie chciał o tym myśleć, nie zamierzał sobie na to pozwolić... Ale pamięć już roztaczała przed nim obrazy. Zupełnie tak, jakby ktoś otworzył książkę, a on nie mógł nic zrobić, tylko bezradnie patrzeć na kartkę, podczas gdy w jego myślach snuła się ta historia.

Biel. Katherine tego dnia ubrana była na biało. W nową białą suknię z weneckiego jedwabiu z rozcinanymi rękawami, które ukazywały noszoną pod spodem koszulę z delikatnego płótna. Na szyi zawiesiła naszyjnik ze złota i pereł, w uszach miała małe zwisające kolczyki z perłami.

Była tak zachwycona nową suknią, którą ojciec specjalnie dla niej zamówił.

Okręcała się w niej na palcach przed Stefano, drobną dłonią unosząc sutą, długą do ziemi spódnicę i ukazując rąbek spodniej szaty z żółtego brokatu...

- Widzisz, jest wyszywana moimi inicjałami. Papa tak sobie zażyczył. *Mein lieber papa...* - Jej głos ucichł i przestała okręcać się wokół własnej osi. Powoli uniosła dłoń do serca. - Co się stało, Stefano? Nie uśmiechasz się.

Nawet nie próbował. Widok Katherine, stojącej tam niczym biało-złota eteryczna zjawia, sprawiał mu fizyczny ból. Gdyby miał ją stracić, nie wiedziałby, jak żyć.

Palce zacisnął konwulsyjnie na chłodnym, grawerowanym metalu.

- Katherine, jak mam się uśmiechać, jak mogę być szczęśliwy, kiedy...

- Kiedy?

- Kiedy widzę, jak spoglądasz na Damona. - No i już powiedział to wreszcie. Ciągnął z trudem: - Zanim wrócił do domu, ty i ja codziennie byliśmy razem. Mój ojciec i twój cieszyli się i wspominali o ślubie. Ale teraz dni robią się krótsze, lato się niemal skończyło, a ty spędzasz z Damonem tyle samo czasu, co ze mną. Ojciec pozwolił mu zostać tu tylko dlatego, że ty o to poprosiłaś. Ale dlaczego o to prosiłaś, Katherine? Myślałem, że to ja nie jestem ci obojętny.

W jej błękitnych oczach pojawił się niepokój.

- Nie jesteś mi obojętny, Stefano. Och, wiesz, że tak nie jest!

- Więc po co wstawiasz się za Damonem u ojca? Gdyby nie ty, wyrzuciłby go na ulicę...

- A to by ci sprawiło niemałą przyjemność, braciszku. - Głos od strony drzwi zabrzmiał gładko i arogancko, ale kiedy Stefano się obrócił, zobaczył, że oczy Damona płonęły.

- Och, nie! To nieprawda- zaprzeczyła Katherine. - Stefano na pewno by nie chciał, żeby spotkała cię jakaś krzywda.

Damon skrzywił się w uśmiechu i rzucił bratu cierpkie spojrzenie, podchodząc do Katherine.

- Być może, nie - powiedział, a jego głos nieco złagodniał. - Ale Stefano przynajmniej co do jednego się nie myli. Dni robią się coraz krótsze i niedługo twój ojciec wyjedzie z Florencji. I zabierze cię ze sobą. Chyba że będzie miał powód, żeby cię tu zostawić.

Chyba że będziesz miała męża, z którym tu zostaniesz. Te słowa nie padły, ale i tak wszyscy je usłyszeli. Baron tak bardzo kochał córkę, że nie będzie jej zmuszać do małżeństwa wbrew jej woli. Koniec końców, to będzie decyzja Katherine, jej wybór.

Teraz, kiedy temat został już poruszony, Stefano nie mógł milczeć.

- Katherine wie, że niedługo będzie musiała na stałe opuścić ojca... - zaczął, popisując się swoją sekretną wiedzą, ale brat mu przerwał.

- Owszem, zanim staruszek zrobi się podejrzliwy - rzucił Damon swobodnym tonem. - Nawet najbardziej wyrozumiały ojciec musi się w końcu zacząć zastanawiać, dlaczego córka pokazuje się wyłącznie nocą.

Stefano ogarnął gniew i uraza. A więc to prawda. Damon wiedział. Katherine podzieliła się tajemnicą z jego bratem.

- Dlaczego mu powiedziałaś, Katherine? Dlaczego? Co ty w nim widzisz? W mężczyźnie, którego nie obchodzi nic poza jego własną przyjemnością? Jak on cię ma uszczęśliwić, skoro myśli wyłącznie o sobie?

- A jak ma cię uszczęśliwić chłopiec, który zupełnie nie zna świata? - wtrącił Damon głosem ostrym jak brzytwa i pełnym pogardy. - Jak cię ochroni, skoro nigdy nie stał się z rzeczywistością? Całe życie spędził wśród książek i obrazów, lepiej niech przy nich zostanie.

Katherine ze zdenerwowaniem kręci głową, a jej błękitne jak szlachetne kamienie oczy zasnuły się łzami.

- Żaden z was nie rozumie - powiedziała. - Obaj myślicie, że mogę wyjść za mąż i osiąść tutaj jak każda inna florencka dama. Ale ja nie przypominam innych dam. Jak miałabym prowadzić dom pełen służby, która będzie mnie na każdym kroku śledziła? Jak mam zamieszkać na stałe w jednym miejscu, gdzie ludzie będą zauważać, że lata wcale mnie

nie zmieniają? Nigdy nie będę mogła żyć normalnie. - Wzięła głęboki oddech i przyjrzała się każdemu z braci. - Kto zdecyduje się zostać moim mężem, będzie musiał porzucić życie w świetle słońca - szepnęła. - Musi wybrać życie przy księżycu i w godzinach mroku.

- Musisz zatem wybrać kogoś, kto mroku się nie boi - powiedział Damon, a Stefano zdziwiła natarczywość w jego głosie. Jeszcze nie słyszał, żeby brat odzywał się tak szczerz i z takim brakiem afektacji. - Katherine, spójrz na mojego brata. Czy on zdoła zrezygnować ze słońca? Za bardzo przywykł do zwyczajnych spraw: przyjaciół, rodziny, obowiązku wobec Florencji. Mrok zniszczyłby go.

- Kłamca! - krzyknął Stefano. Teraz już kipiał gniewem. - Jestem tak samo silny jak ty, bracie, nie obawiam się niczego w mroku czy w świetle dnia. I kocham Katherine bardziej niż przyjaciół czy rodzinę...

- Albo swój obowiązek? Czy kochasz ją wystarczająco, żeby porzucić obowiązek?

- Tak - powiedział wojowniczo Stefano. - Dość, żeby porzucić wszystko.

Damon uśmiechnął się jednym z tych swoich nagłych, niepokojących uśmiechów. A potem znów zwrócił się do Katherine.

- Zdaje się - powiedział - że wybór należy wyłącznie do ciebie. Masz dwóch starających się o rękę, wybierzesz jednego z nas czy żadnego?

Katherine powoli pochyliła złotowłosą głowę. A potem uniosła błękitne oczy na nich obu.

- Dajcie mi czas do niedzieli. I do tej pory nie męczcie mnie pytaniami.

Stefano niechętnie pokiwał głową.

- A w niedzielę? - spytał Damon.

- A w niedzielę o zmierzchu dokonam wyboru.

Zmierzch... Fioletowe, głębokie cienie zmierzchu...

Stefano otaczały aksamitne cienie, kiedy oprzytomniał. To nie był zmierzch, ale świt, który zabarwiał niebo. Zagubiony w myślach, przyjechał na skraj lasu.

W oddali widział most Wickery i cmentarz. Nowe wspomnienia gwałtownie przyspieszyły mu puls.

Zapowiedział Damonowi, że dla Katherine gotów jest zrezygnować ze

wszystkiego. I dokładnie to zrobił. Odrzucił wszelkie pragnienie słonecznego światła i dla niej stał się mroczną istotą. Myśliwym wiecznie skazanym na to, że i na niego będą polować, złodziejem, zmuszonym kraść cudze życie, żeby nappełnić własne żyły.

I, być może, mordercą.

Powiedzieli, że ta dziewczyna, Vickie, nie umrze. Ale jego następna ofiara może zginąć. Najgorsze było to, że niczego nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko słabość i wszechogarniającą potrzebę. I jak potykając się, wchodził do kościoła. Nic więcej. Ocknął się na zewnątrz, a w uszach echem odbijał mu się krzyk Eleny. I pobiegł w jej stronę, nie zastanawiając się nad tym, co mogło się stać wcześniej.

Elena... na moment ogarnął go przyływ radości i podziwu, wypierając wszystko inne. Elena, ciepła jak światło słońca, miękka jak poranek, ale o stalowym rdzeniu, którego nic nie mogło złamać. Była niczym ogień płonący na lodzie, jak ostra klinga srebrnego sztyletu.

Ale czy miał prawo ją kochać? Samo jego uczucie narażało ją na niebezpieczeństwo. Co, jeśli następnym razem, kiedy dopadnie go potrzeba, Elena okaże się najbliższą ludzką istotą. Najbliższym naczyniem pełnym ciepłej, ożywczej krwi?

Umrę, zanim jej dotknę, pomyślał, czyniąc z tego przysięgę. Umrę z pragnienia, a nie otworzę jej żył. I przysięgam, że nigdy nie pozna mojego sekretu. Nigdy nie będzie musiała przeze mnie zrezygnować ze słońca.

Za jego plecami niebo zaczynało jaśnieć. Ale zanim odjechał, wysłał jedną badawczą myśl, wspartą całą siłą własnego bólu, chcąc odnaleźć tę inną moc, która mogła kryć się w pobliżu. Szukając jakiegoś innego wytłumaczenia dla tego, co się zdarzyło w kościele.

Ale nic się nie pojawiło, ani śladu odpowiedzi. Zupełni jakby cmentarz z niego kpił.

Elena się obudziła, kiedy słońce zaczęło świecić w jej okno. Czowała się tak, jakby właśnie wyzdrowiała po długim ataku grypy i jakby to był poranek Bożego Narodzenia. Kiedy siadała na łóżku, dopadła ją mieszanka różnych myśli.

Och! Wszystko ją bolało. Ale ona i Stefano... Dzięki temu nic jej nie martwiło. Ten pijany dureń, Tyler... Ale Tyler zupełnie się nie liczył. Nic

się nie liczyło poza tym, że Stefano ją kocha.

Zeszła na dół w koszuli nocnej. Z tego, w jaki sposób światło słońca przenikało do domu, wywnioskowała, że bardzo długo spała. Ciocię Judith i Margaret zastała w salonie.

- Dzień dobry, ciociu. - Długo i mocno ścisnęła zaskoczoną ciotkę. - Dzień dobry i tobie, myszko. - Porwała Margaret na ręce i zaczęła z nią tańczyć walca po całym pokoju. - Ach! Robercie, dzień dobry. - Nieco zażenowana swoimi wyczynami i negliżem, postawiła Margaret na ziemi i szybko ruszyła do kuchni.

Ciotka poszła za nią. Była uśmiechnięta, mimo ciemnych kręgów pod oczami.

- Masz chyba dobry humor.

- Och, tak. - Elena znów ją uściskała, żeby przeprosić za te podkrążone oczy.

- Wiesz, że musimy pojechać do biura szeryfa i porozmawiać z nim w sprawie Tylera.

- Tak. - Elena wyjęła z lodówki sok i nalała go sobie do szklanki. - Czy mogę iść najpierw do Vickie Bennett? Na pewno jest przygnębiona, zwłaszcza że wygląda na to, że nie wszyscy jej wierzą.

- A ty jej wierzysz, Eleno?

- Tak - powiedziała powoli. - Wierzę jej, bo... ciociu- dodała, nagle podejmując decyzję - mnie też się coś przytrafiło w tym kościele. Wydawało mi się, że...

- Eleno! Bonnie i Meredith przyszły do ciebie. - Z holu doleciał ją głos Roberta.

Nastrój przysł.

- Och... Wpuść je tu! - zawołała Elena, upijając łyk soku pomarańczowego. - Opowiem ci wszystko później - obiecała cioci Judith, kiedy dziewczyny zbliżały się do kuchni.

Bonnie i Meredith przystanęły w drzwiach z niezwykłą jak na nie rezerwą. Elena też czuła się niezręcznie i odezwała się dopiero, kiedy ciotka zostawiła je same.

Odchrząknęła, nie odrywając wzroku od zniszczonego fragmentu wykładziny na kuchennej podłodze. Szybko podniosła wzrok i zobaczyła, że Bonnie i Meredith gapią się na ten sam fragment podłogi.

Roześmiała się. Słyszając to, obie dziewczyny popatrzyły na nią.

- Jestem zbyt szczęśliwa, żeby się wypierać - powiedziała Elena, wyciągając do nich ręce. - I wiem, że powinnam przeprosić za to, co powiedziałam. Przepraszam, ale po prostu nie jestem w stanie robić z tego wielkiej sprawy. Zachowałam się okropnie i należałoby ściąć mi głowę. Czy możemy teraz udawać, że to się w ogóle nigdy nie stało?

- Powinnaś nas przeprosić za to, że przed nami uciekłaś - zrugowała ją Bonnie, kiedy we trzy złączyły się w jakimś bezładnym uścisku.

- I to jeszcze z Tylerem Smallwoodem - dodała Meredith.

- No cóż, za to dostałam już nauczkę - powiedziała Elena i na moment twarz jej pociemniała. A potem kaskadą zabrzmiał śmiech Bonnie.

- I poderwałaś pana numer jeden, Stefano Salvat Co tu mówić o efektownych wejściach. Kiedy zjawiłaś się z nim wczoraj, myślałam, że mam omamy. Jak to zrobiłaś

- Nic nie zrobiłam. On się tam po prostu pojawił, jak kawaleria w tych starych westernach.

- I ocalił twoją cześć - powiedziała Bonnie. - Czy może być coś bardziej porywającego?

- Znalazłabym jeden czy dwa pomysły - powiedziała Meredith. - No, ale może Elena i o to zadbała.

- Opowiem wam wszystko - powiedziała Elena, pusz czając przyjaciółki. - Ale pójdziecie ze mną najpierw do Vickie? Chciałabym z nią porozmawiać.

- W sumie możesz porozmawiać z nami, gdy będziesz się ubierać i myć zęby - powiedziała Bonnie stanowczo. - A jeśli opuścisz chociaż jeden szczegół, staniesz przed obliczem hiszpańskiej inkwizycji.

- Widzisz? - powiedziała Meredith z lekką irytacją. Wysilek pana Tannera coś dał. Bonnie już wie, że hiszpańska inkwizycja to nie jest kapela rockowa.

Elena śmiała się wesoło, kiedy szły na górę.

Pani Bennett była blada i zmęczona, ale wpuściła je do środka.

- Vickie odpoczywa, lekarz kazał zatrzymać ją w łóżku - wyjaśniła z nieco drżącym śmiechem. Elena, Bonnie i Meredith stłoczyły się w wąskim korytarzyku.

Mama Vickie lekko zapukała do sypialni córki.

- Kochanie, przyszedły do ciebie koleżanki ze szkoły. Nie siedźcie u niej za długo - poprosiła Elenę, otwierając drzwi.

- Dobrze - obiecała Elena. Weszła do ładnego biało-niebieskiego pokoju, a za nią pozostałe dziewczyny. Vickie leżała w łóżku, oparta o poduszki, z błękitnym pledem podciągniętym pod samą brodę. Na tle pościeli jej twarz była biała jak papier. Dziewczyna wpatrywała się prosto przed siebie pustym wzrokiem.

- Tak samo wyglądała wczoraj w nocy - szepnęła Bonnie. Elena podeszła do łóżka.

- Vickie - odezwała się cicho. Koleżanka nadal wpatrywała się w przestrzeń, ale Elena miała wrażenie, że jej oddech nieco się zmienił. - Vickie, słyszysz mnie? To ja, Elena Gilbert. - Zerknęła niepewnie na Bonnie i Meredith.

- Chyba dostała jakieś środki uspokajające - powiedziała Meredith.

Ale pani Bennett nie wspomniała o żadnych lekach. Marszcząc brwi, Elena znów zwróciła się do niereagującej dziewczyny.

- Vickie, to ja, Elena. Chciałam tylko porozmawiać z tobą o wczorajszej nocy. Chcę, żebyś wiedziała, że wierzę w to, co mówiłaś. - Elena zignorowała ostre spojrzenie rzucone jej przez Meredith i ciągnęła: - I chciałam cię zapytać...

- Nie! - Z gardła Vickie wyrwał się wrzask, nagły i dziki. Jej ciało, przedtem nieruchome jak u woskowej lalki, teraz gwałtownie się ożywiło. Jasnobrązowe włosy Vickie latały w powietrzu, kiedy gwałtownie kręciła głową z boku na bok, a rękoma bezładnie wymachiwała w powietrzu. - Nie! Nie! - krzyczała.

- Zróbcie coś! - zawołała Bonnie. - Proszę pani! Proszę pani!

Elena i Meredith usiłowały utrzymać Vickie w łóżku,

ale im się wrywała. Krzyki nie cichły. Nagle obok nich znalazła się matka Vickie i pomogła przytrzymać córkę, odsuwając dziewczyny od łóżka.

- Co wyście jej zrobiły? - zawołała.

Vickie przyłgnęła do matki i nieco się uspokoiła, ale wtedy ponad ramieniem pani Bennett dostrzegła Elenę.

- Ty też w tym tkwisz! Jesteś zła! - krzyknęła do niej histerycznie. -

Nie zbliżaj się do mnie!

Elena osłupiała.

- Vickie! Przyszłam tylko zapytać...

- Lepiej już idźcie. Zostawcie nas same - powiedziała pani Bennett, opiekuńczym gestem obejmując Vickie. - Nie widzicie, jak ona reaguje?

Elena w ciszy wyszła z pokoju. Bonnie i Meredith ruszyły jej śladem.

- To na pewno te leki - powiedziała Bonnie, kiedy stały już przed domem. - Dziewczyna zupełnie odjechała.

- Zauważyłaś jej ręce? - odezwała się Meredith do Eleny. - Kiedy próbowałyśmy ją uspokoić, złapałam ją za rękę. Była zimna jak lód.

Elena kręciła głową, zmieszana. Nic z tego nie rozumiała, ale nie chciała pozwolić, żeby ta historia zepsuła jej cały dzień. Desperacko szukała w myślach czegoś, co przesłoniłoby to doświadczenie, co pozwoliłoby jej nadal cieszyć się własnym szczęściem.

- Wiem - powiedziała. - Pensjonat.

- Co?

- Powiedziałam Stefano, żeby dzisiaj do mnie zadzwonił, ale dlaczego nie miałybyśmy zamiast tego iść do niego. Do pensjonatu? To niedaleko stąd.

- Tylko dwadzieścia minut spacerem - powiedziała Bonnie.

Rozjaśniła się. - Przynajmniej wreszcie obejrzymy ten jego pokój.

- W sumie - powiedziała Elena - pomyślałam, że mogłybyście obie poczekać na dole. No cóż, zajrzę do niego tylko na kilka minut - dodała obronnym tonem pod wzrokiem koleżanek. Być może to dziwne, ale nie chciała dzielić się z przyjaciółkami Stefano. Dla niej był jeszcze kimś tak nowym, że traktowała go niemal jak jakiś sekret.

Kiedy zastukały do wypolerowanych dębowych drzwi, otworzyła im pani Flowers. Pomarszczona, przypominająca gnoma staruszka miała zadziwiająco bystre czarne oczy.

- Ty na pewno jesteś Elena - powiedziała. - Widziałam cię wczoraj ze Stefano przed domem, a kiedy wrócił, powiedział mi, jak masz na imię.

- Widziała nas pani? - powiedziała Elena, zdziwiona. - Ja pani nie zauważyłam.

- Rzeczywiście, nie zauważyłaś - przytaknęła pani Flowers i

zachichotała. - Moja droga, jesteś bardzo ładną dziewczyną - dodała. - Bardzo ładną. - Poklepała Elenę po policzku.

- Hm, dziękuję - odparła Elena z zażenowaniem. Nie podobał jej się sposób, w jaki te ptasie oczy świdrowały ją spojrzeniem. Spojrzała za panią Flowers, na schody. - Czy Stefano jest w domu?

- Musi być, chyba że wyfrunął przez dach! - powiedziała pani Flowers i znów zachichotała. Elena roześmiała się grzecznie.

- Zostaniemy tu z panią na dole - powiedziała Meredith do Eleny, a Bonnie przewróciła oczami męczyńsko. Ukrywając uśmiech, Elena pokiwała głową i ruszyła po schodach.

Jaki dziwny stary dom, pomyślała, zmierzając w stronę drugiej klatki chodowej w tamtej sypialni. Głosy z dołu ledwie tu docierały, a kiedy wspinała się po stromych schodach, zupełnie zanikły. Otoczyła ją cisza i kiedy doszła do widniejących w półmroku drzwi, ogarnęło ją wrażenie, że wkracza w zupełnie inny świat.

Zapukała nieśmiało.

- Stefano?

Ze środka nic nie dosłyszała, ale nagle drzwi się otworzyły. Chyba wszyscy dzisiaj jesteśmy bladzi i zmęczeni, pomyślała Elena, a potem znalazła się w jego ramionach.

Objęły ją z całej siły.

- Elena. Och, Eleno...

A potem się odsunął. Było zupełnie tak samo jak wczoraj w nocy, znów poczuła, jak między nimi otwiera się przepaść. Zobaczyła, że w jego oczach pojawia się to poprawne, chłodne spojrzenie.

- Nie - powiedziała, nie do końca świadoma, że mówi to na głos. - Nie pozwolę ci. - I przyciągnęła go do siebie w pocałunku.

Przez chwilę nie reagował, a potem zadrżał, a jego pocałunek stał się natarczywy. Wplótł palce w jej włosy, a wokół Eleny wszechświat się rozsypał. Nic już nie istniało poza Stefano, dotykiem jego ramion i ogniem warg w pocałunku.

Kilka minut albo kilka stuleci później odsunęli się od siebie, oboje drżący. Ale wciąż patrzyli sobie w oczy i Elena zobaczyła, że źrenice Stefano są zbyt mocno rozszerzone nawet jak na panujący tu półmrok. Wokół tych źrenic była tylko cieniutka obrączka zieleni. Spojrzenie miał

oszołomione, a usta obrzmiałe.

- Moim zdaniem - odezwał się i jego głos był opanowany, jak zawsze - lepiej uważajmy, kiedy to robimy.

Elena pokiwała głową, zaskoczona. Na pewno nie publicznie, pomyślała. I nie wtedy, kiedy na dole czekają Bonnie i Meredith. I nawet nie wtedy, kiedy jesteście zupełnie sami, chyba że...

- Ale możesz po prostu się do mnie przytulić - powiedziała.

Jakie to dziwne, że po tym nagłym odruchu namiętności mogła się czuć tak bezpieczna, spokojna, kiedy obejmował ją ramionami.

- Kocham cię - szepnęła w chropawą wełnę jego swetra. Poczula, że przeszył go dreszcz.

- Eleno... - zaczął, a w tym szepcie słyszała niemal rozpacz.

Uniosła głowę.

- Co w tym złego? Co w tym może być złego, Stefano? Nie kochasz mnie?

- Ja... - Spojrzał na nią bezradnie. Nagle usłyszeli, że gdzieś z dołu nawołuje niewyraźnie głos pani Flowers.

- Chłopcze! Chłopcze! Stefano! - Brzmiało to tak, jakby stuknęła butem w poręcz schodów.

Westchnął.

- Lepiej zobaczę, czego chce. - Odsunął się od Eleny. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

Zostawiona sama sobie, Elena oplótła się ramionami i zadrżała. Tak było zimno. Powinien mieć kominek, pomyślała, dla zabicia czasu rozglądając się po pokoju, aż jej spojrzenie wreszcie padło na mahoniową komodę, którą oglądała wczoraj w nocy.

Skrzynka.

Zerknęła na drzwi. Gdyby wszedł i ją przyłapał... Naprawdę nie powinna... Ale już szła w kierunku komody.

Przypomnij sobie los żony Sinobrodego, pomyślała. Ciekawość ją zabiła. Ale jej palce już leżały na żelaznym wieczku skrzynki. Z mocno bijącym sercem uniosła je...

Wpółmroku, w pierwszej chwili wydawało się, że skrzynka jest pusta i Elena roześmiała się nerwowo. Czego się spodziewała? Listów miłosnych od Caroline? Okrwawionego sztyletu?

A potem zauważyła cieniutki pasek jedwabiu, porządnie zwinięty, leżący w kącie skrzynki. Wyjęła go i przesunęła między palcami. To była morelowa wstążka, którą zgubiła drugiego dnia szkoły.

Och, Stefano. W oczach zakręciły jej się łzy i bezradnie poczuła, jak w jej sercu wzbiera miłość. Aż tak dawno temu? Już wtedy nie byłam ci obojętna? Och, Stefano, jak ja cię kocham...

I nieważne, że nie umiesz mi tego powiedzieć, pomyślała. Za drzwiami rozległ się jakiś odgłos, a ona szybko zwinięła wstążkę i wsunęła ją z powrotem do skrzynki. A potem odwróciła się w stronę drzwi, mruganiem powiek odpędzając łzy.

To nieważne, że w tej chwili nie umiesz tego powiedzieć. Będę to mówiła za nas oboje. I któregoś dnia się nauczysz.

Scandalous

Rozdział dziesiąty

7 października, koło ósmej rano

Drogi pamiętniku,

Piszę to na matematyce i mam tylko nadzieję, że pani Halpern mnie nie przylapie.

Wczoraj wieczorem nie miałam czasu na pisanie, chociaż chciałam. To był taki szalony, poplątany dzień, zupełnie jak wieczór jesiennego balu. Dzisiaj rano, siedząc tu w szkole, czuję się niemal tak, jakby wszystko, co się stało w ten weekend, było jakimś snem. Złe rzeczy były strasznie złe, ale to, co dobre, było naprawdę bardzo, bardzo dobre.

Nie będę wytaczała sprawy Tylerowi Smallwoodowi. Ale został zawieszony w prawach ucznia i usunięty z drużyny. Tak samo Dick, za to, że pił na balu. Nikt tego nie mówi, ale chyba wiele osób myśli, że to on jest winien temu, co spotkało Vickie. Siostra Bonnie widziała Tylera wczoraj w klinice i mówiła, że oboje oczu miał podbite i całą twarz w sińcach. Nie mogę przestać martwić się o to, co się stanie, kiedy on i Dick wrócą do szkoły. Teraz mają jeszcze więcej powodów niż kiedyś, żeby nie cierpieć Stefano.

No właśnie, Stefano. Kiedy dziś rano się obudziłam, wpadłam w panikę, myśląc: A co, jeśli to wszystko nieprawda? Co, jeśli to się nigdy nie zdarzyło, co, jeśli zmienił zdanie? Ciocia Judith zmartwiła się przy śniadaniu, bo znów nie mogłam jeść. No, ale wchodząc do szkoły, zobaczyłam go na korytarzu przy biurze administracji. I tylko na siebie popatrzyliśmy. I już wiedziałam. Zanim się odwrócił, uśmiechnął się jakoś tak cierpko. Ale to też zrozumiałam. Miał rację, lepiej nie podchodzić do siebie na korytarzu, w takim publicznym miejscu, chyba że chcemy zapewnić sekretarkom odrobinę dreszczyku.

Jesteśmy parą. Teraz muszę znaleźć jakiś sposób, żeby wyjaśnić to wszystko Jean-Claude'owi. Ha, ha.

Nie rozumiem tylko, dlaczego Stefano nie jest tak samo szczęśliwy jak ja. Kiedy jesteśmy ze sobą, czuję, co on czuje i wiem, jak bardzo mnie pragnie, jak bardzo mu na mnie zależy. Kiedy mnie całuje, jest w nim jakiś niemal rozpaczliwy głód, zupełnie jakby chciał wyrwać mi duszę z ciała. Jak czarna dziura, która...

Nadal 7 października, koło drugiej po południu

No cóż, na trochę musiałam przerwać, bo pani Halpern jednak mnie przyłapała. Zaczęła nawet czytać na głos to, co napisałam, ale potem - chyba od opisywanego tematu - zaparowały jej okulary i przerwała. Nie była specjalnie uradowana. Ale jestem zbyt szczęśliwa, żeby się przejmować takimi drobiazgami jak dwójka z matematyki.

Stefano i ja jedliśmy razem lunch, a przynajmniej poszliśmy razem w kąt boiska, gdzie sobie usiedliśmy z moim lunchem. Nawet nie pomyślał o tym, żeby sobie coś przynieść, no i, oczywiście, okazało się, że ja też nie mogę przełknąć ani kęsa. Raczej się staraliśmy nie dotykać - niestety - ale rozmawialiśmy i ciągle na siebie patrzyliśmy. Chcę go dotykać. Bardziej niż jakiegokolwiek chłopaka kiedykolwiek przedtem. I wiem, że on też tego chce, ale się powstrzymuje.

I tego właśnie nie rozumiem. Dlaczego on z tym walczy? Wczoraj w jego pokoju zyskałam niepodważalny dowód, że od samego początku się mną interesował. Pamiętasz, jak opowiadałam, że drugiego dnia szkoły byłam z Bonnie i Meredith na cmentarzu? No cóż, wczoraj w pokoju Stefana znalazłam tę morelową wstążkę, którą nosiłam tego dnia. Pamiętam, że biegnąc, wypuściłam ją z ręki, a on ją najwidoczniej znalazł i zachował. Nie powiedziałam mu, że wiem, bo najwyraźniej chciał to utrzymać w sekrecie, ale to dowodzi, że nie jestem mu obojętna, prawda?

Ach! Jest jeszcze jedna niespecjalnie uradowana osoba. Caroline. Okazuje się, że ciągała go codziennie na lunchu do pracowni fotograficznej, a kiedy dzisiaj się nie pokazał, szukała Stefano tak długo, aż nas znalazła. Biedny chłopak, na śmierć o niej zapomniał i był sam tym zaszokowany. Kiedy już sobie poszła - a przybrała przedtem dość

paskudny odcień zieleni na twarzy - opowiedział mi, jak przyczepiła się do niego od tego pierwszego tygodnia szkoły. Powiedziała, że zauważyła, że nie jada lunchu i że ona też go nie je, bo jest na diecie. Więc może mogliby razem chodzić gdzieś, gdzie jest spokój i da się odetchnąć. W sumie nie chciał powiedzieć o niej nic złego - znów jego przekonanie, że dżenteimen tak nie postępuje. W każdym razie przyznał, że między nimi nic nie było. A jeśli chodzi o Caroline, to fakt, że o niej zapomniał, był chyba dla niej gorszy, niż gdyby ją obrzucił kamieniami.

Zastanawiam się, dlaczego Stefano nie je lunchu. U członka drużyny futbolowej to rzadkość.

Oho! Pan Tanner przechodził obok. W ostatniej chwili udało mi się zakryć pamiętnik zeszytem. Bonnie zaśmiewa się teraz za swoim podręcznikiem do historii. Widzę, jak jej ramiona drżą. A Stefano, który siedzi przede mną, jest tak spięty, że wygląda, jakby miał lada moment katapultować się ze swojego krzesła. Matt rzuca mi spojrzenia pod tytułem: ty wariatko, a Caroline piorunuje mnie wzrokiem. A ja mam bardzo, ale to bardzo niewinną minę i piszę, nie odrywając oczu od stojącego przede mną pana Tannera. Więc jeśli pismo mam niewyraźne i brzydkie, to chyba jestem usprawiedliwiona.

Przez cały zeszły miesiąc właściwie nie byłam sobą. Nie mogłam myśleć jasno ani skoncentrować się na niczym poza Stefano. Tyle mi się nagromadziło niezalatwionych spraw, że aż się boję. Podobno mam nadzorować przygotowanie de- koracji sali na tę imprezę halloweenową. A w ogóle nic w tej sprawie nie zrobiłam. Zostało mi dokładnie trzy i pół tygodnia, żeby to zorganizować, ale chcę tylko bycze Stefano.

Mogłabym zrezygnować z organizowania imprezy, ale wtedy zostawiłabym na lodzie Bonnie i Meredith. I wciąż pamiętam, co powiedział Matt, kiedy go prosiłam, żeby ściągnął Stefano na bal: Chcesz, żeby wszyscy i wszystko kręciło się wokół Eleny Gilbert.

A to nieprawda. To znaczy, nawet jeśli tak było w przeszłości, nie pozwolę, żeby to dłużej trwało. Chcę... O Boże, to zabrzmie kompletnie idiotycznie, ale chcę być warta Stefano. Wiem, że on by nie zawiódł kumpli z drużyny tylko dlatego, że nie chce mu się czegoś zrobić. Mam nadzieję, że będzie ze mnie dumny.

Chcę, żeby mnie kochał tak bardzo, jak ja kocham jego.

- Pośpiesz się! - zawołała Bonnie od drzwi sali gimnastycznej. Obok niej czekał szkolny woźny, pan Shelby.

Elena rzuciła ostatnie spojrzenie na odległe sylwetki graczy na boisku futbolowym, a potem z ociąganiem podeszła do Bonnie.

- Chciałam tylko powiedzieć Stefano, dokąd idę - powiedziała. Po tygodniu chodzenia z nim nadal odczuwała przyjemność, kiedy mogła chociaż wypowiedzieć głośno jego imię. W tym tygodniu co wieczór przychodził do niej do domu. Pojawiał się przy drzwiach o zachodzie słońca, z rękami w kieszeniach, ubrany w kurtkę z podniesionym kołnierzem. Zwykle szli na spacer w zapadającym zmierzchu albo siedzieli na werandzie i rozmawiali. Chociaż nic na ten temat nie mówili, Elena wiedziała, że to sposób Stefano na to, żeby nie znaleźli się ze sobą na osobności. Od tamtego wieczoru, kiedy odbył się bal, dbał o to. Chroni mój honor, myślała Elena z cierpkim humorem, ale i z lękiem, bo czuła, że w tym wszystkim chodzi o coś więcej.

- Zdoła bez ciebie przeżyć jeden wieczór - powiedziała Bonnie niemiłosiernie. - Jeśli zaczniesz z nim gadać, nigdy się stąd nie ruszymy, a ja chciałabym wrócić do domu na obiad.

- Dzień dobry panu - powiedziała Elena do woźnego, który nadal cierpliwie czekał. Ku jej zdziwieniu mrugnął do niej okiem, cały czas zachowując poważny wyraz twarzy. - A gdzie Meredith? - dodała.

- Tu - odezwał się za nią jakiś głos i Meredith pojawiła się z kartonowym pudłem pełnym segregatorów i notatników. - Wzięłam rzeczy z twojej szafki.

- To już wszystkie? - spytał woźny. - No dobrze, dziewczuszki, to pamiętajcie, że macie zatrzasać drzwi za sobą i zamknąć, dobra? Żeby nikt nie mógł dostać się do środka.

Bonnie, która już miała wchodzić do sali, stanęła jak wryta.

- A jest pan pewien, że już tam kogoś w środku nie ma? - zapytała z niepokojem.

Elena pchnęła ją, kładąc dłoń między łopatkami koleżanki.

- Pośpiesz się! - zaczęła ją niezyczliwie przedrzeźniać. - Chcę wrócić do domu na obiad.

- W środku nikogo nie ma - powiedział pan Shelby Usta mu zadrgały pod wąsami. - Ale jakby co, to wrzeszczcie z całych sił,

dziewuszki. Będę tu, niedaleko.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi z dziwnie zdecydowanym odgłosem.

- Do roboty - powiedziała Meredith z rezygnacją i po stawiała pudło na podłodze.

Elena pokiwała głową i rozejrzała się po pustym wnętrzu. Co roku samorząd uczniowski urządzał w Halloween imprezę, żeby zebrać fundusze. Elena od dwóch lat była w Komitecie zajmującym się dekoracjami. Razem z Bonnie i Meredith, ale rola przewodniczącej komitetu to było już coś innego. Musiała podejmować decyzje, które będą miały wpływ na wszystkich, a nie mogła się oprzeć na tym, co robiono w latach poprzednich.

Zwykle imprezę urządzano w magazynie tartaku, ale ze względu na rosnący w mieście niepokój zdecydowano, że szkolna sala gimnastyczna będzie bezpieczniejsza. Dla Eleny oznaczało to konieczność zaplanowania od nowa całego wystroju. W dodatku do Halloween zostały tylko niecałe trzy tygodnie.

- W sumie tu już jest mocno niesamowicie - powiedziała cicho Meredith. I rzeczywiście, było coś niepokojącego w tej wielkiej, zamkniętej sali, gdy były tu same, pomyślała Elena. Przekonała się, że sama też zniża głos.

- Najpierw wszystko zmierzmy - powiedziała. Ruszyły w głąb sali, a ich kroki rozległy się w niej głuchym echem.

- Dobrze - powiedziała Elena, kiedy wreszcie skończyły.

- To teraz do roboty. - Próbowała bagatelizować niepokój, tłumacząc sobie, że to śmieszne, czuć lęk w szkolnej sali gimnastycznej, mając przy sobie Bonnie i Meredith, i całą drużynę futbolową na treningu niecałe dwieście metrów dalej.

We trzy usiadły na trybunie z pisakami i notatnikami w rękach. Elena i Meredith przeglądały szkice dekoracji z poprzednich lat, a Bonnie gryzła końcówkę pisaka i rozglądała się wkoło z namysłem.

- No cóż, mamy salę - powiedziała Meredith, robiąc w swoim notesie szybki szkic. - Tędy będą wchodzić ludzie. Na pewno okrwawione zwłoki powinny się znaleźć na samym końcu trasy... A przy okazji, kto w tym roku będzie robił za okrwawione zwłoki?

- Chyba trener Lyman. W zeszłym roku wypadł świetnie, poza tym

chłopaki z drużyny się nie rozbrykają. - Elena wskazała na szkic. - Dobrze, więc tę część oddzielimy przepierzeniem i tu zrobimy średniowieczną izbę tortur. Prosto stamtąd będą przechodzić do pokoju żywych trupów...

- Moim zdaniem powinniśmy też mieć druidów -wtrąciła nagle Bonnie.

- Co? - zapytała Elena, a kiedy Bonnie zaczęła powtarzać nazwę głośniej, zamachała uspokajająco ręką. - Dobra, dobra, pamiętam. Ale po co?

- Bo to oni wymyślili Halloween. Naprawdę. Kiedyś to było jedno z ich świąt. Palili ogniska i wystawiali rzepy z wyciętymi otworami na usta i oczy, żeby odgonić złe duchy. Wierzyli, że to taki dzień, kiedy granica dzieląca żywych od umarłych jest najwęższa. A potrafili być okrutni, Eleno. Składali ofiary z ludzi. Moglibyśmy poświęcić trenera Lymana.

- W sumie to nie taki kiepski pomysł - przytaknęła Meredith. - Okrwawione zwłoki mogłyby być ofiarą. Rozumiecie, na kamiennym ołtarzu, z nożem i kałużami krwi wszędzie dokoła. A potem, kiedy podchodzisz do niego bliżej, on się nagle podnosi.

- A ty dostajesz ataku serca - powiedziała Elena, ale musiała przyznać, że pomysł jest niezły, zdecydowanie można się było wystraszyć. Trochę jej się robiło niedobrze na samą myśl. I jeszcze krew... Ale przecież to i tak tylko keczup. Dziewczyny ucichły. Z szatni dla chłopców, tuż przy sa-li, dobiegał odgłos lejącej się wody i trzaskania drzwiczek szafek, a ponad nimi jakieś niewyraźne krzyki.

- Trening się skończył - mruknęła Bonnie. - Na zewnątrz pewnie już ciemno.

- Tak, a nasz bohater się właśnie myje - powiedział Meredith, unosząc brew i spoglądając na Elenę. - Chcesz zerknąć?

- Jasne - powiedziała Elena. Tylko częściowo był to żart. W jakiś dziwny, niekreślony sposób atmosfera w sali zrobiła się mroczna. Akurat w tej chwili żałowała, że nie widzi Stefano. Że nie może z nim teraz być. - Słyszałyście coś jeszcze o Vickie Bennett? - spytała nagle.

- No cóż - odezwała się Bonnie po chwili. - Rodzice chcą ją zabrać do psychiatrii.

- Do psychiatry? Ale po co?
- Bo... Uważają, że te jej opowieści to były jakieś halucynacje. I słyszałam, że ma jakieś okropne koszmary.
- Och - westchnęła Elena. Odgłosy z szatni dla chłopców słabły, a potem usłyszały trzaśnięcie zewnętrznych drzwi. Halucynacje, pomyślała. Halucynacje i koszmary. Z jakiegoś powodu przypomniała sobie o tym wieczorze, kiedy przez Bonnie zaczęły uciekać przed czymś, czego żadna z nich nie umiała zobaczyć.
- Lepiej bierzmy się z powrotem do dzieła - powiedziała Meredith. Elena otrząsnęła się z rozmyślań i pokiwała głową.
- Mogłybyśmy... Mogłybyśmy zrobić też cmentarz - powiedziała Bonnie z wahaniem, zupełnie jakby czytała w myślach Eleny. - To znaczy, jako dekoracje na imprezę.
- Nie - powiedziała ostro Elena. - Wystarczy nam to, co już mamy - dodała spokojniej i znów pochyliła się nad notesem.
- Znów przez chwilę nie było słyhać niczego poza skrobaniem pisaków i szelestem papieru.
- Dobrze - powiedziała Elena na koniec. - Teraz musimy tylko wymierzyć te przepierzenia. Ktoś będzie musiał wejść za trybuny... No i co teraz?
- Światła w sali gimnastycznej zamigotały i przygasły.
- O nie - powiedziała Meredith z rozpaczą. Światła jeszcze raz zamigotały, zgasły, a potem znów się zapaliły, ale słabo.
- Nic nie mogę przeczytać - powiedziała Elena, wpatrując się w kartkę papieru, która teraz wydawała się czysta. Spojrzała na Bonnie i Meredith i zobaczyła tylko jaśniejsze plamy ich twarzy.
- Coś złego się dzieje z zapasowym generatorem prądu - powiedziała Meredith. - Pójdę po pana Shelby'ego.
- Nie możemy po prostu skończyć jutro? - spytała Bonnie płacząco.
- Jutro sobota - powiedziała Elena. - A my miałyśmy to skończyć w zeszłym tygodniu.
- Idę po woźnego - powtórzyła Meredith. - Chodź, Bonnie, pójdziesz ze mną.
- Mogłybyśmy pójść wszystkie - zaczęła Elena, ale Meredith jej przerwała.

- Jeśli pójdziemy wszystkie i go nie znajdziemy, to nie dostaniemy się z powrotem do środka. Chodź, we dwie będziemy bezpieczne. - Pociągnęła opierając się Bonnie w stronę drzwi. - Eleno, nie wpuszczaj nikogo do środka.

- Nie musisz mi tego mówić - zapewniła Elena, wypuszczając je z sali, a potem patrząc, jak robią kilka kroków korytarzem. Kiedy ich sylwetki zaczęły się rozplýwać w mroku, cofnęła się do środka i zamknęła drzwi.

No cóż, niezły pasztet się z tego zrobił, jak mawiała kiedyś mama. Elena podeszła do kartonowego pudła, które przyniosła Meredith i zaczęła pakować do niego z powrotem segregatory i notesy. W półmroku widziała tylko ich niewyraźne zarysy. Nie słychać było nic, tylko jej oddech i odgłosy pakowania. Była sama w tej wielkiej, mrocznej sali...

Ktoś ją obserwował.

Nie wiedziała, skąd to wie, ale była tego pewna. Ktoś był z nią w tej wielkiej sali i ją obserwował. „Oczy w mroku” powiedział włóczęga. Vickie też to powiedziała. A teraz na nią patrzyły jakieś oczy.

Obracając się na pięcie, rozejrzała się szybko wkoło, wytężając wzrok, żeby przeniknąć półmrok. Starła się nie oddychać. Bała się, że jeśli narobi hałasu, to coś rzuci się na nią. Ale nic nie zobaczyła i niczego nie usłyszała.

Na trybunach było ciemno, stanowiły jakieś groźne kształty rozciągające się w mroku. A odległy kąt sali stanowił po prostu ciemną, szarą mgłę. Ciemna mgła, pomyślała i poczuła, jak boleśnie zaczynają jej się napinać wszystkie mięśnie. Rozpaczliwie nasłuchiwała. O Boże, co to za szmer? Musiała to sobie wyobrazić... Niech to będzie tylko jej wyobraźnia.

Nagle rozjaśniło jej się w głowie. Musiała się stąd wydostać i to natychmiast. Tu się czaiło niebezpieczeństwo - to nie było żadne złudzenie. Coś się tam kryło, coś złego, coś, co się na nią szykowało. A była tu zupełnie sama.

To coś poruszyło się w półmroku.

Krzyk zamarł jej w gardle. Mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa, sparaliżował ją strach i jakaś nienazwana siła. Bezradnie patrzyła, jak z półmroku wyłania się i zbliża do niej jakaś postać. To wyglądało

zupełnie tak, jakby ciemność ożyła i nabierała ciała. Kiedy się w nią wpatrywała, zaczęła dostrzegać postać... człowieka. Młodego chłopaka.

- Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

Głos miał przyjemny, z lekkim akcentem, którego nie umiała określić. Wcale nie było w nim słycać skruchy.

Ulga nadeszła tak nagle i była tak silna, że to aż zabolalo. Zgarbiła się i usłyszała własny oddech, który wyrwał jej się w długim westchnieniu.

To tylko jakiś facet, były uczeń albo pomocnik woźnego. Zwyczajny facet, który leciutko się uśmiechał, jakby rozbawiło go to, że na jego widok o mało nie zemdlala.

No cóż... Może jednak nie taki zupełnie zwyczajny facet. Był zaskakująco przystojny. Twarz miał bladą w tym dziwnym półmroku, ale widziała wyraziste, niemal idealne rysy pod szopą ciemnych włosów. O takich kościach policzkowych marzą rzeźbiarze. Prawie ginął w mroku, bo był ubrany na czarno - miękkie czarne buty, czarne dzinsy, czarny sweter i skórzana kurtka.

Nadal lekko się uśmiechał. Ulga Eleny zamieniła się w gniew.

- Jak się tu dostałeś? - spytała ostro. - Co tu w ogóle robisz? Nikogo innego nie powinno być w sali gimnastycznej.

- Wszedłem drzwiami - powiedział. Głos miał łagodny, kulturalny, ale nadal słyszała w nim rozbawienie i to ją wyprowadzało z równowagi.

- Wszystkie drzwi są pozamykane - powiedziała krótko i dobitnie.

Uniósł brwi i się uśmiechnął.

- Naprawdę?

Elena poczuła kolejny przyływ lęku. Zaczęły jej się jeżyć włoski na karku.

- Drzwi miały być zamknięte - powiedziała najzimniejszym tonem, na jaki umiała się zdobyć.

- Jesteś zła - powiedział poważnie. - Przepraszam, że cię przestraszyłem.

- Nie bałam się! - ucięła. W jakiś sposób czuła się przy nim głupio, jak dziecko, uspokajane przez kogoś o wiele mądrzejszego i bardziej doświadczonego. To ją jeszcze bardziej rozgniewało. - Byłam tylko zaskoczona - ciągnęła. I chyba trudno się temu dziwić, skoro skradałeś się po ciemku w taki sposób.

- W mroku dzieją się ciekawe rzeczy... czasami. Nadal się z niej śmiał, widziała to wyraźnie w jego oczach

Podszedł o krok bliżej, a ona dostrzegła, że jego oczy były niezwykle, niemal czarne, ale płonęły w nich jakieś dziwne ogniki. Jakby zagładając w nie coraz głębiej i głębiej, można było się w te oczy zapaść i tak już spadać wiecznie.

Zdała sobie sprawę, że się na niego gapi. Dlaczego światła wciąż się nie zapalały? Chciała się stąd wydostać. Odsunęła się tak, żeby między nimi znalazł się rząd trybun i schowała ostatnie dwa segregatory do pudła. O reszcie pracy zaplanowanej na dzisiejszy wieczór gotowa była zapomnieć. Teraz ważne było tylko to, żeby się stąd wydostać.

Przedłużające się milczenie wyprowadzało ją z równowagi. On tylko stał bez ruchu i przyglądał się jej. Dlaczego nic nie mówił?

- Szukasz kogoś? - Była na siebie zła, że to ona pierwsza się odezwała.

Nadal tylko na nią patrzył, wpijając w nią spojrzenie ciemnych oczu w sposób, który coraz bardziej zbijał ją z tropu. Z trudem przełknęła ślinę.

Nie odrywając spojrzenia od jej warg, mruknął:

- Och, tak.

- Co? - Zapomniała już, o co pytała. Policzki i szyja zaczęły jej się oblewać rumieńcem od napływającej krwi. Zaczęło jej się kręcić w głowie. Gdyby tylko przestał tak na nią patrzeć...

- Owszem, szukam kogoś - powtórzył nie głośniejszym niż przedtem. A potem jednym krokiem zbliżył się do niej tak, że dzielił ich tylko kraniec siedzenia na trybunie.

Elena nie mogła złapać tchu. Stał tak blisko. Dość blisko, by móc jej dotknąć. Czowała delikatny zapach wody kolońskiej i skóry jego kurtki. I nadal nie odrywał spojrzenia od jej oczu, a ona nie była w stanie odwrócić wzroku. Nigdy jeszcze nie widziała takich oczu, czarnych jak północ, ze źrenicami szerokimi jak u kota. Kiedy zbliżał się do niej, przesłoniły jej cały świat. Pochylił głowę w jej stronę. Czowała, że przymyka oczy, że już niewiele widzi. Ze odchyła głowę do tyłu, rozchyła usta...

Nie! W ostatniej chwili odwróciła głowę na bok. Czowała się tak, jakby

właśnie cofnęła się znad krawędzi przepaści. Co ja robię? - pomyślała, zaszokowana. O mały włos nie pozwoliłam mu się pocałować.

Nieznajomemu, którego po raz pierwszy zobaczyłam kilka minut temu.

Ale to nie było jeszcze najgorsze. Bo w ciągu tych kilku minut wydarzyło się coś niewiarygodnego. Zupełnie zapomniała o Stefano.

Ale teraz jego obraz pojawił się w jej myślach, a tęsknota za nim odezwała się w jej ciele niemal fizycznym bólem. Pragnęła Stefano, tego, żeby ją objął i żeby wreszcie poczuła się bezpieczna.

Przełknęła ślinę. Skrzydełka nosa zadrżały jej, kiedy głęboko odetchnęła. Próbowwała odezwać się głosem spokojnym i pełnym godności.

- Wychodzę - powiedziała. - Jeśli kogoś szukasz, to lepiej zrób to gdzie indziej.

Patrzył na nią dziwnie, z miną, której nie rozumiała. Było to połączenie rozdrażnienia, niechętnego szacunku i jeszcze czegoś. Czegoś gorącego i gwałtownego, co ją przerażało, ale w inny sposób.

Odczekał z odpowiedzią, aż dotknęła dłonią klamki. Jego głos zabrzmiał cicho, z powagą, bez śladu rozbawienia.

- Być może już tego kogoś znalazłem... Eleno. Kiedy obejrzała się za siebie, nic nie dostrzegła w mroku.

Rozdział jedenasty

Elena, potykając się, szła ciemnym korytarzem. Wyciągnęła rękę, usiłując wyczuć, co jest wkoło niej. A potem świat nagle rozbłysnął światłami i znalazła się w znajomym otoczeniu rzędów szafek. Poczowała tak wielką ulgę, że o mato nie krzyknęła. Nigdy nie sądziła, że się ucieszy z tego, że zapalą się światła. Stała tam przez chwilę, rozglądając się wkoło z zadowoleniem.

- Eleno! Co ty tu robisz?

Meredith i Bonnie szły w jej stronę korytarzem.

- Gdzie wyście się podziewały? - spytała je gniewnie. Meredith się skrzywiła.

- Nie mogliśmy znaleźć Shelby'ego. A kiedy go wreszcie znalazłyśmy, spał. Poważnie - dodała, widząc niedowierzającą minę Eleny. - Spał. I nie mogliśmy go dobudzić. Dopiero kiedy światła znów się zapaliły, otworzył oczy. Natychmiast poszłyśmy do ciebie. A ty co tutaj robisz?

Elena się zawahała.

- Znudziło mnie to czekanie - powiedziała, starając się o lekki ton. - I tak dziś zrobiłyśmy już chyba wszystko, co się dało.

- Teraz nam to mówisz - zirytowała się Bonnie. Meredith nic nie powiedziała, ale rzuciła przyjaciółce uważne, przenikliwe spojrzenie. Elenę opanowało niemiłe wrażenie, że te ciemne oczy widzą więcej, niż chciałyby pokazać.

Przez cały weekend i kolejny tydzień Elena była zajęta przygotowaniami do imprezy. Wciąż miała za mało czasu dla Stefano i to ją denerwowało, ale jeszcze bardziej denerwował ją sam Stefano. Wyczuwała jego namiętność, ale czuła też, że z nią walczy, że wciąż stara się nie zostawać z nią sam na sam. I na wiele sposobów pozostał

dla niej taką samą tajemnicą, jaką był, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy.

Nigdy nie wspominał o swojej rodzinie ani o życiu przed przyjazdem do Fell's Church. A jeśli zadawała jakieś pytania, zbywał ją. Raz zapytała, czy tęskni za Włochami i czy żałuje, że tu przyjechał. A wtedy na moment oczy mu rozbłysły jak zielone liście dębu odbijające się w wodach strumienia.

- Jak miałbym żałować, skoro ty tu jesteś? - powiedział i pocałował ją w taki sposób, że wszystkie pytania wyparowały jej z głowy. W tym momencie Elena rozumiała, co to znaczy odczuwać niezmacone szczęście. Czowała też jego radość, a kiedy się odsunął, zobaczyła, że twarz mu się rozjaśniła, jakby oświetliło ją światło słońca.

- Och, Eleno - szepnął.

Dobre chwile właśnie tak wyglądały. Ale ostatnio całował ją coraz rzadziej i czuła, że dystans między nimi wciąż się zwiększa.

W ten piątek razem z Bonnie i Meredith miały nocować u państwa McCullough. Niebo poszarzało i groziło deszczem, kiedy szły do domu Bonnie. Jak na środek października zrobiło się niezwykle zimno i wydawało się, że drzewa rosnące wzdłuż ulicy już odczuły ataki mroźnych wiatrów. Klony zamieniły się w feerię szkarłatu, a miłorzęby pokryły jaskrawą żółcią.

Bonnie przywitała je przy drzwiach.

- Wszyscy sobie poszli! Aż do jutrzejszego popołudnia mamy cały dom dla siebie, bo wtedy rodzina wróci z Leesburga - Gestem zaprosiła je do środka i chciała złapać tłustego pekińczyka, który próbował wymknąć się na zewnątrz. - Nie Jangcy, zostań w domu. Jangcy, nie! Nie, mówię!

Ale było za późno. Jangcy zwał i biegł teraz przez frontowy trawnik w stronę pojedynczej brzozy, gdzie zaczął wściekle ujadać pod gałęziami, a fałdki tłuszczu na jego karku aż zafalowały.

- A teraz co mu odbiło? - odezwała się Bonnie, zakrywając dłońmi uszy.

- To chyba jakaś wrona - powiedziała Meredith. Elena zeszywniała. Podeszła do drzewa, spoglądając pomiędzy gałęzie. Rzeczywiście, była tam. Ta sama wrona, którą widziała już dwa razy przedtem. A może i

trzy razy, pomyślała, wspominając ciemny kształt, który wzbił się w powietrze z drzewa na cmentarzu.

Kiedy patrzyła na ptaka, poczuła, że żołądek ściska jej strach, a ręce robią się lodowate. Wrona znów gapiła się na nią błyszczącym czarnym okiem, spojrzeniem niemal ludzkim. To oko... Gdzie ona już widziała takie oczy?

Nagle wszystkie trzy podskoczyły, bo wrona wydała ochrypy krzyk i poderwała się z drzewa, szybując prosto na nie. W ostatniej chwili zmieniła kierunek i zapikowała w stronę psa, który teraz szczekał wręcz histerycznie. Przeleciała o centymetry od psich zębów, a potem znów wzbiła się w powietrze i poszybowała nad domem, znikając pomiędzy ciemnymi drzewami orzecha rosnącego za nim.

Stały jak wmurowane ze zdumienia. A potem Bonnie i Meredith spojrzały na siebie i rozładowały napięcie w wybuchu nerwowego śmiechu.

- Przez moment wydawało mi się, że ona leci na nas - powiedziała Bonnie, podchodząc do rozwścieczonego pekińczyka i ciągnąc go, wciąż rozszczekanego, w stronę domu.

- Mnie też - przytaknęła Elena cicho. Szła za przyjaciółkami. Nie śmiała się.

Kiedy już z Meredith ułożyły swoje rzeczy, wieczór zaczął się toczyć zwykłym torem. Trudno było odczuwać niepokój, siedząc w zagraconym salonie Bonnie, przy ogniu buzującym na kominku, z kubkiem gorącej czekolady w ręku. Wkrótce wszystkie trzy pogrążyły się w dyskusji na temat przygotowań do imprezy. Elena się odprężyła.

- Idzie nam całkiem nieźle - podsumowała Meredith. - Oczywiście, tyle czasu zajęło nam wymyślanie przebrań dla pozostałych, że nie miałyśmy nawet chwili zastanowić się nad własnymi.

- Ja już wiem - powiedziała Bonnie. - Będę kapłanką druidów. Potrzebna mi tylko girlanda z liści dębu na włosy i jakaś biała szata. Mary i ja uszyjemy coś w jeden wieczór.

- Ja chyba będę czarownicą - stwierdziła Meredith z namysłem. - Potrzebuję długiej czarnej sukienki. A ty, Eleno?

Elena się uśmiechnęła.

- No cóż, to miał być sekret, ale... Ciocia Judith pozwoliła mi iść do

krawcowej. Znalazłam w jednej z książek, z których przygotowywałam pracę semestralną, zdjęcie takiej renesansowej sukni i teraz ją kopiujemy. Z weneckiego jedwabiu, w kolorze lodowatego błękitu. Jest przepiękna.

- Brzmi fajnie - powiedziała Bonnie. - I drogo.

- Wzięłam własne pieniądze, z funduszu powierniczego po rodzicach. Mam nadzieję, że spodoba się Stefano. To niespodzianka dla niego i... No, mam nadzieję, że się ucieszy.

- A za co przebierze się Stefano? Czy on się w ogóle pojawi na imprezie haloweenowej?

- Sama nie wiem - odparła Elena po chwili. - Mam wrażenie, że wcale go to nie cieszy.

- Trudno go sobie wyobrazić owiniętego w podarte prześcieradła i wymazanego sztuczną krwią, jak inni faceci - zgodziła się Meredith. - On jest... No cóż, ma na to zbyt wiele godności.

- Już wiem! - powiedziała Bonnie. - Wiem dokładnie kim mógłby być i wcale nie musiałby się specjalnie przebierać. Posłuchajcie, jest cudzoziemcem, jest nieco blady, ma to cudowne ponure spojrzenie... Dajcie mu frak, a będzie z niego idealny hrabia Drakula.

Elena uśmiechnęła się mimo woli.

- No cóż, zapytam go - obiecała.

- A skoro mowa o Stefano - wtrąciła Meredith, nie spuszczać z Eleny ciemnych oczu. - Jak wam idzie?

Elena westchnęła i wpatrzyła się w ogień.

- Nie jestem pewna - powiedziała wreszcie, powoli. - Są chwile kiedy wszystko jest cudownie, ale są takie, kiedy...

Meredith i Bonnie wymieniły spojrzenia i Meredith odezwała się łagodnie.

- I takie, kiedy co?

Elena zawahała się, zastanowiła. A potem jakby podjęła jakąś decyzję.

- Coś wam pokażę - powiedziała. Wstała i szybko wyjęła z torby niewielki notes oprawiony w błękitny aksamit.

- Pisałam o tym wczoraj, o świcie, bo nie mogłam spać - wyznała. - Lepiej bym chyba teraz tego nie ujęła. - Znalazła stronę, wzięła głęboki

oddech i zaczęła czytać.

17 października

Drogi pamiętniku,

Dzisiaj wieczorem czułam się podle i muszę się tym z kimś podzielić.

Coś jest nie tak między mną a Stefano. W nim jest jakiś okropny smutek, do którego nie umiem dotrzeć i ten smutek nas rozdziela. Nie wiem, co robić.

Nie mogę znieść myśli, że go stracę. Ale jest tak bardzo nieszczęśliwy, że jeśli mi nie powie, co się dzieje, jeśli mi na tyle nie zaufa, to nie widzę dla nas żadnej nadziei.

Wczoraj, kiedy mnie tulił, wyczułam pod jego koszulą coś gładkiego i okrągłego, zawieszzonego na łańcuszku. Zapytałam go żartem, czy to jakiś prezent od Caroline. A on po prostu zamarł i nie chciał już rozmawiać. Zupełnie jakby nagle znalazł się o tysiąc kilometrów stąd, a jego oczy... W jego oczach był taki ból, że nie mogłam na to patrzeć.

Elena przerwała czytanie i w milczeniu przyglądała się ostatnim zapisanym przez siebie linijkom.

Czułam, że ktoś w przeszłości straszliwie go zranił i że on nigdy się z tym nie upora. Ale wydaje mi się też, że jest coś, czego on się obawia, jakiś sekret, który chciałby przede mną ukryć. Gdybym tylko wiedziała, co to jest, mogłabym mu dowieść, że może mi zaufać. Że może to zrobić niezależnie od tego, co się stanie. Do samego końca.

- Gdybym tylko wiedziała - szepnęła.

- Gdybyś wiedziała co? - odezwała się Meredith, a Elena, zaskoczona, uniosła wzrok.

- Och... Gdybym wiedziała, co się może zdarzyć - powiedziała szybko, zamykając pamiętnik. - To znaczy, gdybym wiedziała, że ze sobą zerwiemy, to chyba chciałabym jak najszybciej mieć to za sobą. A gdybym wiedziała, że wszystko dobrze się skończy, nie przejmowałabym się tym, co się dzieje teraz. Ale okropnie jest tak żyć z

dnia na dzień i nie wiedzieć, co będzie dalej.

Bonnie zagryzła wargę, usiadła prosto, a oczy jej rozblęły.

- Pokażę ci, jak się tego dowiedzieć, Eleno - zaofiarowała się. -
Babcia zdradziła mi, w jaki sposób odkryć, za kogo się wyjdzie za męża.
To się nazywa kolacja zmarłych.

- Niech zgadnę, na pewno jakaś stara druidzka sztuce - zażartowała
Meredith.

- Nie wiem, czy jest bardzo stara - powiedziała Bonnie

- Babcia mówi, że takie kolacje zmarłych istnieją od zawsze W
każdym razie to działa. Mama zobaczyła ojca, kiedy spróbowała i
miesiąc później byli po ślubie. To proste, Eleno Poza tym co masz do
stracenia?

Elena popatrzyła na przyjaciółki.

- Nie wiem - twierdziła. - Słuchajcie, chyba nie wie! rzycie, że...

Bonnie wyprostowała się z urażoną godnością.

- Nazywasz moją mamę kłamczucha? Och, daj spokój, Eleno, nic nie
szkodzi spróbować.. Niby czemu nie?

- A co musiałabym zrobić? - spytała Elena, pełna wątpliwości. Była
dziwnie zaintrygowana i trochę się bała.

- To bardzo proste. Musimy mieć wszystko gotowe przed wybiciem
północy...

Pięć minut przed północą Elena stała w jadalni McCulloughów,
czując się przede wszystkim głupio. Z ogrodu na tyłach dolatywało
nerwowe poszczekiwanie Jangcy ale w domu było zupełnie cicho,
pomijając powolne tykanie zegara, stojącego w rogu. Zgodnie z
instrukcjami Bonnie na wielkim stole z orzechowego drewna ustawiła
jeden talerz, jedną szklankę i położyła jeden zestaw sztućców, cały czas
nie mówiąc ani słowa. Potem miała zapalić pojedynczą świecę,
ustawioną na świeczniku pośrodku stołu, a sama stanąć za krzesłem przy
nakryciu dla jednej osoby.

Według Bonnie z wybiciem północy miała odsunąć krzesło i zaprosić
do stołu swojego przyszłego męża. W tym momencie świeca powinna
zgasnąć, a ona zobaczy na tym krześle ducha.

Wcześniej odczuwała lekki niepokój, niepewna, czy chce oglądać
jakiegokolwiek ducha, nawet swojego przyszłego męża. Ale teraz to

wszystko wydawało jej się po prostu głupie i nieszkodliwe. Kiedy zegar zaczął wybijać godzinę, wyprostowała się i mocniej chwyciła oparcie krzesła. Bonnie powiedziała jej, że nie może puścić oparcia do końca rytuału.

Och, to jednak było głupie. Może nie wypowie tych słów... Ale kiedy zegar wybił dwunastą...

- Wejdz - powiedziała z zażenowaniem w stronę pustego pokoju, odsuwając krzesło. - Wejdz. Wejdz...

Świeca zgasła.

Elena drgnęła w ciemności. Poczowała wiatr, chłodny podmuch, który zgasił świecę. Napływał od strony przeszklonych drzwi za jej plecami, a ona obróciła się szybko, jedną dłoń wciąż trzymając na oparciu krzesła. Przysięgłaby, że drzwi do ogrodu są zamknięte.

Coś poruszyło się w mroku.

Elenę ogarnęło przerażenie, spychając na dalszy plan zażenowanie i rozbawienie. O Boże, co ona narobiła? Co na siebie sprowadziła? Serce jej się ścisnęło i poczuła, jakby bez ostrzeżenia została rzucona w sam środek najgorszego koszmaru. Nie tylko było ciemno, ale i zupełnie cicho. Nic nie widziała, nic nie słyszała, wydawało się jej, że spada...

- Pozwól - powiedział jakiś głos i jasny płomyk rozświetlił mrok.

Przez okropną, krótką chwilę wydawało jej się, że to Tyler, bo przypomniawszy jej się ta zapalniczka w ruinach kościoła na wzgórzu. Ale kiedy świeca na stole zapłonęła, zobaczyła dłoń o bladych długich palcach. Miała nadzieję, że to ręka Stefano, ale potem spojrzała na twarz gościa.

- To ty! - zdziwiła się. - Skąd się tu wzięłeś? - Przeniosła wzrok z niego na przeszklone drzwi. Były otwarte. - Zawsze tak wchodzisz do cudzych domów; nieproszony?

- Przecież chciałaś, żebym wszedł. - Głos miał taki, j zapamiętała, spokojny, ironiczny i rozbawiony. Przypomni sobie też ten uśmiech. - Dziękuję - dodał i z wdzięki usiadł na odsuniętym przez nią krześle.

Szybkim ruchem zdjęła dłoń z oparcia.

- Nie ciebie zapraszałam - powiedziała bezradnie, roz-darta między oburzeniem a wstydem. - Co ty tu robisz? Dlaczego kręcisz się przy domu Bonnie?

Uśmiechnął się. W świetle świecy jego czarne włosy miały niemal płynny połysk, zbyt miękkie i delikatne jak na włosy człowieka. Twarz miał bardzo bladą, ale jednocześnie ogromnie pociągającą. Spojrzał jej w oczy i przytrzymał jej wzrok.

- „Heleno! Dla mnie urok twój jest jak te barki, co przed laty kołysały ciężki drogi znój, cicho wędrowca w swoje światy niosąc przez wonne bławaty...” - zacytował.

- Lepiej sobie idź. - Nie chciała, żeby do niej mówił. Jego głos zaskakująco na nią działał, sprawiał, że czuła się dziwnie słaba, jakby rozpuszczała się w środku. - Nie powinieneś tu wchodzić. Proszę. - Sięgnęła po świecę, chcąc ją zabrać i wyjść, walcząc z ogarniającymi ją zawrotami głowy.

Ale zanim zdążyła to zrobić, uczynił coś nieoczekiwanego. Złapał jej wyciągniętą dłoń. Nie brutalnie, ale łagodnym gestem i przytrzymał ją chłodnymi, szczupłymi palcami. A potem odwrócił jej dłoń, pochylił ciemną głowę i pocałował ją w rękę.

- Nie rób tego... - szepnęła Elena, zdumiona.

- Chodź ze mną - powiedział, zaglądając jej w oczy.

- Proszę, nie... - Świat wkoło niej zawirował. Zwariował. O czym w ogóle mówił? Dokąd ma z nim iść? Ale czuła się taka słaba, taka bezsilna.

Wstał i podtrzymał ją. Oparła się o niego, czując jego chłodne palce na pierwszym guziku bluzki pod szyją.

- Proszę, nie...

- Tak trzeba. Zobaczysz. - Rozpinał jej bluzkę, drugą dłonią podtrzymując głowę Eleny.

- Nie! - Nagle wróciła jej siła. Wyrwała mu się, potykając się o krzesło. - Powiedziałam, że masz wyjść i mówiłam serio. Wynoś się. Natychmiast!

Na moment w jego oczach zabłysła niczym niezmacona furia, mroczna fala groźby. Ale potem znów stały się spokojne i chłodne. Uśmiechnął się olśniewająco, ale po chwili ten uśmiech zniknął bez śladu.

- Pójdę sobie - powiedział. - Na razie.

Pokręciła głową, patrząc, jak wychodzi przez przeszkłone drzwi.

Kiedy się za nim zamknęły, stała tam w milczeniu i usiłowała uspokoić oddech.

Ta cisza... Ale nie powinno być tak cicho. Spojrzała na zegar i zobaczyła, że stanął. Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, usłyszała podniesione głosy Meredith i Bonnie.

Wybiegła na korytarz, czując, że nogi się pod nią dziwnie uginają. Dopięła bluzkę. Tylne drzwi stały otworem. Zobaczyła na zewnątrz dwie postacie, pochylające się nad jakimś kształtem, leżącym na trawniku.

- Bonnie? Meredith? Co się stało? Bonnie podniosła wzrok, kiedy Elena do nich podeszła.

Oczy miała pełne łez.

- Och, Eleno, on nie żyje. Elena z przerażeniem spojrzała na kłębek sierści u stóp

Bonnie. Pekińczyk leżał na boku, zupełnie nieruchomo i miał otwarte oczy.

- Bonnie... - wyjąkała.

- Był już stary - odezwała się Bonnie. - Ale nigdy nie sądziłam, że to się stanie tak szybko. Przecież jeszcze przed chwilą czekał.

- Lepiej wracajmy do środka - zaproponowała Meredith, a Elena spojrzała na nią i pokiwała głową. Dzisiaj w nocy lepiej nie stać na zewnątrz, po ciemku. I to nie była noc na zapraszanie do domu zjaw. Teraz już to wiedziała chociaż nadal nie rozumiała tego, co się wydarzyło.

Dopiero kiedy wróciły do salonu, zauważyła, że jej pamiętnik zniknął.

Stefano uniósł głowę znad miękkiej jak aksamit szyi łani. Las pełen był odgłosów nocy. Nie wiedział, który z nich zakłócił mu spokój.

Kiedy moc jego umysłu się rozproszyła, łania wybudziła się z transu. Poczuł, jak jej mięśnie drżą, kiedy usiłowała się podnieść.

A więc biegnij, pomyślał, siadając i puszcżając zwierzę wolno. Łania dzwignęła się na nogi i uciekła.

Nasycił się już. Pedantycznie oblizwał kąciki ust, czując, jak jego wilcze kły się cofają i tracą ostrość, nadwrażliwe, jak zawsze po długim posiłku. Coraz trudniej było mu się zorientować, kiedy ma już dość. Ataki zawrotów głowy nie powtórzyły się po tym ostatnim, obok kościoła, ale żył w strachu, że powrócą.

Jednego bał się najbardziej. Że pewnego dnia ocknie się, z chaosem w myślach, i zobaczy pełne gracji ciało Eleny, leżące mu bezwładnie w ramionach. Jej szczupłą szyję naznaczoną dwiema czerwonymi rankami. Jej serce uciszone na zawsze.

Mógł się czegoś takiego spodziewać.

Żądza krwi, wraz ze wszystkimi siłami i przyjemnościami z nią związanymi, wciąż stanowiła dla niego tajemnicę. Nawet teraz. Choć żył z nią codziennie od stuleci, nadal jej nie rozumiał. Jako człowiek byłby wstrząśnięty samą myślą o picciu tej gęstej, ciepłej substancji z oddychającego ciała. O ile ktoś w ogóle odważyłby mu się coś podobnego zaproponować.

Ale nikt go nie pytał o zdanie tamtej nocy, kiedy Katherine go odmieniła.

Nawet po tych wszystkich latach wspomnienie było wciąż wyraźne. Spał, kiedy pojawiła się w jego sypialni, poruszając się tak cicho jak zjawa.

Miała na sobie delikatną płócienną koszulę. Zbliżyła się do niego.

To było w noc przed wyznaczonym przez nią dniem. Dniem, kiedy miała im oznajmić swój wybór. Przyszła do niego.

Biała dłoń rozsunęła zasłony przy jego łożu. Stefano obudził się i z przestachem usiadł. Kiedy zobaczył jej jasne, złote włosy połyskujące wokół ramion i błękitne oczy pogrążone w mroku, oniemiał ze zdumienia.

I z miłości. Nigdy w życiu nie widział piękniejszej istoty. Zadrzał i chciał coś powiedzieć, ale położyła mu na ustach dwa chłodne palce.

- Cii - szepnęła, a łóżko zapadło się nieco bardziej, kiedy położyła się obok niego.

Twarz zapłonęła mu rumieńcem, serce waliło wstydem i podnieceniem. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie leżała w jego łóżku. A to była Katherine. Katherine, której uroda zdawała się być darem samego nieba. Katherine, którą kochał bardziej niż własną duszę.

A ponieważ ją kochał, zdobył się na wielki wysiłek. Kiedy wślizgnęła się pod okrycia i przysunęła tak blisko, że wyczuł zapach chłodnego nocnego powietrza w fałdach jej cieniutkiej koszuli, udało mu się odezwać.

- Katherine - szepnął. - My... ja mogę zaczekać. Aż pobierzemy się w kościele. Poproszę ojca, żeby to było w przyszłym tygodniu. To... to nie tak długo...

- Cii - szepnęła. I znów poczuł ten chłód na skórze. Nic nie mógł już poradzić, wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie. - To, co teraz robimy, nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała i wyciągnęła smukłe palce, żeby pogłaskać po go szyi.

Zrozumiał. I poczuł strach. Lęk zniknął, kiedy gładziła jego szyję. Chciał tego, chciał wszystkiego, co pozwoliłoby mu być z Katherine.

- Połóż się, ukochany - szepnęła.

Ukochany. To słowo zaśpiewało w nim, kiedy osuwał się na poduszkę, unosząc brodę, żeby obnażyć szyję. Strach zniknął, zastąpiło go szczęście tak wielkie, że nie dało się go opisać.

Poczuł na piersi lekkie muśnięcie jej włosów i próbował się uspokoić. Poczuł jej oddech na swojej szyi, potem jej usta. A potem zęby.

Ból go zakłuł, ale leżał bez ruchu i nie wydał żadnego dźwięku, myśląc tylko o Katherine, o tym, co pragnął jej dać. Niemal od razu ból zelżał i poczuł, że traci krew. To wcale nie było tak okropne, jak się tego obawiał. Miał wrażenie, że coś jej daje, że ją karmi.

A potem było tak, jakby ich umysły zlały się w jedno, stały się jednym. Czuł radość Katherine, kiedy piła z niego, jej zachwyty pojeniem się ciepłą krwią, która dawała jej życie. I wiedział, że sam umie się cieszyć tym daniem. Ale rzeczywistość zacierała się, zniknęła granica między snem a jawą. Nie mógł myśleć jasno, w ogóle nie mógł już myśleć. Potrafił tylko czuć, a te uczucia wzbijały się spirala, która niosła go coraz wyżej, zrywając ostatnie związki z ziemią.

Jakiś czas później, nie wiedząc, jak się tam znalazł, przekonał się, że leży w jej ramionach. Tuliła go jak matka tuli maleńkie dziecko. I naprowadzała jego usta na nagą skórę tuż ponad głębokim dekoltem nocnej koszuli. Była tam maleńka ranka, zadrapanie rysujące się ciemniej na tle bladej skóry. Nie czuł strachu. Nie wahał się i kiedy zachęcającym ruchem pogładziła go po włosach, zaczął ssać.

Precyzyjnym ruchem Stefano otrzepał ziemię z kolan. Świat ludzi spał, pogrążony w głębokim śnie, ale jego własne zmysły były wyostrzone. Powinien być syty, ale znów poczuł głód. Wspomnienia

rozbudziły w nim apetyt. Węsząc nosem za piźmową wonią lisa, ruszył na polowanie.

Scandalous

Rozdział dwunasty

Elena powoli obracała się na palcach przed wielkim lustrem w sypialni ciotki Judith. Margaret siedziała w nogach wielkiego łóżka z baldachimem z podziwem w błękitnych oczach.

- Chciałabym mieć taką sukienkę na Halloween - powiedziała.
- Wolę cię jako małego białego kotka - stwierdziła Elena, całując małą między białymi uszkami, przymocowanymi do przepaski na głowie. A potem zwróciła się do ciotki, stojącej przy drzwiach z igłą i nitką, gdyby trzeba było coś poprawić. - Jest idealna - powiedziała radośnie.

Dziewczyna w lustrze mogła równie dobrze zstąpić z którejś z ilustracji w książkach Eleny o włoskim renesansie. Szyję i ramiona miała obnażone, a obcisły stanik sukni w kolorze zimnego błękitu podkreślał jej wąską talię. Długie obfite rękawy miały rozcięcia, przez które widać było spodnią szatę z białego jedwabiu, a szeroka, powłóczysta spódnica sięgała do samej ziemi, lekko się po niej ciągnąc. Suknia była piękna. Jasnoniebieski kolor podkreślał ciemniejszy błękit tęczę Eleny.

Odwracając się od lustra, zerknęła na staroświecki zegar z wahadłem wiszący nad toaletką.

- Och, nie. Już prawie siódma. Stefano będzie tu lada chwila.
- Słyszę jego samochód - powiedziała ciotka Judith, wyglądając przez okno. - Zejdę i go wpuszczę.
- Nie trzeba - zapewniła ją Elena. - Sama do niego zejdę. Do widzenia. Bawcie się dobrze przy zbieraniu słodczy!

Szybko zeszła po schodach.

No, raz kozie śmierć, pomyślała. Kiedy sięgała do gałki przy drzwiach, przypomniała sobie dzień - prawie dwa miesiące temu - kiedy zastąpiła Stefano drogę po historii Europy. Towarzyszyło jej wtedy to

samo uczucie niespokojnego oczekiwania, ożywienia i napięcia.

Mam tylko nadzieję, że teraz pójdzie lepiej niż z tamtym planem, pomyślała. Przez ostatnie półtora tygodnia coraz więcej nadziei wiązała z tym wieczorem. Jeśli dziś nie dojdą ze Stefano do porozumienia, to już nigdy im się to nie uda.

Otworzyła drzwi i się cofnęła. Spuściła oczy, ogarnięta dziwną nieśmiałością, niemal bojąc się spojrzeć Stefano w twarz. Ale kiedy usłyszała, że gwałtownie nabiera powietrza w płuca, uniosła oczy. Poczuła, że serce ściska jej chłód.

Patrzył na nią z zachwytem. Ale to nie był radosny zachwyt, jaki widziała w jego oczach tego pierwszego wieczoru w jego pokoju. Przypominało to raczej szok.

- Nie podoba ci się - szepnęła, przerażona łzami, które zapiekły ją w oczach.

Jak zwykle szybko nad sobą zapanował, zamrugał i pokręcił głową.

- Nie, jest piękna. Ty jesteś piękna.

- Sam wyglądasz świetnie - pochwaliła cicho. I mówiła szczerze. Był elegancki i przystojny w smokingu i pelerynie, w którą postanowił się przebrać. Zdziwiła się, że się zgodził na to przebranie. Kiedy mu je zaproponowała wydawał się przede wszystkim rozbawiony. A teraz wyglądał dobrze i swobodnie, jakby taki strój był dla niego równie naturalny jak dzinsy.

- Lepiej już chodźmy - powiedział równie cicho i poważnie.

Elena skinęła głową i poszła z nim do samochodu, ale serca nie ściskał jej już chłód. Było skute lodem. Okazał się bardziej niedostępny niż kiedykolwiek, a ona nie miała pojęcia, jak go odzyskać.

Kiedy dojeżdżali do budynku liceum, nad ich głowami rozległ się grzmot. Elena, trochę otępiła, wyjrzała przez okno samochodu z niepokojem. Niebo zakrywały gęste i grube chmury, chociaż jeszcze nie zaczęło padać. Powietrze było pełne napięcia, naelektryzowane, a ponure fioletowe burzowe chmury nadawały niebu wygląd rodem z sennego koszmaru. Świetna aura na Halloween, groźna, jak nie z tego świata, ale w Elenie budziła wyłącznie lęk. Od tamtego wieczoru w domu Bonnie straciła upodobanie do niesamowitych i niezwykłych wydarzeń.

Nie odnalazła pamiętnika, chociaż przeszukały dom Bonnie od

piwnicy po dach. Nadal nie mogło jej się zmieścić w głowie, że zniknął. Sama myśl, że obcy człowiek czyta jej najskrytsze myśli, doprowadzała ją do szału. Bo, oczywiście, pamiętnik skradziono, innego wyjaśnienia nie było. Tego wieczoru drzwi do domu McCulloughów były otwarte, ktoś mógł zwyczajnie wejść do środka. Chętnie by zabiła tego, kto to zrobił.

Przypomniała sobie te ciemne oczy. Chłopaka, któremu prawie pozwoliła się uwieść w domu Bonnie, który sprawił, że zapomniała o Stefano. Czy to on ukraść pamiętnik?

Zatrzymali się pod szkołą. Wysiadła i zmusiła się do uśmiechu, kiedy szli korytarzami. W sali gimnastycznej panował jeden wielki, z trudem poddający się kontroli chaos. W ciągu godziny, odkąd Elena stąd wyszła, wszystko się zmieniło.

Wtedy sala pełna była organizatorów - uczniów z samorządu szkolnego, członków drużyny futbolowej, członków Key Club, którzy wspólnie robili ostatnie poprawki przy dekoracjach i rekwizytach. Teraz pełno tu było nowych osób, z których większość nawet nie przypominała istot ludzkich.

Kilku zombie obróciło się, kiedy Elena wchodziła do środka.

Wyszczzerzone w uśmiechu czaszki wynurzały się spod gnijących twarzy. Jakiś groteskowo zniekształcony garbus pokuśtykał do niej ręką w rękę z trupem o sinobladej skórze i pustych oczodołach. Z innej strony nadszedł wilkołak z wyszczzerzonymi kłami poplamionymi krwią oraz ciemnowłosa, wspaniała czarownica.

Elena zdała sobie sprawę, że w kostiumach nie rozpoznaje połowy z tych ludzi. A oni otoczyli ją, podziwiając błękitną suknię i zarzucając ją problemami, które już zdążyły się pojawić. Elena uciszyła ich machaniem ręki i zwróciła się do czarownicy, której długie ciemne włosy spływały na plecy dopasowanej czarnej sukni.

- Co się stało, Meredith? - spytała.

- Trener Lyman zachorował - odpowiedziała ponuro czarownica. -

Więc ktoś poprosił Tannera o zastępstwo.

- Tannera? - przeraziła się Elena.

- Tak. A on zdążył już narobić kłopotów. Oberwało się biednej Bonnie. Lepiej do nich idź.

Elena westchnęła, pokiwała głową i ruszyła przed siebie. Kiedy mijiała makabryczną izbę tortur i koszmarną salę szalonego nożownika, pomyślała, że dekoracje wyszły za dobrze. To miejsce nawet w jasnym świetle robiło niesamowite wrażenie.

Sala druidów znajdowała się w pobliżu wyjścia. Tam wybudowano kartonowy Stonehenge. Ale śliczna młoda druidka, która stała między całkiem realnie wyglądającymi monolitami, ubrana w białe szaty i girlandę z dębowych liści, miała minę, jakby chciała wybuchnąć płaczem.

- Ale pan musi być umazany krwią - tłumaczyła błagalnie. - To część tej sceny, jest pan ofiarą z człowieka.

- Wystarczy, że muszę nosić ten idiotyczny strój - uciał krótko pan Tanner. - Nikt mnie nie uprzedził, że mam się do tego cały wysmarować keczupem.

- Keczup niekoniecznie wylądje na panu - przekonywała Bonnie. - Tylko na szatach i na ołtarzu. Został pan złożony w ofierze - powtórzyła, jakby to w jakiś sposób miało go przekonać.

- Jeśli chodzi o całą tę scenografię - oświadczył pan Tanner z niesmakiem - to stoi ona pod dużym znakiem zapytania. Wbrew popularnemu przekonaniu, druidzi nie zbudowali Stonehenge. Powstało ono w epoce brązu, w czasach kultury, która...

Elena podeszła do nich.

- Panie profesorze, ale teraz nie o to chodzi.

- Właśnie tak. Wam nie chodzi o to - powiedział. - I dlatego ty i twoja neurotyczna przyjaciółka zawalacie historię.

- To było niepotrzebne - odezwał się nowy głos, a Elena obejrzała się szybko przez ramię na Stefano.

- Panie Salvatore - powiedział Tanner, wymawiając te słowa takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Dość już tego wszystkiego”. - Pewnie chce mi pan podrzucić parę nowych złotych myśli. A może mnie też podbije pan oko? - Obrzucił długim spojrzeniem Stefano, który stał, nieświadomy własnej elegancji, w idealnie uszytym smokingu. Do Eleny w nagłym przeblysku intuicji coś dotarło.

Tanner wcale nie jest od nas wiele starszy, pomyślała. Robi wrażenie starego, bo włosy mu rzedną, ale założę się, że jeszcze nie ma

trzydziestki. A potem, z jakiegoś powodu, przypomniała sobie, jak Tanner wyglądał na jesiennym balu, w tanim i wyświechtanym garniturze, który wcale na nim dobrze nie leżał.

Założę się, że na swój własny szkolny jesienny bal nawet nie poszedł, pomyślała. I po raz pierwszy poczuła dla niego coś w rodzaju współczucia.

Być może Stefano też to poczuł, bo chociaż szybko podszedł do niskiego mężczyzny i stanął z nim twarzą w twarz, kiedy się odezwał, głos miał spokojny.

- Nie mam takiego zamiaru. Moim zdaniem popadliśmy w lekką przesadę. Może... - Elena nie dosłyszała reszty, ale mówił to spokojnym, cichym tonem, a pan Tanner faktycznie go wysłuchał. Obejrzała się na tłumek, który zgromadził się za nią: cztery czy pięć ghuli, wilkołaka, goryla i garbusa.

- Już dobrze, wszystko pod kontrolą - powiedziała i się rozeszli. Stefano zajął się wszystkim, chociaż nawet nie wiedziała, jak to zrobił, bo przed sobą miała tylko tył jego głowy.

Tył jego głowy... Na chwilę wróciła myślami do tego pierwszego dnia szkoły. Przypomniała sobie, jak Stefano rozmawiał w biurze z panią Clarke, sekretarką, i jak dziwnie się wtedy zachowywała. I rzeczywiście, kiedy teraz Elena spojrzała na Tannera, miał taką samą, z lekka ogłupiałą minę. Poczuła, że powoli ogarnia ją niepokój.

- Chodź - powiedziała do Bonnie. - Zobaczymy, co przy wejściu.

Przeszły przez salę lądowania obcych i salę żywych trupów, prześlizgując się między przepierzeniami, aż doszły do pierwszego pomieszczenia, gdzie wchodzących gości witał wilkołak. Wilkołak zdjął głowę od kostiumu i rozmawiał właśnie z dwiema mumiami i egipską księżniczką.

Elena musiała przyznać, że w roli Kleopatry Caroline wygląda świetnie. Smukłe opalone ciało widać było wyraźnie pod przejrzystą lnianą szatą, którą miała na sobie. Matt, czyli wilkołak, mógł się czuć usprawiedliwiony, kiedy jego spojrzenie wciąż uciekało z twarzy Caroline w jakieś niższe rejony.

- Co słyhać? - zapytała z wymuszoną swobodą. Matt lekko drgnął, a potem obrócił się w stronę Elen i Bonnie. Elena prawie go nie

widowała od jesiennego balu i wiedziała, że jego kontakty ze Stefano też się rozluźniły. Przez nią. I chociaż trudno było mieć do Marta za to jakieś pretensje zdawała sobie sprawę, jak bardzo zabolalo to Stefano.

- Wszystko w porządku - powiedział ze zmieszaną miną

- Kiedy Stefano skończy z Tannerem, chyba go tu przyślę - stwierdziła Elena. - Może pomóc przy witaniu zwiedzających.

Matt obojętnie wzruszył ramieniem. A potem powiedział:

- Ale co ma skończyć z Tannerem?

Elena spojrzała na niego ze zdziwieniem. Dałaby głowę, że przed chwilą był w sali druidów i wszystko widział. Wyjaśniła sytuację.

Na zewnątrz znów uderzył piorun. Przez otwarte drzwi Elena dostrzegła błyskawice na tle nocnego nieba. Parę sekund później usłyszała kolejne wyładowanie, jeszcze głośniejsze.

- Mam nadzieję, że nie będzie lało - zaniepokoiła się Bonnie.

- Rzeczywiście - powiedziała Caroline, która do tej pory stała w milczeniu. - Szkoda, gdyby nikt nie przyszedł.

Elena spojrzała na nią ostro i zobaczyła w wąskich kocich oczach Caroline nieskrywaną nienawiść.

- Caroline - odezwała się impulsywnie. - Słuchaj, czy mogłybyśmy dać sobie z tym spokój? Zapomnieć o tym, co się stało i zacząć od nowa?

Pod opaską w kształcie kobry oczy Caroline rozszerzyły się, a potem znów zamieniły w szparki. Skrzywiła się i podeszła bliżej do Eleny.

- Nigdy ci tego nie zapomnę - wycedziła. Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Zapadła cisza. Bonnie i Matt gapili się w podłogę. Elena podeszła do drzwi, chciała poczuć chłodny powiew wiatru na policzkach. Na zewnątrz widziała boisko, a za nim szarpane wiatrem gałęzie dębów i po raz kolejny ogarnęło ją złe przeczucie. Dziś jest ta noc, pomyślała z żalem. Dziś jest ta noc, kiedy to się stanie. Ale nie miała zielonego pojęcia, co?

Jakiś głos zabrzmiał w zmienionej nie do poznania sali gimnastycznej.

- Dobra, za chwilę zaczną wpuszczać ludzi. Ed, gasimy światła!

Nagle zapadł mrok, a powietrze wypełniły jęki i wybuchy szalonego

śmiechu, zupełnie jakby orkiestra stroiła instrumenty. Elena westchnęła i odwróciła się, żeby spojrzeć na salę.

- Lepiej się szykujmy do oprowadzania - powiedziała cicho do Bonnie. Ta skinęła głową i znikła w ciemnościach. Matt założył łeb wilkołaka i włączył magnetofon, który do całej kakofonii dźwięków dodał jakąś niesamowitą muzykę.

Stefano wyszedł zza rogu. Jego włosy i peleryna zlewały się z mrokiem. Tylko biały front koszuli odcinał się wyraźną plamą.

- Z Tannerem wszystko w porządku - powiedział. - Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

- No cóż, mógłbyś popracować tu z Mattem, witać gości... - Elena urwała. Matt pochylał się nad magnetofonem i precyzyjnie dostrajał głośność, nie podnosząc oczu. Elena spojrzała na Stefano i zobaczyła, że jego twarz jest ściągnięta i pozbawiona wyrazu. - Albo możesz iść do szatni dla chłopców i zająć się rozdawaniem kawy i innych rzeczy pracującym - dokończyła zniechęcona.

- Pójdę do szatni - oznajmił. I odwrócił się, a ona zauważyła, że odchodząc, lekko się potknął.

- Stefano? Coś ci się stało?

- Nic mi nie jest. - Odzyskał równowagę. - Jestem trochę zmęczony, to wszystko.

Obróciła się do Matta, chcąc coś powiedzieć, ale w tym momencie w drzwiach stanęła pierwsza grupka gości.

- Zaczynamy przedstawienie - powiedział Matt i zniknął w mroku.

Elena przechodziła z sali do sali i zajmowała się rozwiązywaniem problemów. Zeszłego roku ta część wieczoru sprawiała jej najwięcej przyjemności - obserwowanie makabrycznych scenek i śmiechów zwiedzających. Ale dzisiaj wszystkim jej myślom towarzyszyły jakiś lęk i napięcie. Dziś jest ta noc, pomyślała znowu i miała wrażenie, że serce lodowacieje jej jeszcze bardziej.

Minęła ją śmierć - bo chyba za nią przebrała się ta osoba w czarnej szacie z kapturem. - Zaczęła się zastanawiać, czy widziała ją już na jakiejś wcześniejszej imprezie z okazji Halloween. W ruchach tej osoby było coś znajomego.

Bonnie wymieniła udręczony uśmiech z wysoką szczupłą czarownicą,

która kierowała gości do pokoju pajaków. Kilku chłopaków z gimnazjum uderzało wiszące w nim gumowe pająki, wrzeszczało i robiło sporo zamieszania. Bonnie szybko zagoniła ich do sali druidów.

Tam stroboskopowe światła nadawały scenografii atmosferę jak ze snu. Bonnie z ponurym triumfem patrzyła na pana Tannera, rozciągniętego na ołtarzu, w białych szatach obficie poplamionych krwią, wpatzonego w sufit niewi-dzącym spojrzeniem.

- Super! - zawołał jeden z chłopaków, podbiegając do ołtarza. Bonnie stała z boku, szeroko uśmiechnięta, czekając, aż okrwawiona ofiara raptownie usiądzie i śmiertelnie wystraszy dzieciaka.

Ale pan Tanner nie drgnął nawet wtedy, kiedy chłopak wsadził rękę w kałużę krwi przy jego głowie.

To dziwne, pomyślała Bonnie, podbiegając, żeby zabrać dzieciakowi ofiarny nóż.

- Nie rób tego! - rzuciła, więc tylko uniósł do góry umazaną rękę, która w ostrym świetle stroboskopów zabłysła czerwienią. Bonnie ogarnęło nagle irracjonalne przeczucie, że pan Tanner zaczeka, aż ona się nad nim pochyli i będzie próbował przestraszyć właśnie ją. Ale dalej tylko patrzył w sufit.

- Panie profesorze, wszystko dobrze? Panie profesorze? Panie profesorze?!

Nie drgnął ani się nie odezwał. Szeroko otwarte jasne oczy nie poruszyły się. Nie dotykaj go, coś ostrzegало Bonnie w myślach. Nie dotykaj go, nie dotykaj go, nie dotykaj...

W świetle stroboskopów widziała rękę, którą wyciągnęła do Tannera, złapała go za ramię i potrząsnęła. Zobaczyła, jak jego głowa bezwładnie przetacza się w jej stronę. A potem zobaczyła jego gardło.

Zaczęła krzyczeć.

Elena usłyszała krzyki. Brzmiały wysoko, przeciągle, zupełnie inaczej niż wszystkie pozostałe odgłosy na imprezie. Od razu zrozumiała, że to nie żart.

Wszystko, co działo się potem, przypominało jakiś koszmar.

Dopadła biegiem sali druidów i zobaczyła tam okropną scenę. Ale nie tę, która została przygotowana dla zwiedzających. Bonnie wrzeszczała, Meredith trzymała ją za ramiona. Trzech chłopaków próbowało

wydostać się przez zasłonę, zawieszoną w przejściu, a dwóch ochroniarzy przeszkadzało im w tym, zaglądając przez nią do środka. Pan Tanner leżał bezwładnie na kamiennym ołtarzu, a jego twarz...

- On nie żyje! - zaszlocha Bonnie, kiedy wreszcie udało jej się wydobyć z siebie coś więcej niż wrzask. - O Boże, ta krew jest prawdziwa! On nie żyje. A ja go dotknęłam. Eleno, on nie żyje, on naprawdę nie żyje...

Ludzie napływali do wnętrza. Ktoś jeszcze zaczął krzyczeć, a potem wszyscy próbowali się stamtąd wydostać, przepychając się w panice i wpadając na przepierzenia.

- Zapalcie światła! - zawołała Elena i usłyszała, że to wołanie podejmują inni. - Meredith, szybko do telefonu przy sali, wezwij karetkę, dzwoń na policję... Zapalcie wreszcie te światła!

Kiedy światła rozbłysły, Elena rozejrzała się wkoło, ale nie zobaczyła żadnych dorosłych, nikogo, kto mógłby zapanować nad sytuacją. Przejęta lodowatym chłodem, próbowała szybko się zdecydować, co teraz robić. Częściowo po prostu zdrętwiała z przerażenia. Pan Tanner... Nigdy go nie lubiła, ale jeśli się nad tym zastanowić, to tylko wszystko pogarszało.

- Zabierzcie stąd dzieciaki! Wszyscy wychodzą poza obsługą - powiedziała.

- Nie! Trzeba zamknąć drzwi! Nikt nie może stąd wyjść do przyjazdu policji - zawołał stojący obok wilkołak, zdejmując maskę. Elena obróciła się ze zdumieniem, słysząc jego głos i zobaczyła, że to nie Matt, tylko Tyler Smallwood.

Dopiero w tym tygodniu pozwolili mu wrócić do szkoły, na twarzy miał jeszcze ślady lania, jakie oberwał od Stefano. Ale w jego głosie brzmiała stanowczość i Elena zobaczyła, że osoby wyznaczone do ochrony zamykają drzwi wyjściowe. Usłyszała, że w całej sali gimnastycznej zamykają się pozostałe drzwi.

Z kilkunastu osób stłoczonych w sali druidów tylko jedną Elena rozpoznała jako pracującą przy obsłudze imprezy. Resztę знаła ze szkoły, ale nikogo dobrze. Jakiś chłopak przebrany za pirata odezwał się do Tylera:

- Chcesz powiedzieć, że... zrobił to ktoś, kto tu jest?

- Owszem, zrobił to ktoś, kto tu jest - powiedział Tyler. W jego głosie było jakieś dziwne ożywienie, jakby prawie się cieszył z tej sytuacji. Wskazał ręką kałużę krwi na kamieniu. – Jeszcze nie zastygła, to musiało się stać niedawno. Popatrzcie na to, jak ma przecięte gardło. Zabójca musiał to zrobić tym. - Wskazał ręką ofiarny nóż.

- Więc morderca rzeczywiście może tu być - szepnęła jakaś dziewczyna w kimonie.

- I nietrudno zgadnąć, kto to - rzucił Tyler. - Ktoś, kto nienawidził Tannera, kto zawsze wdawał się z nim w kłótnie. Ktoś, kto się z nim dzisiaj sprzeczał, wcześniej. Widziałem to.

A więc to ty byłeś wilkołakiem z tej sali, pomyślała Elena z oszołomieniem. Ale po co tu w ogóle przyszedłeś? Nie jesteś na liście organizatorów.

- Ktoś, kto już na raz zaatakował człowieka - ciągnął Tyler, obnażając zęby. - Ktoś, kto, z tego co wiemy, może być psychopatą. Przyjechał do Fell's Church tylko po to, żeby zabijać.

- Tyler, co ty wygadujesz? - Oszołomienie Eleny prysło jak bańka mydlana. Wściekła, podeszła do wysokiego, postawnego chłopaka. - Zwariowałaś!

Wskazał ją gestem ręki, nawet na nią nie patrząc.

- Tak mówi jego dziewczyna, ale może jednak jest trochę stronnicza?

- Może ty sam jesteś nieco stronniczy, Tyler - odezwał się jakiś głos zza pleców zgromadzonych ludzi i Elena zobaczyła drugiego wilkołaka. Do środka wchodził Matt.

- Ach, tak? No to może powiesz nam, co wiesz o tym Salvatore? Skąd jest? Gdzie mieszka jego rodzina? Skąd ma pieniądze? - Tyler zwrócił się do pozostałych. - Kto w ogóle wie coś na jego temat?

Ludzie kręcili głowami. Elena widziała, jak na wszystkich twarzach po kolei wykwiła podejrzenie. Nieufność wobec nieznanego. Stefano był przecież inny. Wciąż pozostawał kimś obcym. A im potrzebny był teraz koziół ofiarny.

Dziewczyna w kimonie zaczęła:

- Słyszałam taką plotkę...

- Bo tylko to wszyscy słyszeli, plotki! - powiedział Tyler. - Nikt w

sumie nic o nim nie wie. Ale ja wiem jedno. Te napady w Fell's Church zaczęły się w pierwszym tygodniu szkoły, wtedy, kiedy pojawił się tu Stefano Salvatore.

Po jego słowach wzmożyły się szmery i Elena sama też coś rozumiała. Oczywiście, to było śmieszne, to był zwyczajny zbieg okoliczności. Ale Tyler mówił prawdę. Ataki zaczęły się po przyjeździe Stefano.

- Powiem wam coś jeszcze! - krzyknął Tyler, uciszając ich gestem. - Posłuchajcie mnie! - Zaczekał, aż wszyscy na niego spojrzą i wtedy dodał powoli i dobitnie: - On był na cmentarzu tej nocy, kiedy zaatakowano Vickie Bennett.

- No jasne, że był na cmentarzu, porachował ci tam kości - powiedział Matt, ale jego głos pozbawiony był zwykłej stanowczości. Tyler uczepił się tej uwagi i wykorzystał ją.

- Tak. I o mało mnie nie zabił. A dziś ktoś naprawdę zamordował Tannera. Nie wiem, co o tym myślicie, ale moim zdaniem, on to zrobił. Jest sprawcą!

- A gdzie on jest? - zapytał ktoś z tłumu. Tyler rozejrzał się wkoło.

- Jeśli to zrobił, to musi tu gdzieś jeszcze być! - zawołał. - Znajdźmy go!

- Stefano nic nie zrobił! Tyler! - wołała Elena, ale zagłuszyły ją okrzyki pozostałych, którzy podchwytywali i powtarzali słowa Tylera. „Znajdźcie go! Znajdźcie go... Znajdźcie go...” Elena słyszała, jak te słowa przechodzą z ust do ust. Twarze obecnych w sali druidów przepełniło teraz coś więcej niż tylko nieufność. Elena widziała w nich gniew i żądzę zemsty. Tłum zmienił się w motłoch, którego nie można było kontrolować.

- Gdzie on jest, Eleno? - spytał Tyler. Dostrzegła w jego oczach płomień triumfu. On się z tego naprawdę cieszył.

- Nie wiem - powiedziała ostro Elena. Miała ochotę go uderzyć.

- Musi tu jeszcze być! Znajdziemy go! - zawołał ktoś, a potem już wszyscy naraz ruszyli z miejsca, zaczęli biegać w różne strony i się przepychać. Przepierzenia się przewracały albo je przesuwano.

Elenie mocno waliło serce. To już nie była grupa ludzi, tylko rozszalały żywioł. Bała się tego, co mogli zrobić Stefano, gdyby go

znaleźli. Ale gdyby próbowała go ostrzec, zaprowadziłaby Tylera prosto do niego.

Rozejrzała się wokół z desperacją. Bonnie nadal wpatrywała się w martwą twarz pana Tannera. Stąd nie mogła oczekiwać pomocy. Obróciła się po raz kolejny w stronę tłumu i napotkała spojrzenie Matta.

Wydawał się poruszony i zły, jasne włosy miał potargane, policzki zarumienione i błyszczące. Elena całą siłę woli włożyła w jedno błagalne spojrzenie.

Proszę, Matt, myślała. Na pewno w to nie wierzysz. Wiesz, że to nieprawda.

Ale w jego oczach widziała, że nie był tego pewien. Była w nich mieszanina zdumienia i wzburzenia.

Proszę, błagała w myślach, wpatrując się w niebieskie oczy i pragnąc, żeby ją zrozumiał. Proszę cię, Matt, tylko ty możesz go uratować. Nawet jeśli nie wierzysz, proszę, zaufaj... Proszę cię...

Zobaczyła, że jego twarz się zmienia, że znika oszołomienie i zastępuje je ponura determinacja. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę i krótko skinął głową. A potem zawrócił i zniknął wśród kłębiącego się, polującego tłumu.

Matt przedzierał się przez zbiegowisko bez trudu aż do chwili, kiedy znalazł się przy przeciwległej ścianie sali gimnastycznej. Tam, przy drzwiach do szatni dla chłopców, stało paru chłopaków z pierwszej klasy. Szorstko kazał im posprzątać przewrócone przepierzenia. A kiedy się tym zajęli, szarpnął klamkę drzwi i wymknął się na zewnątrz.

Szybko się rozejrzał, bo nie chciał wołać Stefano, Zresztą, pomyślał, chłopak musiał słyszeć zamieszanie, które wybuchło na sali. Pewnie już zwiął. Ale wtedy dostrzegł na posadzce z białych kafelków ubraną na czarno postać.

- Stefano? Co się stało? - Przez jakąś okropną chwilę Matt myślał, że właśnie patrzy na kolejne zwłoki. Ale kiedy przyklęknął przy jego boku, Stefano się poruszył. - Hej, wszystko w porządku, tylko siadaj powoli... Ostrożnie. Nic ci nie jest?

- Nie - powiedział Stefano. Ale Matt pomyślał, że wygląda, jakby mu się coś stało. Twarz miał białą jak kreda, a źrenice mocno rozszerzone. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i chorego. -

Dziękuję - powiedział.

- Za moment przestaniesz mi dziękować. Musisz stąd uciekać.

Słyszysz ich? Szukają cię.

Stefano obrócił się w stronę sali gimnastycznej, jakby nasłuchiwał.

Ale nadal patrzył nierozumiejącym wzrokiem.

- Kto mnie szuka? Dlaczego?

- Wszyscy. Nieważne. Ważne, że musisz uciekać, zanim cię dopadną. - A kiedy Stefano nadal patrzył na niego nieobecnym spojrzeniem, dodał: - Doszło do kolejnego ataku, tym razem na Tannera, na pana Tannera. Nie żyje. A oni myślą, że ty to zrobiłeś.

Teraz wreszcie w oczach Stefano dostrzegł zrozumienie.

Zrozumienie, przerażenie i jakąś dziwną rezygnację, która przeraziła go bardziej niż wszystko, co zobaczył wcześniej. Mocno złapał chłopaka za ramię.

- Wiem, że tego nie zrobiłeś - powiedział i w tym momencie w to uwierzył. - Oni też to rozumieją, kiedy znów będą w stanie myśleć. Ale na razie, lepiej się stąd wynoś.

- Wyniosę się... tak- obiecał Stefano. Zagubione spojrzenie znikło, a w jego głosie pojawiła się nuta coraz wyraźniejszej goryczy. - Wyniosę się...

- Stefano...

- Matt. - Zielone oczy były mroczne i pełne ognia, a Matt przekonał się, że nie jest w stanie odwrócić od nich wzroku. - Czy Elena jest bezpieczna? Dobrze. Więc zajmij się nią. Proszę.

- Stefano, ale o czym ty mówisz? Jesteś niewinny, to wszystko się uspokoi...

- Po prostu o nią dbaj, Matt.

Cofnął się, nadal patrząc w hipnotyzujące zielone oczy. A potem, powoli, pokiwał głową.

- Tak zrobię - powiedział cicho. I patrzył, jak Stefano odchodzi.

Rozdział trzynasty

Elena stała w kręgu dorosłych i policji, czekając, aż będzie mogła się stamtąd wyrwać. Wiedziała, że Matt ostrzegł Stefano na czas - wyczytała to z jego twarzy - ale nie mógł podejść na tyle blisko, żeby z nią porozmawiać.

Nareszcie, kiedy cała uwaga skupiła się na zabitym, udało jej się odłączyć od grupy i podejść do Matta.

- Stefano udało się uciec - powiedział, cały czas patrząc w stronę dorosłych. - Ale powiedział mi, że mam się tobą zająć. Chcę, żebyś tu została.

- Że masz się mną zająć? - Elenę przejęła trwoga, a po chwili zrodziło się w niej podejrzenie. Niemal szeptem, dodała: - Rozumiem. - Zastanawiała się przez moment i odezwała ostrożnie: - Matt, muszę iść umyć ręce. Bonnie złapała mnie, kiedy swoje miała we krwi. Zaraz wrócę.

Chciał zaprotestować, ale już się odwróciła. Kiedy otwierała drzwi szatni dla dziewczyn, uniosła w górę poplamione ręce gestem wyjaśnienia i nauczyciel, który przy nich teraz stał, pozwolił jej przejść. Ale kiedy już była w szatni, ruszyła prosto w stronę tylnych drzwi i weszła do pogrążonej w mroku szkoły. A stamtąd, na nocne powietrze.

Zucone! - klął w myślach Stefano, chwytając krawędź regału na książki i przewracając go z całą zawartością. Idiota! Ślepy, cholerny idiota. Jak mogłeś być taki głupi?

Znaleźć wśród nich swoje miejsce? Doczekać się akceptacji jako jeden z nich? Musiał oszaleć, skoro wyobrażał sobie, że to możliwe.

Złapał za jedną z wielkich ciężkich skrzyń i cisnął nią przez pokój, gdzie uderzyła z hukiem o ścianę i rozbiła okno. Dureń, dureń.

Kto go gonił? Wszyscy. Matt tak powiedział. „Doszło do kolejnego

ataku... Oni myślą, że ty to zrobiłeś".

No cóż, chociaż raz wydawało się, że *barbari*, te małosłowne ludzkie istoty ze swoim strachem przed wszystkim co nieznane, miały rację. Niby jak inaczej miał wyjaśnić to, co się stało? Poczł słabość, zawroty głowy, wszechogarniające oszołomienie, a potem pograżył się z mroku. Kiedy się ocknął, usłyszał od Matta, że kolejny człowiek został zaatakowany, napadnięty. Tym razem pozbawiony nie tylko krwi, ale i życia. Jak to wyjaśnić inaczej niż w ten sposób, że Stefano był zabójcą?

Był zabójcą. Złem. Stworzeniem zrodzonym w mroku, skazanym na to, żeby żyć z nim, polować i kryć się w nim na zawsze. A dlaczego nie zabijać? Dlaczego nie słuchać własnej natury? Skoro nie mógł jej zmienić, może równie dobrze się nią upoić. Rozpęta teraz mrok w tym mieście, które go znenawidziło, które nawet w tej chwili na niego polowało.

Ale najpierw... zaspokoi pragnienie. Żyły płonęły mu jak sieć suchych, gorących drutów. Potrzebował pożywienia. .. Niedługo... Zaraz...

W pensjonacie było ciemno. Elena zastukała do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Nad jej głową huknął piorun. Ale nadal nie padało.

Po trzecim, długim pukaniu, nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły. W środku było cicho i ciemno jak w grobie. Po omacku trafiła do schodów i ruszyła na górę.

Na podeście pierwszego piętra było tak samo ciemno. Potknęła się, szukając sypialni, z której można było wejść na drugie piętro. U szczytu schodów dostrzegła wątłe światło i wspięła się tam, mając uczucie, że ściany na nią napierają. Że zbliżają się do niej z obu stron.

Światło wydostawało się szparą spod zamkniętych drzwi. Elena lekko i szybko zastukała.

- Stefano - szepnęła, a potem zawołała głośnie: - Stefano, to ja!

Żadnej odpowiedzi. Złapała klamkę i pchnęła drzwi, zaglądając do pokoju.

- Stefano... Nikogo tu nie było.

Pokój pograżony był w nieładzie. Wyglądało to tak, jakby przez pokój przeszła wichura, wszędzie siejąc zniszczenie. Skrzynie, które stały w kątach, teraz leżały pod różnymi dziwnymi kątami, z pootwieranymi

wiekami, a ich zawartość wałała się po podłodze. Jedno okno było rozbite. Wszystkie rzeczy Stefano, wszystko, o co tak starannie dbał i co zdawał się cenić, leżało porozrzucone jak śmieci.

Elenę ogarnęło przerażenie. Furia, która przetoczyła się przez ten zdewastowany pokój boleśnie rzucała się w oczy i przyprawiała ją o zawrót głowy. „Ktoś, kto już zaatakował człowieka”, tak powiedział Tyler.

Nic mnie to nie obchodzi, pomyślała, a wzbierający gniew kazał jej odepchnąć od siebie strach. Nic mnie to nie obchodzi, Stefano. I tak chcę cię zobaczyć. Gdzie jesteś?

Kłapa w suficie była otwarta i z góry wpadało do pokoju chodne powietrze. Aha, pomyślała Elena i nagle znów ogarnął ją lęk. Dach był taki wysoki...

Nigdy jeszcze nie wspinała się po drabince na tarasik na dachu domu. Długa suknia jeszcze jej to utrudniała. Powoli przeszła przez otwór w dachu i uknęła tam, a później wstała. W rogu zobaczyła ciemną postać i szybko ruszyła w jej stronę.

- Stefano, musiałam przyjść - zaczęła i nagle urwała, bo niebo przeszła błyskawica dokładnie w tej chwili, w której ciemna postać się obróciła. I to było tak, jakby ziściły się wszystkie lęki, złe przeczucia i koszmarnie sny, jakie miała w życiu. Nie była nawet w stanie krzyknąć. To przekraczało ludzkie pojęcie.

O Boże... Nie. Jej umysł nie chciał zrozumieć tego, co widziała w oczach. Nie! Nie! Nie będzie na to patrzyła, nie uwierzy w to...

Ale nie mogła nie widzieć. Nawet gdyby zdołała zamknąć oczy, każdy szczegół tej sceny wyrył się już w jej pamięci. Zupełnie jakby raz na zawsze wypaliła ją w jej mózgu błyskawica.

Stefano. Taki elegancki i pełen gracji w swoim zwykłym ubraniu, w czarnej skórzanej kurtce z uniesionym kołnierzem. Stefano o włosach tak ciemnych jak jedna z burzowych chmur piętrzących się na niebie za jego głową. Stefano pochwycony w rozbłysku światła, na wpół odwrócony od niej, w pozycji zwierzęcia sprężonego do skoku, z wyrazem zwierzęcej furii na twarzy.

I krew. Aroganckie, wrażliwe, zmysłowe usta wysmarowane miał krwią. Koszmarna czerwień plamiła jego bladą skórę i ostrą biel

obnażonych zębów. W dłoni trzymał bezwładne ciało turkawki, białe jak jego zęby, o opadających skrzydłach. Kolejna turkawka leżała u jego stóp niczym zmięta i wyrzucona chusteczka.

- O Boże, nie - szepnęła Elena. Ciągłe to szeptała, cofając się, ledwie świadoma, że to w ogóle robi. Jej umysł zwyczajnie nie umiał objąć tej okropnej sceny. Myśli gnały bezładnie, w panice, niczym myszy usiłujące uciec z klatki. Nie chciała w to uwierzyć, nie mogła w to uwierzyć. Mięśnie jej tężały, serce waliło dziko, w głowie się zakreśliło.

- O Boże, nie...

- Eleno! - Jeszcze okropniejsze niż to wszystko było zobaczyć twarz Stefano, patrzącą na nią zza tej zwierzęcej maski, zobaczyć, jak grymas zamienia się w szok i rozpacz. - Eleno, proszę cię. Proszę, nie...

- O Boże, nie! - Krzyk prawie rozerwał jej gardło. Cofnęła się i potknęła, kiedy postąpił krok bliżej. - Nie!

- Eleno, proszę, uważaj... - Ten okropny stwór z twarzą Stefano szedł w jej stronę, a jego zielone oczy płonęły. Odskoczyła w tył, kiedy podszedł jeszcze o krok i wyciągnął rękę. Dłoń o wąskich czułych palcach, które tak łagodnie gładziły ją po włosach...

- Nie dotykaj mnie! - zawołała. A potem jeszcze raz krzyknęła, kiedy - cofając się - trafiła na barierkę tarasu. Żelazo miało ponad sto pięćdziesiąt lat i miejscami zupełnie przerdzewiało. Ciężar Eleny okazał się zbyt duży i dziewczyna poczuła, że barierka się łamie. Usłyszała odgłos pękającego metalu i drewna, przemieszany z własnym krzykiem. Pod nią nie było nic, nie miała się czego złapać. Spadała.

W tej samej chwili zobaczyła kipiące fioletowe chmury i zarys domu obok. Wydało jej się, że ma dość czasu, żeby zobaczyć je całkiem wyraźnie i żeby poczuć nieskończony strach. Krzyczała i spadała. Spadała...

Ale okropny moment zetknięcia z ziemią nie nastąpił. Nagle objęły ją jego ramiona i podtrzymały w nicości. A potem głuchy odgłos lądowania i ramiona zacisnęły się, kiedy jego ciało zaabsorbowało wstrząs. Wszystko znieruchomiało.

Stała bez ruchu w jego objęciach i usiłowała dojść do siebie. Próbowwała uwierzyć w kolejną niewiarygodną rzecz. Spadła z drugiego piętra, z dachu, a przecież nic jej się nie stało. Stała w ogrodzie za

pensjonatem, w kompletnej ciszy dzielącej kolejne pioruny, wśród opadłych na ziemię liści, gdzie teraz powinno leżeć jej ciało.

Powoli podniosła wzrok na twarz wybawiciela. Stefano.

Za wiele dziś wieczorem było strachu, za wiele ciosów. Nie wiedziała, jak zareagować. Mogła tylko patrzeć na niego w jakimś zadziwieniu.

W jego oczach zobaczyła sporo smutku. Te oczy, które wcześniej płonęły zielonym lodem, teraz były mroczne i puste, pozbawione nadziei. To samo spojrzenie widziała tamtego pierwszego wieczoru w jego pokoju, ale teraz było jeszcze gorzej. Była w nim nienawiść do samego siebie, przemieszana z żalem i rezygnacją. Nie mogła tego znieść.

- Stefano - szepnęła, czując jak ten sam smutek ogarnia jej własną duszę. Widziała na jego wargach ślad czerwieni, ale teraz budził w niej odruch współczucia obok instynktownego lęku. Taka samotność. Taka obcość i taka samotność...

- Och, Stefano - szepnęła.

W pozbawionych wyrazu, zagubionych oczach nie dostrzegła odpowiedzi.

- Chodź - powiedział cicho i zaprowadził ją z powrotem do domu.

Stefano czuł wstyd, kiedy doszli na drugie piętro, do pobjowiska, które stanowiło teraz jego pokój. Nie mógł znieść, że akurat Elena musiała zobaczyć to wszystko. Ale z drugiej strony może to i dobrze, że wreszcie odkryła, kim naprawdę jest i do czego jest zdolny.

Powoli, jak ogłuszona, podeszła do łóżka i usiadła. A potem popatrzyła na niego pociemniałymi oczami.

- Powiedz mi - poprosiła.

Zaśmiał się krótko, bez śladu radości i zobaczył, że zadrzała. Widząc to, jeszcze bardziej się znienawidził.

- A co chcesz wiedzieć? - zapytał. Oparł stopę na wieku przewróconego kufra i spojrzał na nią niemal wyzywająco, gestem wskazując resztę pokoju. - Kto to zrobił? Ja.

- Jesteś silny - powiedziała, nie odrywając spojrzenia od przewróconego kufra. Uniosła oczy, jakby przypomniawszy sobie, co zaszło na dachu. - I szybki.

- Silniejszy niż ludzie - powiedział, specjalnie podkreślając ostatnie słowo. Dlaczego teraz nie cofała się przed nim, dlaczego nie patrzyła na niego z obrzydzeniem, jakie zobaczył wcześniej? Już go nie obchodziło, co sobie o nim myśli. - Mam szybszy refleks i jestem wytrzymalszy. Muszę taki być. Przecież poluję - powiedział szorstko.

Coś w jej spojrzeniu kazało mu pomyśleć o chwili, w której go zastała. Otarł usta grzbietem dłoni, a potem sięgnął po szklankę wody, która stała na szafce przy łóżku. Czuł jej spojrzenie na sobie, kiedy pił wodę, a potem znów otarł usta. Och... Niestety, nadal nie było mu obojętne, co sobie o nim pomyśli.

- Więc możesz jeść i pić... inne rzeczy - odezwała się.

- Nie muszę - powiedział cicho, czując, jak dopada go zmęczenie i przygnębienie. - Nie potrzebuję niczego innego. - Odwrócił się nagłym gestem, czując, że znów rośnie w nim jakaś gwałtowna pasja. - Powiedziałaś, że jestem szybki, ale to nie jest cała prawda. Słyszałaś kiedyś takie powiedzenie, Eleno? „Szybcy i martwi”? Szybkość dotyczy życia, oznacza żyjących. Ja należę do tej drugiej połowy.

Widział, że dziewczyna drży. Ale głos miała spokojny i nie odrywała od niego oczu.

- Opowiedz mi - powtórzyła. - Stefano, mam prawo wiedzieć.

Pamiętał te słowa. I były tak samo prawdziwe jak wtedy, kiedy wypowiedziała je po raz pierwszy.

- Tak, chyba je masz - odparł, a jego głos był znużony i twardy. Przez kilka uderzeń serca wpatrywał się w stłuczone okno, a potem znów spojrzął na nią i powiedział bezbarwnym tonem: - Urodziłem się pod koniec XV wieku. Wierzysz mi?

Popatrzyła na przedmioty leżące tam, gdzie pozrzucał je z komody jednym wściekłym ruchem ręki. Floreny, srebrny kubek, jego sztylet.

- Tak - powiedziała miękko. - Wierzę ci.

- Chcesz wiedzieć więcej? Jak stałem się tym, czym jestem? - Kiedy pokiwała głową, znów odwrócił się do okna. Jak miał jej to powiedzieć? On, który od tak dawna unikał wszelkich pytań. Stał się takim ekspertem od ukrywania i kłamstw.

Pozostawał jeden jedyny sposób, a mianowicie powiedzieć jej całą prawdę, nie ukrywając niczego. Otworzyć się przed nią, jak nie otworzył

się nigdy przed nikim.

Chciał tego. Chociaż wiedział, że kiedy skończy, Elena się od niego odwróci. Ale musiał pokazać jej, kim jest.

I tak, wpatrując się w mrok za oknem, gdzie niebieska jasność przecinała chwilami niebo, zaczął opowiadać.

Mówił beznamiętnym tonem, pozbawionym emocji, ostrożnie dobierając słowa. Opowiedział jej o ojcu, prawdziwym człowieku renesansu, i o życiu we Florencji, i o rodzinnym wiejskim majątku. Opowiedział jej o studiach i ambicjach. O bracie, który był od niego tak różny i o wszystkich nieporozumieniach między nimi.

- Nie wiem, kiedy Damon zaczął mnie nienawidzić - powiedział. - Zawsze tak było, odkąd pamiętam. Może dlatego, że po moich narodzinach matka już nigdy tak naprawdę nie wróciła do zdrowia. Umarła kilka lat później. Damon bardzo ją kochał i wydaje mi się, że zawsze mnie winił za jej śmierć. - Przerwał i przełknął ślinę. - A później pojawiła się dziewczyna.

- Ta, którą ci przypominam? - spytała miękko. Kiwnął głową. - Ta, która dała ci pierścień? - spytała znów, z nieco większym wahaniem.

Spojrzał na srebrny pierścień na swoim palcu, a potem popatrzył jej w oczy. Później, powoli, wyjął pierścionek, który nosił zawieszony na łańcuszku pod koszulą i spojrzał na niego.

- Tak. A to był jej pierścionek - powiedział. - Bez takiego talizmanu umieramy na słońcu, jakbyśmy płonęli na stosie.

- A więc ona była... taka jak ty?

- To ona mnie zrobiła tym, czym jestem. - Z wahaniem opowiedział jej o Katherine. O jej urodzie i słodyczy. I o swojej miłości do niej. A także o miłości Damona. - Była zbyt łagodna, zbyt uczuciowa - powiedział na koniec z bólem. - Wszystkich obdarzała uczuciem, nawet mojego brata. Ale wreszcie powiedzieliśmy jej, że musi między nami wybrać. A potem... przyszła do mnie.

Wspomnienie tamtej nocy, tamtej słodkiej, strasznej nocy wróciło wartką falą. Przyszła do niego. Był taki szczęśliwy, pełen zdumienia i radości. Próbował opowiedzieć o tym Elenie, znaleźć na to słowa. Przez całą noc był taki szczęśliwy. I nawet tego następnego ranka, kiedy się obudził, a jej już nie było, nawet wtedy czuł się niczym król.

Mógłby to uznać za sen, gdyby nie to, że dwie małe ranki na jego szyi były całkiem realne. Ze zdziwieniem przekonał się, że nie bolą i że już się częściowo zdążyły zagoić. Ukrył je pod wysokim kołnierzem koszuli.

Teraz jej krew płynie w moich żyłach, pomyślał i jego serce szybciej zabiło. Przekazała mu swoją siłę. Wybrała go.

Zdołał nawet znaleźć uśmiech dla Damona, kiedy tego wieczoru spotkali się w umówionym miejscu. Damona przez cały dzień nie było w domu, ale pojawił się w starannie utrzymanym ogrodzie w samą porę. Stał, opierając się o drzewo, poprawiając mankiet koszuli. Katherine się spóźniała.

- Może jest zmęczona - podsunął Stefano, obserwując, jak niebo w kolorze melona blednie i pokrywa się nocnym granatem. Próbował nie okazywać swojej dumy. - Może potrzebuje więcej wypoczynku niż zwykle.

Damon spojrzał na niego ostro, jego oczy świdrowały go spod szopy czarnych włosów.

- Być może - powtórzył ze wznoszącą się intonacją, jakby chciał dodać coś więcej.

Ale wtedy usłyszeli lekkie kroki na ścieżce i Katherine pojawiła się między bukszpanami. Miała na sobie białą suknię. Była piękna jak anioł.

Obdarzyła uśmiechem obydwu. Stefano grzecznie oddał uśmiech, ich sekret podkreślając tylko gorącym spojrzeniem. Czekał.

- Prosiłście, żebym dokonała wyboru - powiedziała, spoglądając najpierw na niego, a potem na jego brata. - Przyszliście o godzinie, którą wyznaczyłam, a ja wam wyjawię, co ustaliłam.

Uniosła drobną dłoń. Tę, na której nosiła pierścionek. Patrząc na kamień, Stefano zauważył, że ma ten sam odcień intensywnego błękitu, co wieczorne niebo. Zupełnie tak, jakby Katherine zawsze nosiła ze sobą fragment nocy.

- Obaj widzieliście ten pierścionek - ciągnęła cicho. - I wiecie, że bez niego bym umarła. Niełatwo zdobyć taki talizman, ale na szczęście moja służąca, Gudren, jest bystra. A we Florencji jest wielu złotników.

Stefano słuchał, nic nie rozumiejąc, ale kiedy spojrzała na niego, uśmiechnął się do niej ponownie, zachęcająco.

- A więc - powiedziała, patrząc mu w oczy - kazałam zrobić dla

ciebie prezent. - Ujęła jego dłoń i coś na niej położyła.

Spojrzał i zobaczył, że to pierścień podobny do jej własnego, ale większy, masywniejszy i wykonany ze srebra, nie złota.

- Jeszcze go nie potrzebujesz, wychodząc na słońce - powiedziała miękko, z uśmiechem. - Ale będzie ci niezbędny.

Duma i zachwyt odebrały mu mowę. Sięgnął po jej dłoń, chcąc ją ucałować, chcąc natychmiast porwać Katherine w ramiona, choćby i przy Damonie. Ale ona już odwracała się od niego.

- A dla ciebie - powiedziała i Stefano wydało się, że słuch go mami, bo z pewnością to ciepło, ta sympatia w głosie Katherine nie mogły być przeznaczone dla jego brata.

- Dla ciebie również. Ty też już niedługo będziesz go potrzebował.

Oczy też musiały oszukiwać Stefano. Pokazywały mu obraz niemożliwy, niewiarygodny. Na dłoni Damona Katherine kładła pierścień dokładnie taki sam, jak jego własny.

Milczenie, które potem zapadło, było wszechogarniające. Jak cisza, która nastąpi po końcu świata.

- Katherine... - Stefano ledwie zdołał wydusić z siebie to słowo. - Jak możesz mu to dawać? Po tym, co nas połączyło...

- Co was połączyło? - Głos Damona zabrzmiał jak chłasknięcie bata i brat obrócił się z gniewem w stronę Stefano.

- Przecież to do mnie przyszła wczoraj w nocy. Wybór już podjęty! - I Damon szarpnięciem rozchylił wysoki kołnierz koszuli, ukazując maleńkie ranki na szyi. Stefano wbił w nie wzrok, walcząc z ogarniającymi go mdłościami. Te ranki były dokładnie takie same, jak jego własne.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Ależ Katherine... To przecież nie był sen. Przyszłaś do mnie...

- Przyszłam do was obu. - W głosie Katherine brzmiał spokój, wręcz radość, a spojrzenie też miała łagodne.

Uśmiechnęła się najpierw do Damona, a potem do Stefano. - Osłabiło mnie to, ale bardzo się cieszę z tego, co zrobiłam. Nie rozumiecie? - ciągnęła, kiedy patrzyli na nią, zbyt osłupiali, żeby się odezwać. - To jest mój wybór! Kocham was obu i z żadnego nie umiem zrezygnować. Teraz będziemy we troje, szczęśliwi.

- Szczęśliwi... - wykrztusił Stefano.

- Tak, szczęśliwi! Już na zawsze zostaniemy towarzyszami. - Jej głos unosił się w euforii, a w oczach jaśniała radość dziecka. - Będziemy razem, nigdy nie chorując, nigdy się nie starzejąc, aż do końca świata! Tak wybrałam.

- Szczęście... razem z nim? - Głos Damona trząśnięty od furii i Stefano zobaczył, że zwykle opanowany brat pobiełał ze złości. - Przy tym chłoptasiu, który stoi między nami? Przy tym rozgadany, pyskатым uosobieniu wszelkich cnót? Już w tej chwili ledwie mogę znieść jego widok. Na Boga, wolałbym nigdy więcej nie musieć go oglądać, nigdy nie słyszeć jego głosu!

- A ja czuję do ciebie to samo, bracie - warknął Stefano. Serce zabiło mu szybciej. To wina Damona, to Damon zatruł umysł Katherine do tego stopnia, że nie wiedziała, co robi. - I mam coraz większą ochotę zapewnić, że tak się stanie - dodał gwałtownie.

Damon bezbłędnie odczytał jego słowa.

- Przynieś szpadę, jeśli zdołasz ją gdzieś znaleźć - syknął z oczami poczerwiałymi groźbą.

- Damonie, Stefano, proszę! Proszę, nie! - zawołała Katherine, stając między nimi i chwytając Stefano za ramię. Patrzyła to na jednego, to na drugiego, a jej błękitne oczy rozszerzyły się z lęku i pojaśniały od łez. - Zastanówcie się, co mówicie. Jesteście braćmi.

- To nie moja wina - sarknął Damon tonem, który zrobił z jego słów obelgę.

- Ale czy nie możecie się pogodzić? Dla mnie? Damonie... Stefano? Proszę...

Stefano jakąś częścią duszy pragnął ulec rozpaczliwemu spojrzeniu Katherine, ustąpić przed jej łzami. Ale zraniona duma i zazdrość były zbyt silne i wiedział, że twarz ma równie twardą i nieustępliwą jak brat.

- Nie - powiedział. - To niemożliwe. Albo jeden, albo drugi, Katherine. Nigdy się tobą z nim nie podzielę.

Dłoń Katherine opadła, a z jej oczu popłynęły łzy. Wielkie krople spadały na białą suknię. Oddech załamał jej się w konwulsyjnym szlochu. A potem, wciąż płacząc, uniosła spódnicę sukni i uciekła.

- Wtedy Damon wziął pierścionek, który mu dała i go założył -

opowiadał Stefano głosem ochryłym ze zmęczenia i od emocji. - A do mnie powiedział: „Jeszcze będzie moja, bracie”. I odszedł. - Stefano odwrócił się, mrugając powiekami, jakby wychodził na światło słońca z ciemności, i spojrzał na Elenę.

Siedziała zupełnie nieruchomo na łóżku i patrzyła na niego tymi oczami tak podobnymi do oczu Katherine. Zwłaszcza teraz, kiedy przepelniał je smutek i lęk. Ale Elena nie uciekła. Odezwała się do niego:

- A... co się stało potem?

Stefano odruchowo, gwałtownie, zacisnął dłonie w pięści i odwrócił się do okna. Tylko nie to wspomnienie. Tego wspomnienia nie potrafił znieść, a co dopiero o nim opowiadać. Jak mógłby to zrobić? Jak miałby pociągnąć Elenę za sobą w ten mrok i pokazać jej straszne rzeczy, jakie się w nim czaiły?

- Nie - powiedział. - Nie mogę. Nie mogę.

- Musisz mi powiedzieć - odezwała się cicho. - Stefano, to już koniec tej historii, prawda? To właśnie to kryje się za wszystkimi twoimi murami, to właśnie boisz się mi pokazać. Ale musisz mi na to pozwolić. Och, Stefano, teraz nie możesz się zatrzymać.

Czuł zbliżającą się do niego potworność. Ziejącą jamę, którą zobaczył wtedy tak wyraźnie, widział ją teraz przed sobą zupełnie tak samo, jak tamtego odległego dnia. Tego dnia, kiedy wszystko się skończyło. I wszystko się zaczęło.

Poczuł, że ktoś go chwyta za rękę i zobaczył, że zacisnęły się na niej palce Eleny, obdarzając go ciepłem, dając mu siłę.

- Powiedz mi.

- Chcesz wiedzieć, co stało się później, co spotkało Katherine? - szepnęła. Pokiwała głową. Oczy miała prawie oślepięte łzami, ale spojrzenie nadal spokojne. - No to ci opowiem. Następnego dnia umarła. Mój brat, Damon, i ja, my obaj, zabiliśmy ją.

Rozdział czternasty

Elena poczuła po tych słowach, że przeszywają dreszcz.

- Nie mówisz poważnie - odezwała się niepewnym głosem.

Pamiętała, co zobaczyła na dachu, pamiętała krew plamiącą wargi Stefano i siłą opanowała odruch, który kazał jej się od niego odsunąć. - Stefano, ja cię znam. Nie mógłbyś tego zrobić...

Zignorował jej protesty, po prostu nadal patrzył tymi oczami, które płonęły jak zielony lód na dnie lodowca. Patrzył gdzieś poza nią, w jakąś niezmierną przestrzeń.

- Tej nocy leżałem w łóżku i wbrew wszystkiemu miałem nadzieję, że do mnie przyjdzie. Już zaczynałem zauważać u siebie pewne zmiany. Lepiej widziałem po ciemku i zdawało mi się, że lepiej słyszę. Czuję się silniejszy niż kiedykolwiek, pełen jakiejś żywiołowej energii. I byłem głodny. Takiego głodu nawet sobie nie wyobrażałem. W porze obiadu przekonałem się, że zwyczajne jedzenie i picie w żaden sposób go nie zaspokajają. Nie umiałem tego pojąć. A potem spojrzałem na białą szyję jednej ze służących i zrozumiałem dlaczego. - Wziął głęboki oddech, jego oczy pociemniały od udręki. - Tej nocy oparłem się potrzebie, chociaż musiałem użyć całej woli. Myślałem o Katherine i modliłem się, żeby do mnie przyszła. Modliłem się? - Zaśmiał się krótko. - O ile taka istota jak ja może się modlić.

Elenie zdrętwiały palce w jego uścisku, ale próbowała mocniej chwycić jego dłoń, żeby dać mu trochę wsparcia.

- Mów dalej, Stefano.

Teraz już mówił niepowstrzymanie. Prawie jakby zapomniał o jej obecności, jakby opowiadał tę historię samemu sobie.

- Następnego dnia rano potrzeba była silniejsza. Zupełnie jakby moje żyły wysychały i pękały, rozpaczliwie potrzebując płynu. Wiedziałem,

że długo tego nie zniosę. Poszedłem do komnat Katherine. Chciałem z nią porozmawiać, błagać ją... - głos mu się załamał. - Ale Damon już tam był, czekał pod jej pokojami. Widziałem, że nie oparł się pokusie. Blask jego skóry, sprężysty krok, to mówiło wszystko. Minę miał tak zadowoloną jak kot, który napił się śmietanki.

Ale Katherine nie dostał.

- Stukaj, ile chcesz - powiedział do mnie - ale ta smoczyca, która jest w środku, nie wpuści cię. Już próbowałem. Może pokonamy ją siłą, ty i ja?

Nie chciałem mu odpowiedzieć. Ta jego mina, zrozumiwała, zadowolona z siebie, odstręczała mnie. Zacząłem walić w drzwi, jakbym... - umilkł, a potem znów się roześmiał smutno. - Miałem zamiar powiedzieć: „Jakbym chciał obudzić umarłego”. Ale umarli wcale tak mocno nie śpią, jak się okazuje.

Po chwili znów podjął opowiadanie.

- Służąca, Gudren, otworzyła drzwi. Twarz miała jak duży płaski talerz, a oczy jak czarne szkiełka. Zapytałem, czy mogę się widzieć z jej panią. Spodziewałem się, że mi odpowie, że Katherine śpi, ale Gudren tylko popatrzyła na mnie, a potem na stojącego za moimi plecami Damona. - Jemu nie chciałam powiedzieć - odezwała się - ale tobie powiem. Moja pani Katherine wyszła. Wyszła dziś wcześniej rano na spacer po ogrodzie. Powiedziała, że ma dużo do przemyślenia.

Zdziwiłem się.

- Wcześniej rano? - spytałem.

- Tak - odparła. Popatrzyła na nas obu z Damonem bez sympatii. - Moja pani była wczoraj wieczorem bardzo nieszczęśliwa - powiedziała znacząco. - Przez całą noc płakała.

A kiedy to powiedziała, ogarnęło mnie dziwne uczucie. To nie był wstyd i żal, że Katherine poczuła się taka nieszczęśliwa. To był strach. Zapomniałem o głodzie i słabości. Zapomniałem nawet o nienawiści do Damona. Ogarnął mnie wielki niepokój. Obróciłem się do Damona i powiedziałem, że musimy znaleźć Katherine. Ku mojemu zdziwieniu skinął głową.

Zaczęliśmy przeszukiwać ogrody, nawołując Katherine po imieniu. Pamiętam dokładnie, jak wszystko wyglądało tego dnia. Słońce świeciło

wśród cyprysów i sosen. Mijaliśmy drzewa, coraz głośniejsz nawołując... Cały czas ją wołaliśmy...

Elena poczuła, że Stefano przeszywa dreszcz. Miał mocno zaciśnięte palce. Oddychał szybko i płytko.

- Dotarliśmy już prawie do końca ogrodów, kiedy przypomniałem sobie o ulubionym miejscu Katherine. Był to zakątek w głębi ogrodów, przy niskim murku pod drzewem cytrynowym. Pobiegnę tam i zacząłem ją wołać. Ale, podchodząc bliżej, przestałem. Poczulem... strach. Jakies okropne przeczucie. I wiedzialem, że nie powinienem... Że nie wolno mi tam isć...

- Stefano! - odezwala się Elena. Palce ją bolały, zgniecione uściskiem jego ręki. Drzenie, które parę razy przebiegło jego ciało, zamieniło się w atak dreszczy. - Stefano, proszę!

Nie dał żadnego znaku, że ją w ogóle słyszy.

- To było zupełnie jak... senny koszmar... Wszystko dzialo się tak powoli. Nie mogłem się ruszyć, a przecież musiałem. Musiałem isć dalej. Z każdym krokiem ten strach rósł. I poczułem zapach. Zapach, który przypominał spalony tłuszcz... Nie mogę tam isć... Nie chcę tego widzieć...

Jego głos stał się wyższy i bardziej natarczywy. Chwytał z trudem oddech. Oczy miał szeroko otwarte, źrenice rozszerzone, zupełnie jak przerażone dziecko. Elena złapała jego szczupłe palce drugą ręką, chowając jego dłoń w swoich rękach.

- Stefano, wszystko w porządku. Nie jesteś tam. Jesteś tu, ze mną.

- Nie chcę tego widzieć, ale nic na to nie mogę poradzić. Tam jest coś białego. Coś się bieli pod drzewem. Nie każ mi na to patrzeć!

- Stefano! Stefano, popatrz na mnie!

Ale nie słyszał jej. Słowa wymykały mu się spazmatycznie, jakby nie mógł ich kontrolować, jakby się śpieszył, żeby zdążyć je wszystkie wypowiedzieć.

- Nie mogę podejść bliżej. Ale podchodzę. I widzę to drzewo, murek. I tę biel. Za drzewem. Biel, a pod spodem złoto. I wtedy wiem, wiem. Idę tam, bo to jej suknia. Biała suknia Katherine. I obchodzę to drzewo, widzę ją na ziemi. To prawda. To jest suknia Katherine... - Głos mu się wzniosł i załamał w niewymownym przerażeniu. - Ale Katherine

w niej nie ma.

Elena poczuła dreszcz, jakby jej ciało zanurzyło się w zimnej wodzie. Cała się pokryła gęsią skórką i próbowała coś do niego powiedzieć, ale nie mogła. A on mówił tak, jakby mógł powstrzymać własne przerażenie, tylko nie przerywając mówienia.

- Katherine tam nie ma, więc to może wszystko jakiś żart. Ale jej suknia leży na ziemi i jest pełna popiołów. Zupełnie takich popiołów jak z paleniska, tylko że te popioły śmierdzą spalonym ciałem. One cuchną. Robi mi się słabo od tego odoru. Obok rękawa sukni leży kawałek pergaminu. A na kamieniu. .. Na kamieniu tuż obok jest pierścionek. Pierścionek z niebieskim oczkiem. Pierścionek Katherine... - Nagle zawołał okropnym głosem: - Katherine, coś ty zrobiła?

A potem osunął się na kolana, wreszcie puszcżając rękę Eleny, żeby schować twarz we własnych dłoniach.

Elena objęła go, kiedy wstrząsał nim szloch. Trzymała go za ramiona, przyciągając jego głowę do swoich kolan.

- Katherine zdjęła pierścionek - szepnęła. To nie było pytanie. - Wystawiła się na słońce.

Szloch ciągle nim szarpał, a ona przytulała go do fałd swojej sukni, głaszcząc po trzęsących się ramionach. Mruczała jakieś bezsensowne słowa pocieszenia, odpychając od siebie własne przerażenie. Aż wreszcie ucichł i podniósł głowę. Głos miał nadal zmieniony, ale już wrócił do rzeczywistości.

- Ten pergamin to była wiadomość, dla mnie i dla Damona. Napisała, że była samolubna, chcąc nas obu mieć dla siebie. Pisała, że nie może znieść tego, że stała się przyczyną konfliktu między nami. Wyrażała nadzieję, że kiedy odejdzie, przestaniemy się nienawidzić. Zrobiła to, żeby nas do siebie zbliżyć.

- Och, Stefano - szepnęła Elena. Czowała, że w oczach zaczynają ją palić gorące łzy współczucia. - Stefano, tak mi przykro. Ale czy nie rozumiesz, nawet po tych wszystkich latach, że Katherine postąpiła źle? To było samolubne. I to był jej wybór. W pewien sposób, to nie miało nic wspólnego z tobą ani z Damonem.

Stefano pokręcił głową, jakby nie chciał do siebie dopuścić prawdy tych słów.

- Oddała swoje życie... za to. Zabiliśmy ją. - Usiadł teraz, ale źrenice nadal miał rozszerzone niczym dwa wielkie czarne dyski. To było spojrzenie małego, zagubionego chłopca. - Damon stanął za moimi plecami. Wziął tę wiadomość, przeczytał. A potem chyba oszalał. Obaj oszaleliśmy. Podniosłem z ziemi pierścionek Katherine, a on próbował mi go odebrać. Nie powinien był. Biliśmy się. Mówiliśmy sobie straszne rzeczy. Obwinialiśmy się nawzajem za to, co się stało. Nie pamiętam, jak wróciliśmy pod dom, ale nagle miałem w ręku szpadę. Walczyliśmy. Chciałem na zawsze zniszczyć tę jego arogancką twarz, chciałem go zabić. Pamiętam, jak ojciec wołał do nas z domu. Zaczęliśmy walczyć jeszcze zacieklej, żeby skończyć, zanim do nas dobiegnie. Byliśmy dobrze dobranymi przeciwnikami. Ale Damon zawsze był silniejszy, a tego dnia wydawał się szybszy, zupełnie, jakby zmieniał się prędzej niż ja. Nagle poczułem, że szpada Damona mija moją gardę. A potem przeszła mi serce.

Elena patrzyła na niego, osłupiała. Ale Stefano mówił dalej.

- Poczułem ból. Poczułem stal, która wbijała mi się do środka. Głęboko i mocno. I wtedy opuściła mnie siła, upadłem. Leżałem na bruku dziedzińca.

Podniósł oczy na Elenę i dokończył z prostotą:

- Wtedy... umarłem.

Elena siedziała jak zmrożona, jakby ten lód, który przez cały wieczór czuła w sercu, wylał się poza nie i uwięził ją całą.

- Damon podszedł, przystanął nade mną i się pochylił. Z oddali słyszałem krzyki ojca i służby, ale widziałem już tylko twarz Damona. Te oczy czarne jak bezksiężycowa noc. Chciałem go zranić za to, co mi zrobił. Za wszystko, co zrobił mnie i Katherine. - Stefano umilkł na moment, a potem powiedział zmienionym głosem: - Więc uniosłem szpadę i zabiłem go. Ostatkiem sił przeszylem serce mojego brata.

Burza przeszła i zza rozbitego okna Elena słyszała słabe nocne odgłosy, cykanie świerszczy, wiatr owiewający drzewa. W pokoju Stefano zrobiło się bardzo cicho.

- Nie wiem, co się potem działo. Obudziłem się w grobowcu - powiedział Stefano. Odsunął się od niej, oparł o łóżko i zamknął oczy. Twarz miał ściągniętą zmęczeniem, ale znikł z niej już ten okropny

wygląd śniącego dziecka. - I Damonowi, i mnie wystarczyło krwi Katherine na tyle, żeby nie zginąć. Zamiast tego przemieniliśmy się. Obudziliśmy się razem w grobowcu, ubrani w najlepsze stroje, położeni na kamiennych płytach obok siebie. Byliśmy za słabi, żeby jeszcze zrobić sobie nawzajem jakąś krzywdę, tej krwi ledwie starczyło. I byliśmy zdezorientowani. Wolałem do Damona, ale on wybiegł w noc. Na szczęście pochowali nas z pierścieniami, które dostaliśmy od Katherine. A ja w kieszeni znalazłem jej pierścionek. - Jakby bezwiednie, Stefano wyciągnął dłoń i pogładził złote kółeczko. - Pewnie myśleli, że dała go mnie. Próbowałem wrócić do domu. Głupio zrobiłem. Służba zaczynała krzyczeć na mój widok i rozbiegać się w poszukiwaniu księdza. Więc też uciekłem. W jedyne miejsce, gdzie byłem bezpieczny. W mrok.

I tam już zostałem. Tam jest moje miejsce, Eleno. Zabiłem Katherine swoją dumą i zazdrością. Zabiłem Damona swoją nienawiścią. I nie tylko zamordowałem swojego brata. Skazałem na potępienie.

Gdyby nie umarł wtedy, kiedy krew Katherine była w nim taka silna, jeszcze miałby szansę. Z czasem ta krew by osłabła i wreszcie znikła. Znow stałby się normalnym człowiekiem. Ale zabijając go, skazałem go na życie w nocnym mroku. Odebrałem mu jedyną szansę na zbawienie. - Stefano zaśmiał się gorzko. - Wiesz, co nazwisko Salvatore znaczy po włosku, Eleno? Oznacza zbawienie, zbawcę. Takie noszę nazwisko, a imię mi dali po świętym Szczepanie, pierwszym chrześcijańskim męczenniku. A ja skazałem własnego brata na piekło.

- Nie - powiedziała Elena. I potem, silniejszym głosem, dopowiedziała: - Nie, Stefano. On sam skazał się na potępienie. Zabił cię. Co się z nim stało później?

- Na jakiś czas dołączył do kondotierów, bezlitosnych najemników, którzy trudnili się rabunkiem i grabieżą. Wędrował z nimi po kraju, walczył i pił krew swoich ofiar.

Mieszkałem już wtedy poza murami miasta, na wpół zagłodzony, żywiąc się zwierzętami, sam zezwierzęcony. Przez długi czas nie miałem wieści o Damonie. Potem, pewnego dnia, usłyszałem w myślach jego głos.

Był silniejszy niż ja, bo pił ludzką krew. I zabijał. Ludzie mają

najsilniejszą energię życiową i ich krew daje moc. A kiedy się ich zabija, w jakiś sposób ta esencja życia staje się najsilniejsza. Zupełnie jakby w ostatnich chwilach walki i przerażenia dusza stawała się naprawdę pełna życia. Ponieważ Damon zabijał, udało mu się zgromadzić więcej mocy niż mnie.

- Jakiej... mocy? - spytała Elena. W jej głowie zaczynała się rysować pewna myśl.

- Siły, jak sama powiedziałaś, i szybkości. Wyostrzenia wszystkich zmysłów, zwłaszcza nocą. To podstawa. Potrafimy poza tym... wyczuwać umysły. Czujemy ich obecność, a czasami rodzaj myśli. Słabsze umysły możemy wprowadzać w zamęt, żeby je zastraszyć albo nagiąć do naszej woli. Są jeszcze inne moce. Pijąc dość ludzkiej krwi, potrafimy zmieniać postać, przekształcać się w zwierzęta. A im częściej zabijasz, tym moc jest silniejsza.

Głos Damona w moich myślach był bardzo silny. Oświadczył, że teraz jest condottieri własnej kompanii i że wraca do Florencji. Powiedział, że jeśli tam będę, kiedy przyjedzie, zabije mnie. Uwierzyłem i się wyniosłem. Od tego czasu widziałem go raz czy dwa. Groźba jest zawsze taka sama i za każdym razem jest w niej więcej mocy. Damon i maksymalnie wykorzystał swoją naturę i zdaje się czerpać radość z tej ciemnej strony.

Ale to też i moja natura. Taki sam mrok jest we mnie. Myślałem, że uda mi się to pokonać, ale się myliłem. Dlatego właśnie przyjechałem tu, do Fell's Church. Myślałem, że jeśli osiadę w jakimś małym miasteczku, z dala od dawnych wspomnień, to uda mi się uciec przed mrokiem. A zamiast tego, dziś wieczorem zabiłem człowieka.

- Nie - powiedziała Elena z mocą. - Nie wierzę w to, Stefano. - Jego opowieść wstrząsnęła nią i napełniła ją litością... Ale także lękiem. Przyznawała to przed sobą. Ale niesmak zniknął i jednej rzeczy była pewna. Stefano nie był mordercą. - Co stało się dzisiaj, Stefano? Pokłóciłeś się z Tannerem?

- Ja... nie pamiętam - powiedział ponuro. - Użyłem mocy, aby go przekonać, żeby zrobił to, czego chciałaś. A potem wyszedłem. Ale później zakręciło mi się w głowie i opanowała mnie słabość. Tak jak przedtem. ~ Spojrzał jej prosto w oczy. - Ostatni raz to się stało na

cmentarzu tej nocy, kiedy zaatakowano Vickie Bennett.

- Ale ty tego nie zrobiłeś. Nie mógłbyś tego zrobić... Stefano?

- Sam nie wiem - powiedział szorstko. - Czy jest jakieś inne wyjaśnienie? A z tego starego włóczęgi piłem krew tej nocy, kiedy uciekałaś z dziewczynami z cmentarza. Mógłbym przysiąc, że nie wypięm tyle, żeby mu zrobić krzywdę, ale o mały włos nie umarł. I byłem w pobliżu, kiedy doszło do ataków na Vickie i Tannera.

- Ale nie pamiętasz, żebyś ich atakował - powiedziała Elena z ulgą. Myśl, która zakiełkowała jej w głowie, już się zamieniała w pewność.

- A co to za różnica? Kto inny mógł to zrobić, skoro nie ja?

- Damon - powiedziała Elena.

Skrzywił się i poczuła, że ramiona znów mu sztywnieją.

- To kusząca myśl. Za pierwszym razem miałem nadzieję, że można to tak wyjaśnić. Ze to ktoś inny, ktoś taki jak mój brat. Ale szukałem umysłem i nic nie znalazłem, żadnej innej obecności. Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że to ja morduję.

- Nie - powiedziała Elena. - Nie rozumiesz. Ja nie mówiłam, że ktoś taki jak Damon mógł zrobić te rzeczy, które tu się stały. Chodziło mi o to, że Damon tu jest, w Fell's Church. Widziałam go.

Stefano patrzył na nią i milczał,

- To musiał być on - powiedziała Elena, biorąc głęboki oddech. - Widziałam go już dwa razy, może trzy. Stefano, opowiedziałeś mi długą historię, a teraz wysłuchaj mojej.

Szybko i w jak najprostszycich słowach wyjaśniła mu, co zaszło w sali gimnastycznej i w domu Bonnie. Zacisnął usta w wąską białą linijkę, kiedy opowiedziała, jak Damon próbował ją pocałować. Policzki jej się zarumieniły, kiedy przypomniała sobie własną reakcję. Prawie mu się poddała.

Opowiedziała też o wronie i o tych wszystkich innych dziwnych rzeczach, które wydarzyły się, odkąd wróciła do domu z Francji.

- Wydaje mi się, że Damon był dzisiaj wieczorem na imprezie halloweenowej - zakończyła. - Tuż po tym, jak zrobiło ci się słabo, ktoś mnie minął w wejściu. Był przebrany za... za śmierć, w czarną szatę z kapturem. Nie widziałam jego twarzy. Ale coś w jego ruchach wydawało mi się znajome. To był on, Stefano. Damon tam był.

- Ale to nadal nie wyjaśnia pozostałych przypadków. Vickie i tamtego włóczęgi. - Twarz Stefano była napięta, jakby bał się robić sobie nadzieję.

- Sam powiedziałaś, że nie wypiełeś dość, żeby go skrzywdzić. Kto wie, co spotkało tamtego starca, kiedy sobie poszedłeś? Czy to nie byłaby dla Damona najłatwiejsza rzecz pod słońcem, zaatakować go potem? Zwłaszcza jeśli śledził cię przez cały czas, może w jakiejś innej postaci...

- Na przykład wrony - mruknął Stefano.

- Na przykład wrony. A jeśli chodzi o Vickie... Powiedziałaś, że umiecie manipulować słabszymi umysłami, obezwładniać je. Czy to niemożliwe, że właśnie coś takiego Damon robi tobie? Zwodzi twój umysł, tak jak ty zwodzisz ludzkie?

- Tak. I ukrywa przede mną swoją obecność. - W głosie Stefano rosło ożywienie. - Dlatego nie odpowiadał na moje wezwania. Chciał...

- Chciał, żeby stało się właśnie to, co się stało. Chciał, żebyś zaczął w siebie wątpić, żebyś uznał, że to ty mordujesz. Ale to nieprawda, Stefano. Och, teraz już to wiesz i nie będziesz się musiał bać. - Wstała, czując, że ogarniają ją radość i ulga. Z tej strasznej nocy wyłaniało się jednak coś dobrego. - Dlatego byłeś wobec mnie taki zdystansowany, prawda? - powiedziała, wyciągając do niego ręce. - Bo bałeś się tego, co możesz zrobić. Ale nie musisz się już dłużej bać.

- Nie? - Znów oddychał szybciej i spojrzał na jej dłonie, jakby to były dwa węże. - Myślisz, że nie masz powodu się bać? Damon może i atakował tamtych ludzi, ale on nie kontroluje moich myśli. A ty nie wiesz, co o tobie myślałem.

Elena nie podniosła głosu.

- Nie chcesz mnie skrzywdzić - powiedziała stanowczo.

- Nie? Bywały chwile, kiedy przyglądałem ci się w publicznych miejscach i z trudem się powstrzymywałem, żeby cię nie dotknąć. Kiedy tak mnie kusila twoja biała szyja... delikatna biała szyja, z niebieskimi żyłkami, które biegną pod skórą... - Nie odrywał wzroku od jej szyi i patrzył tak, że przypomniał jej się Damon i serce szybciej jej zabiło. - Chwile, kiedy myślałem, że się na ciebie rzucę. Tam, w szkole.

- Nie musisz się na mnie rzucać - powiedziała Elena. Teraz czuła już

własny puls wszędzie, w nadgarstkach, po wewnętrznej stronie łokci, na szyi. - Podjęłam decyzję, Stefano - powiedziała miękko, chwytając jego spojrzenie. - Chcę tego.

Z trudem przełknął ślinę.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Myślę, że wiem. Powiedziałeś mi, jak to było z Katherine. Chcę, żeby tak było z nami. Nie chodzi mi o to, że chcę, żebyś mnie zmienił. Ale przecież możemy trochę się sobą podzielić i to się nie musi stać, prawda? Wiem - dodała jeszcze łagodniej - jak bardzo kochałeś Katherine. Ale jej już nie ma, a ja jestem. I cię kocham, Stefano. Chcę być przy tobie.

- Nie masz pojęcia, co wygadujesz! - Stał nieruchomo, na twarzy miał wściekłość, oczy pełne udręki. - Jeśli raz sobie pofolguję, co mnie powstrzyma przed przemianieniem cię albo zabiciem? Ta pasja jest silniejsza, niż możesz to sobie wyobrazić. Jeszcze nie rozumiesz, czym jestem? Do czego jestem zdolny?

Stała i patrzyła na niego spokojnie, lekko unosząc brodę. To go doprowadzało do szału.

- Jeszcze nie dość widziałaś? A może mam ci pokazać coś więcej? Umiesz sobie wyobrazić, co mógłbym ci zrobić? - Podeszedł do wygaszonego kominka i porwał z niego długie polano, grubsze niż oba nadgarstki Eleny razem. Jednym ruchem przełamał je na pół, jakby to była zapalka. - Twoje delikatne kości - powiedział.

Na podłodze leżała zrzucona z łóżka poduszka. Podniósł ją i jednym ruchem paznokci pociął jej jedwabną poszewkę na wstążki.

- Twoja delikatna skóra - powiedział.

A potem skoczył do Eleny z nienaturalną szybkością. Stał przy niej i trzymał ją za ramiona, zanim się zorientowała, co się dzieje. Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, a potem, z dzikim sykiem, od którego zjeżyły jej się włosy, obnażył zęby.

To był ten sam grymas, którego świadkiem była na dachu, pokazał w nim białe zęby. Kły niesamowicie wydłużyły się i wyostrzyły. To były kły drapieżnika.

- Twoja biała szyja - powiedział zmienionym głosem.

Elena przez chwilę stała jak sparaliżowana, jakby nie mogła oderwać

wzroku od tej mrożącej krew w żyłach wizji, ale potem coś głęboko ukrytego w jej podświadomości wzięło górę. Objęta jego ramionami, wyciągnęła ręce i ujęła dłońmi jego twarz. Policzki miał chłodne pod dotykiem. Trzymała go delikatnie. Tak delikatnie, jakby chciała go w ten sposób skarcić za żelazny uścisk, w jakim zamknął jej ramiona. I zobaczyła, że jego twarz powoli ogarnia zdziwienie, kiedy dotarło do niego, że wcale nie zamierza z nim walczyć ani mu się wyrwać.

Elena poczekała, aż zakłopotanie pojawi się w jego oczach. Spojrzenie zmieniło się, stało się niemal błagalne. Wiedziała, że jej własna twarz jest nieustraszona, łagodna, a przecież stanowcza. Lekko rozchyliła usta. Oboje oddychali teraz szybciej, we wspólnym rytmie. Elena poczuła, że zadrżał jak wtedy, kiedy wspomnienia o Katherine stały się nie do zniesienia. A potem, bardzo wolnym i rozmyślnym ruchem, przyciągnęła te rozciągnięte grymasem drapieźnika usta do własnych.

Próbował stawiać jej opór. Ale jej łagodność okazała się silniejsza niż cała jego nieludzka siła. Zamknęła oczy i myślała tylko o Stefano. Nie o tych okropnych rzeczach, których się dzisiaj dowiedziała, ale o Stefano, który głaskał ją po włosach tak czule, jakby miała mu się rozpaść w rękach.

Myślała o tym, całując jego wargi, choć jeszcze kilka minut wcześniej jej groziły.

Poczuła zmianę, poczuła transformację jego ust, kiedy poddał się, bezradnie odpowiadając na jej pocałunek. Reagował na delikatną pieśczość jej pocałunków z równą delikatnością. Poczuła, jak ciało Stefano zadygotało, uścisk jego dłoni zelżał, zwyczajnie ją objął. Wiedziała, że zwyciężyła.

- Nigdy mnie nie skrzywdzisz - szepnęła.

I było zupełnie tak, jakby pocałunkami odpędzali strach, nieukojoną żal i samotność, która gryzła ich od środka. Elena poczuła, że namiętność ogarnia ją niczym letnia błyskawica i podobną namiętność wyczuwała w Stefano. Ale wszystko inne przenikała czułość niemal przerażająca swoją intensywnością. Nie musimy się spieszyć, niepotrzebne są żadne gwałtowne gesty, myślała Elena, kiedy Stefano łagodnie sadzał ją na łóżku.

Stopniowo ich pocałunki stały się bardziej natarczywe i Elena poczuła, że ta letnia błyskawica przebiega całe jej ciało, elektryzując je, wprawiając serce w przyspieszone bicie i tamując oddech. Poczowała się dziwnie lekka. Zamknęła oczy i odrzuciła głowę w tył, poddając się.

Już czas, Stefano, pomyślała. Bardzo delikatnym gestem przyciągnęła jego twarz do swojej szyi. Poczowała, jak jego wargi muskają jej skórę. Poczowała jego oddech, ciepły i chłodny zarazem. A potem ostre ukłucie.

Ból minął niemal od razu. Zastąpiło go uczucie przyjemności, od której aż zadrzała. Przepelniła ją jakaś wielka słodycz, którą razem z nią czerpał z tej chwili Stefano.

A wreszcie znów patrzyła mu w twarz, w tę twarz, która choć raz nie osłaniała się przed nią żadnymi barierami, żadnymi murami. I od jego spojrzenia zrobiło jej się słabo.

- Ufasz mi? - szepnął. A kiedy po prostu kiwnęła głową, nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął po coś leżącego koło łóżka. To był sztylet. Przyjrzała mu się bez lęku i znów spojrzała na niego.

Ani na moment nie odrywał od niej spojrzenia, wyjmując sztylet z pochwy i robiąc małe nacięcie u podstawy własnej szyi. Elena patrzyła szeroko otwartymi oczami na krew tak jasną jak jarzębina, ale kiedy pociągnął ją do siebie, nie próbowała stawiać oporu.

Potem tylko przez długi czas ją tulił, a świerszcze za oknem grały swoją muzykę. Wreszcie się poruszył.

- Chciałbym, żebyś tu została - szepnął. - Chciałbym, żebyś została na zawsze. Ale nie możesz.

- Wiem - odparła równie cicho. Ich oczy znów się spotkały w milczącej bliskości. Tyle jeszcze zostało do powiedzenia, tyle powodów, żeby być razem. - Jutro - powiedziała. A potem, opierając się o jego ramię, szepnęła: - Stefano, cokolwiek się zdarzy, będę przy tobie. Powiedz mi, że mi wierzysz.

Jego głos był przyciszony, stłumiony, bo wtulał usta w jej włosy.

- Och, Eleno, - wierzę ci. Cokolwiek się zdarzy, będziemy razem.

Rozdział piętnasty

Kiedy tylko odwiózł Elenę do domu, wrócił do lasu. Wybrał Old Creek Road, jadąc pod posepnymi chmurami, wśród których nie widać było ani skrawka nieba, aż do miejsca, gdzie zaparkował tamtego pierwszego dnia szkoły.

Zostawił samochód i starał się dokładnie odtworzyć drogę na polankę, gdzie zobaczył wronę. Pomógł mu instynkt myśliwego, przywołując w pamięci zarys krzaka czy kształt węzlastego korzenia, które wyjął po drodze. Wreszcie stanął na polanie, otoczonej prastarymi dębami.

Tutaj. Pod okryciem z wyblakłych brunatnych liści zachowały się może nawet jakieś kości tego królika.

Głęboko zaczerpnął powietrza, żeby się uspokoić i wysłał w przestrzeń próbną, natarczywą myśl.

I po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Fell's Church, poczuł coś w rodzaju słabego odzewu. Był ledwo wyczuwalny i urywany. Nie umiał określić, skąd napływał.

Westchnął i się odwrócił.

Przed nim stał Damon, z rękoma założonymi na piersi, oparty o największy z dębów. Wyglądał tak, jakby stał tam już od wielu godzin.

- A więc.. - odezwał się Stefano - to prawda. Minęło tyle czasu, bracie.

- Nie tak wiele, jak ci się wydaje. - Stefano pamiętał ten głos, aksamitny, pełen ironii. - Obserwowałem cię przez te lata - dodał spokojnie Damon. Zdjął kawałeczek kory z rękawa skórzanej kurtki gestem tak swobodnym, jakim kiedyś poprawiał swoje brokatowe mankiety. - Ale nie miałeś o tym pojęcia, prawda? Nie, skąd, twoja moc jest tak słabiutka jak zawsze.

- Uważaj, Damonie - powiedział Stefano cicho i groźnie. - Bardzo

dzisiaj w nocy uważaj. Nie jestem w wyrozumiałym nastroju.

- Święty Szczepan się zirytował? Proszę, proszę. Zdenerwowałeś się. Pewnie przez te moje małe wycieczki na twoje terytorium. Zrobiłem to tylko po to, żeby się do ciebie zbliżyć. Bracia powinni być sobie bliscy.

- Zabiłeś dzisiaj wieczorem. I próbowałeś sprawić, żebym myślał, że sam to zrobiłem.

- A jesteś całkiem pewien, że nie zrobiłeś? Może zrobiliśmy to razem. Uważaj! - rzucił, kiedy Stefano zbliżył się do niego. - Dzisiaj ja też nie jestem tolerancyjnie nastawiony. Mnie się trafił tylko zasuszony nauczyciel historii, tobie ładniutka dziewczyna.

Gniew, jaki czuł w sobie Stefano, skoncentrował się, stając się pojedynczym rozpalonym punktem, zupełnie jakby zapłonęło w nim słońce.

- Trzymaj się z daleka od Eleny - szepnął z taką groźbą, że Damon aż lekko odchylił głowę. - Trzymaj się od niej z daleka, Damonie. Wiem, że ją szpiegowałeś, obserwowałeś. Ale koniec z tym. Jeszcze raz się do niej zbliżysz, a pożałujesz.

- Zawsze byłeś egoistą. To twoja jedyna wada. Nie lubisz się niczym dzielić, prawda? - Nagle Damon rozchylił usta w dziwnie atrakcyjnym uśmiechu. - Na szczęście śliczna Elena jest od ciebie hojniejsza. Nie opowiedziała ci o naszych małych schadzках? No jak to, przecież przy pierwszym spotkaniu o mało nie oddała mi się z miejsca.

- Kłamiesz!

- Ależ skąd, drogi bracie. Nigdy nie kłamię w ważnych sprawach. A może w nieważnych? W każdym razie twoja piękna dama o mało nie zemdląła mi w ramionach. Moim zdaniem lubi facetów w czerni. - Stefano wpatrywał się w niego, próbując zapanować nad oddechem, a Damon dodał niemal łagodnym tonem: - Wiesz, mylisz się co do niej. Uważasz, że jest słodka i uległa, taka jak Katherine. A nie jest. Ona w ogóle nie jest w twoim typie, mój świętoszko-waty braciszku. Ma w sobie ducha i ogień, z którymi nie wiedziałbyś, co robić.

- A ty byś, oczywiście, wiedział.

Damon powoli rozplótł ramiona i się uśmiechnął.

- Och, tak.

Stefano chciał się na niego rzucić, zetrzeć mu z twarzy ten arogancki

uśmiech, rozszarpać Damonowi gardło. Odezwał się głosem, nad którym z trudem panował:

- Masz rację w jednym. Jest silna. Dość silna, żeby ci stawić opór. A teraz, kiedy wie, kim naprawdę jesteśmy, stawia go. Czuje do ciebie wyłącznie niesmak.

Damon uniósł brwi.

- O, doprawdy? Jeszcze zobaczymy. Może wreszcie zrozumie, że głęboki mrok pociąga ją bardziej niż marny zmierzch. Ja przynajmniej nie wypieram się swojej prawdziwej natury. Ale martw się o siebie, braciszku. Wyglądasz na słabego i niedożywnego. Ona się z tobą droczy, co?

Zabij go, odezwał się jakiś natarczywy głos w myślach Stefano. Zabij go, złam mu kark, rozerwij mu gardło na strzępy. Ale wiedział, że Damon pożywił się dziś wieczorem bardzo obficie. Ciemna aura brata wydawała się napęczniała, niemal lśniła od życiowej energii, której zaczerpnął.

- Tak, napiłem się do syta - powiedział Damon z zadowoleniem, jakby czytał bratu w myślach. Westchnął i przeciągnął językiem po wargach, wspominając tę satysfakcję. - Mały był, ale zadziwiająco soczysty. Nie taki ładny jak Elena, no i na pewno tak przyjemnie nie pachniał. Ale zawsze cudownie jest poczuć w sobie krążenie nowej krwi. - Damon odetchnął głęboko, odsuwając się od drzewa i rozglądając wkoło. Stefano pamiętał te pełne gracji ruchy, każdy gest opanowany, precyzyjny. Minione stulecia tylko podkreśliły wrodzoną grację Damona. - Mam ochotę zrobić coś takiego - powiedział Damon, podchodząc do rosnącego w pobliżu młodego drzewka. Było od niego dwa razy wyższe, a kiedy objął pień, palce jego dłoni się nie spotkały. Ale Stefano widział przyspieszony oddech i falowanie mięśni pod cienką czarną koszulą Damona, a potem drzewo wysunęło się z ziemi, a jego korzenie bezładnie zwisły. Stefano poczuł zapach wzruszonej ziemi. - I tak to drzewo mi się tu nie podobało - powiedział Damon i cisnął je tak daleko od siebie, jak na to pozwoliły splątane korzenie. A potem uśmiechnął się czarująco. - Mam też ochotę zrobić coś takiego.

Ruch, błysk i Damon zniknął. Stefano rozejrzał się, ale nigdzie go nie widział.

- Tu na górze, braciszku. - Głos napłynął znad jego głowy, a kiedy Stefano zerknął w tę stronę, zobaczył, że Damon siedzi wśród gałęzi dębu. Szelest brunatnych liści i znów zniknął. - Znów na dole, braciszku. - Stefano okręcił się na pięcie, klepnięty w ramię, ale nic za sobą nie zobaczył. - No tu, braciszku. - Znów się obrócił. - Spróbuj jeszcze raz. - Wściekły, Stefano obrócił się w drugą stronę, próbując złapać Damona. Ale jego palce chwyciły wyłącznie powietrze.

„Stefano, tutaj”. Tym razem głos rozległ się w jego myślach, a jego moc wstrząsnęła nim do głębi. Trzeba było niezwyklej siły, żeby tak wyraźnie przekazywać myśli. Powoli obrócił się jeszcze raz i zobaczył Damona stojącego znów w tej samej pozycji, opartego o wielki dąb.

Ale tym razem rozbawienie znikło z oczu brata. Były czarne i nieprzeniknione, a usta Damon miał zaciśnięte w wąską linijkę.

„Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz, Stefano? Jestem silniejszy od ciebie. Jestem też od ciebie szybszy i posiadam moce, o których nic nie wiesz. Stare moce, Stefano. I nie boję się ich używać. Użyję ich zaraz przeciwko tobie”.

- Po to tu przyjechałeś? Żeby mnie torturować? „Obchodzę się z tobą miłosiernie, braciszku. Wiele razy mogłem cię zabić, ale zawsze cię oszczędzałem. Tym razem jest inaczej”. Damon znów odsunął się od drzewa i przemówił na głos.

- Ostrzegam cię, Stefano, nie próbuj mi się sprzeciwiać. To nieważne, po co tu przyjechałem. Ważne, że teraz chcę Eleny. A jeśli będziesz chciał mnie powstrzymać, odebrać mi ją, zabiję cię.

- Spróbuj tylko - powiedział Stefano. Gorąca plama furii płonęła w nim jaśniej niż kiedykolwiek, emanując blaskiem całej galaktyki gwiazd. Wiedział, że to w jakiś sposób zagraża mrokowi Damona.

- Uważasz, że mi się nie uda? Nigdy się niczego nie nauczysz, braciszku. - Stefano zdążył tylko dostrzec, że Damon ze znużeniem kręci głową, a potem znów ten lekki ruch i poczuł, jak chwytają go silne ramiona. Zaczął walczyć odruchowo, gwałtownie, z całych sił próbując je z siebie strząsnąć. Ale były niczym z żelaza.

Szarpał się dziko, próbując trafić Damona we wrażliwe miejsce pod brodą. Na nic, ramiona miał unieruchomione za plecami, ciało jak w kleszczach. Był równie bezbronny jak ptak w łapach chudego i

doświadczonego kota.

Na moment udał bezwład, próbował zrobić się ciężki, a potem nagle napiął wszystkie mięśnie, starając się wyrwać, zadać jakiś cios. Okrutne ręce tylko mocniej go ścisnęły, a jego wysiłki stały się bezsensowne. Żałosne.

„Zawsze byłeś uparty. Może to cię przekona”. Stefano spojrział w twarz brata, bladą jak matowe szyby okien pensjonatu. W te czarne bezdenne oczy. A potem poczuł palce chwytające go za włosy, ciągnące jego głowę do tyłu, obnażające gardło.

Podwoił wysiłki, teraz już rozpaczliwe. „Nie próbuj”, rozległ się głos w jego głowie, a potem poczuł ostry ból ugryzienia. Poczuł upokorzenie i bezradność ofiary, zwierzyny, zdobywcy. A potem ból odbieranej mu przemocą krwi.

Nie chciał się temu poddać i ból stał się intesywniejszy. Miał uczucie, jakby ktoś mu rozdzierał duszę, był niczym młode drzewko wyrwane z ziemi z korzeniami. Ból przeszywał go ognistymi włócznie, zbiegającymi się w punkcie, w którym zatopił zęby Damon. Męczarnia sięgnęła szczęki i policzka, rozlała się w dół po ramieniu. Ogarnęły go zawroty głowy i poczuł, że traci przytomność.

A potem, nagle, Damon go puścił. Upadł na ziemię, na łożę z wilgotnych, gnijących liści. Z trudem chwytając oddech, boleśnie dźwignął się na czworaka.

- Widzisz, braciszku, jestem od ciebie silniejszy. Dość silny, żeby się z ciebie napić, żeby ci odebrać krew i życie, jeśli będę chciał. Zostaw mi Elenę albo to zrobię.

Stefano podniósł wzrok. Damon stał z głową odrzuconą do tyłu, na lekko rozstawionych nogach, jak zwycięzca stawiający stopę na karku pokonanego. Czarne jak noc oczy przepelniał triumf, a na ustach miał krew Stefano.

Stefano ogarnęła nienawiść, taka jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Czuł się, jakby cała jego poprzednia nienawiść do Damona była tylko kroplą wody w porównaniu z tym szalejącym, spienionym oceanem. Wiele razy w ciągu minionych stuleci żałował tego, co zrobił bratu. Żałował z całej siły, że nie może tego cofnąć. Teraz chciał tylko to powtórzyć.

- Elena nie jest twoja - wykrztusił, podnosząc się na nogi, próbując

ukryć, ile go to kosztuje wysiłku. - I nigdy nie będzie. - koncentrując się na każdym kolejnym kroku, stawiając jedną stopę przed drugą, ruszył w drogę powrotną. Całe ciało go bolało, a wstyd, jaki odczuwał, dokuczał mu bardziej niż fizyczny ból. Do ubrania przywarły fragmenty mokrych liści i grudki ziemi, ale nie strzepywał ich z siebie. Walczył, żeby iść dalej, żeby nie poddać się słabości, która ogarniała jego wszystkie kończyny.

„Nigdy się nie nauczysz, bracie”.

Stefano się nie odwrócił, nie próbował odpowiadać. Zazgrzytał zębami i wciąż szedł naprzód. Kolejny krok. I jeszcze jeden. I następny.

Gdyby tylko mógł na moment usiąść i odpocząć...

Następny krok i jeszcze jeden. Do samochodu na pewno miał już blisko. Liście szeleściły mu pod stopami, a potem usłyszał, jak zaszeleściły tuż za nim.

Próbował obrócić się szybko, ale był pozbawiony refleksu. I ten raptowny ruch kosztował go zbyt wiele energii. Przepeliła go ciemność, ogarniająca ciało i umysł. Poczul, że spada. Spadał bez końca w gęsty mrok czarnej nocy. A potem, na szczęście, przestał cokolwiek czuć. Na moment udał bezwład, próbował zrobić się ciężki, a potem nagle napiął wszystkie mięśnie, starając się wyrwać, zadać jakiś cios. Okrutne ręce tylko mocniej go ścisnęły, a jego wysiłki stały się bezsensowne. Żałosne.

„Zawsze byłeś uparty. Może to cię przekona”. Stefano spojrzał w twarz brata, bladą jak matowe szyby okien pensjonatu. W te czarne bezdenne oczy. A potem poczul palce chwytające go za włosy, ciągnące jego głowę do tyłu, obnażające gardło.

Podwoił wysiłki, teraz już rozpaczliwe. „Nie próbuj”, rozległ się głos w jego głowie, a potem poczul ostry ból ugryzienia. Poczul upokorzenie i bezradność ofiary, zwierzyny, zdobyczy. A potem ból odbieranej mu przemocą krwi.

Nie chciał się temu poddać i ból stał się intesywniejszy. Miał uczucie, jakby ktoś mu rozdzierał duszę, był niczym młode drzewko wrywane z ziemi z korzeniami. Ból przeszywał go ognistymi włóczniami, zbiegającymi się w punkcie, w którym zatopił zęby Damon. Męczarnia sięgnęła szczęki i policzka, rozlała się w dół po ramieniu. Ogarnęły go zawroty głowy i poczul, że traci przytomność.

A potem, nagle, Damon go puścił. Upadł na ziemię, na łożę z wilgotnych, gnijących liści. Z trudem chwytając oddech, boleśnie dźwignął się na czworaka.

- Widzisz, braciszku, jestem od ciebie silniejszy. Dość silny, żeby się z ciebie napić, żeby ci odebrać krew i życie, jeśli będę chciał. Zostaw mi Elenę albo to zrobię.

Stefano podniósł wzrok. Damon stał z głową odrzuconą do tyłu, na lekko rozstawionych nogach, jak zwycięzca stawiający stopę na karku pokonanego. Czarne jak noc oczy przepemniał triumf, a na ustach miał krew Stefano.

Stefano ogarnęła nienawiść, taka jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Czuł się, jakby cała jego poprzednia nienawiść do Damona była tylko kroplą wody w porównaniu z tym szalejącym, spienionym oceanem. Wiele razy w ciągu minionych stuleci żałował tego, *co* zrobił bratu. Żałował z całej siły, że nie może tego cofnąć. Teraz chciał tylko to powtórzyć.

- Elena nie jest twoja - wykrztusił, podnosząc się na nogi, próbując ukryć, ile go to kosztuje wysiłku. - I nigdy nie będzie. - Koncentrując się na każdym kolejnym kroku, stawiając jedną stopę przed drugą, ruszył w drogę powrotną. Całe ciało go bolało, a wstyd, jaki odczuwał, dokuczał mu bardziej niż fizyczny ból. Do ubrania przywarły fragmenty mokrych liści i grudki ziemi, ale nie strzepywał ich z siebie. Walczył, żeby iść dalej, żeby nie poddać się słabości, która ogarniała jego wszystkie kończyny.

„Nigdy się nie nauczysz, bracie”.

Stefano się nie odwrócił, nie próbował odpowiadać. Zazgrzytał zębami i wciąż szedł naprzód. Kolejny krok. I jeszcze jeden. I następny.

Gdyby tylko mógł na moment usiąść i odpocząć...

Następny krok i jeszcze jeden. Do samochodu na pewno miał już blisko. Liście szeleściły mu pod stopami, a potem usłyszał, jak zaszeleściły tuż za nim. ~~Obrotu nie było, a tylko szelest liści i kłopotliwa cisza.~~

Rozdział szesnasty

Elena szła do Liceum imienia Roberta E. Lee z takim uczuciem, jakby nie była tam od lat. Ostatnia noc wydawała jej się czymś rodem z odległego dzieciństwa - ledwie pamiętanym. Ale wiedziała, że dziś trzeba będzie wziąć na siebie konsekwencje.

Już wczoraj musiała stawić czoło cioci Judith. Ciotka bardzo się zdenerwowała, kiedy sąsiedzi powiedzieli jej o morderstwie. A jeszcze bardziej, gdy nikt nie umiał jej wyjaśnić, gdzie jest Elena. Kiedy pojawiła się w domu koło drugiej nad ranem, ciotka szalała ze zmartwienia.

Elena nie mogła się wytłumaczyć. Powiedziała tylko, że była ze Stefano i że wie, o co go oskarżają, ale jest pewna, że jest niewinny. Całą resztę musiała zatrzymać dla siebie. Nawet gdyby ciocia Judith jej uwierzyła, nigdy by tego nie zdołała zrozumieć.

Tego ranka Elena zasnęła, a teraz była spóźniona. Poza nią na ulicach nie było nikogo, kiedy spieszenie szła w stronę szkoły. Niebo nad jej głową szarzało i zrywał się wiatr. Rozpaczliwie chciała zobaczyć Stefano. Przez całą noc śniły jej się koszmary.

Jeden sen był szczególnie rzeczywisty. Zobaczyła w nim bladą twarz Stefano i jego gniewne, pełne oskarżenia oczy.

Uniósł w jej stronę jakąś książkę i powiedział: „Jak mogłaś, Eleno? Jak mogłaś?” A potem rzucił tę księgę pod nogi i odszedł. Wołała za nim i prosiła, ale wciąż szedł przed siebie, aż zniknął w ciemności. Kiedy spojrzała na książkę, zobaczyła, że to notes oprawiony w błękitny aksamit. Jej pamiętnik.

Znów przeszył ją gniew na myśl, że pamiętnik skradziono. Ale co oznaczał ten sen? Co takiego znalazło się w jej pamiętniku, że Stefano w taki sposób zareagował?

Nie wiedziała. Wiedziała za to, że musi go zobaczyć, poczuć wokół siebie jego ramiona. Oderwana od niego czuła się tak, jakby odebrano jej własne ciało.

Wbiegła po schodach do szkoły. Skierowała się w stronę skrzydła pracowni języków obcych, bo wiedziała, że na pierwszej godzinie Stefano ma łacinę. Gdyby tylko mogła zobaczyć go na chwilę, uspokoiłaby się.

Ale nie było go w klasie. Przez małe okienko w drzwiach widziała puste krzesło. Matt siedział obok, a wyraz jego twarzy przestraszył ją jeszcze bardziej. Cały czas zerkał w stronę stolika Stefano z ponurą miną.

Elena odruchowo odsunęła się od drzwi. Niczym automat wspięła się po schodach i weszła do swojej klasy na matematykę. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła, że wszystkie twarze zwracają się w jej stronę. Podeszła szybkim krokiem do stolika obok Meredith.

Pani Halpern na chwilę przerwała lekcję i popatrzyła na nią, a potem dalej prowadziła wykład. Kiedy nauczycielka odwróciła się do tablicy, Elena zerknęła na Meredith.

Meredith wzięła ją za rękę.

- Wszystko w porządku? - szepnęła.

- Nie wiem - odpowiedziała Elena głupio. Czuła, jakby samo powietrze w klasie dusiło ją, jakby przygniatał ją jakiś ciężar. Palce Meredith były ciepłe i suche. - Meredith, czy ty wiesz, co się stało ze Stefano?

- Chcesz powiedzieć, że ty nie wiesz? - Meredith otworzyła szerzej ciemne oczy i Elena poczuła, że coś ją gniecie, jakiś wielki ciężar robi się nie do wytrzymania. Zupełnie jakby się znalazła gdzieś bardzo głęboko pod wodą bez ochronnego skafandra.

- Nie aresztowali go, prawda? - spytała, wyduszając z siebie te słowa.

- Gorzej. Zniknął. Policja wczesnym rankiem przyjechała do jego pensjonatu, a jego tam nie było. Przyjechali też do szkoły, ale wcale się tu dziś nie pokazał. Powiedzieli, że samochód znaleźli porzucony przy Old Creek Road. Eleno, oni uważają, że uciekł, bo jest winny.

- To nieprawda - powiedziała Elena przez zaciśnięte zęby. Widziała,

że ludzie się obracają i zaczynają na nią patrzeć, ale było jej wszystko jedno. - On jest niewinny!

- Wiem, że tak uważasz, Eleno, ale dlaczego uciekał?

- On by tego nie zrobił. Nie mógłby. - Coś w Elenie rozgorzało ogniem, gniewem, który zepchnął strach na dalszy plan. Oddychała z trudem. - Nigdy by nie wyjechał z własnej woli.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś go do tego zmusił? Ale kto? Tyler by się nie odważył...

- Zmusił go albo jeszcze gorzej - przerwała Elena. Cała klasa patrzyła już na nie obie, a pani Halpern właśnie otwierała usta. Elena nagle wstała z miejsca. Miała otwarte oczy, ale nie widziała niczego dookoła. - Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli skrzywdził Stefano - zawodziła. - Niech go ma w opiece. - A potem odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Eleno, wracaj tu! Eleno! - słyszała za sobą wołanie Meredith i pani Halpern. Szła przed siebie coraz szybciej, widząc tylko to, co znajdowało się bezpośrednio na jej drodze. Skoncentrowała się na jednej myśli.

Pomyślą, że chce ścigać Tylera Smallwooda. Dobrze. Zmarnują czas, szukając jej, gdzie nie trzeba. Wiedziała, co musi zrobić.

Wybiegła ze szkoły. Powietrze było chłodne, jesienne. Szła szybko, prędko pokonując dystans dzielący ją od Old Creek Road. Stamtąd poszła w stronę mostu Wickery i cmentarza.

Lodowaty wiatr szarpał ją za włosy i kłuł w twarz. Liście dębów fruwały wkoło niej i wirowały w powietrzu. Ale w sercu wciąż czuła ogień, który nie dopuszczał do niej zimna. Wiedziała teraz, co znaczy furia. Minęła purpurowe buki i płaczące wierzby. Znalazła się w samym środku cmentarza i rozejrzała wkoło rozgorączkowanym wzrokiem.

Ponad nią chmury płynęły po niebie stalowoszarą rzeką. Gałęzie dębów i buków obijały się o siebie dziko. Poryw wiatru cisnął jej w twarz garść liści. Zupełnie jakby stary cmentarz próbował ją wypędzić. Jakby demonstrował jej swoją siłę, szykując się, żeby zrobić jej krzywdę.

Elena zignorowała to wszystko. Okręciła się na pięcie, płonącym spojrzeniem wypatrując czegoś między nagrobkami. A potem znów się

obejrzała za siebie i krzyknęła prosto w dziko wiejący wiatr. To było tylko jedno słowo, ale wiedziała, że tym słowem go sprowadzi:

- Damonie!

Scandalous